

NIEZAPOMINAJKI.

ROK CZWARTY.

ZA POZWOLENIEM CENZURY.

Nakładem Wydawcy.


NIEZAPOMINAJKI
NOWOROCZNIK
WYDANY PRZEZ
KAROLA KORWELLA
w Lito: Banku Pol:

NIEZAPOMINAJKI.

NOWOROCZNIK

NA ROK

1842.

WYDANY

PRZEZ

Karola Korwella.

OZDOBIONY PIĘCIĄ RYCINAMI.

WARSZAWA,

W DRUKARNI BANKU POLSKIEGO.

SPIS RZECZY

Podług Imion Autorów.

SPIS RYCIN.

I. **KOLUMNA ZYGMUNTA III.** Wzniesiona przez syna jego króla Władysława IV na Krakowskim przedmieściu, w Warszawie.

II. **ANIELA Z BADENU.** Do powieści pod tymże tytułem.

III. **RATUSZ W MALBORGU.** (Marienburg.) Gmach ten jest jedną z celniejszych budowli, w dawnej stolicy zakonu Krzyżaków. Malborg czyli Marienburg, miasto nad Nogatem, to jest ramieniem Wisły w padającem do Haffu, założone około roku 1274. Było od roku 1309 do 1466 stolicą wielkich mistrzów zakonu Teuteńskiego Panny Maryi, pospolicie zwanego Krzyżackim. Za Kaźmierza IV Jagiellończyka przeszło pod panowanie Polskie, a w r. 1772 dostało się Prusom. Voigt profesor w Królewcu wydał nader zajmującą i dla dziejów naszych ważną historyją Malborga w r. 1824.

IV. **WIEŻA WIĘZIENNA W GDANSKU.** W Niezapominajkach na rok przeszły znajduje się historyczny opis Gdańska. W dopełnieniu onego umieszczamy teraz widok wieży więziennej w temże mieście, sięgającej początkiem swym r. 1346.

V. **MATYLDA.** Do powieści pod tytułem: *Lekarstwo na Miłość.*

MÓJ ŚWIAT.

Wiosna w trawce, wiosna w kwiecie,
Wiosna ożywia i łąki i drzewa,
Lecz mnie ciężki smutek gniecie,
Bo się niczego serce niespodziewa.
Trawka co tylko ożyła,
Dla mnie jednego nie miła;
Tęskne serce śmierci żąda,
Bo tylko w śmierci, nadzieje ogląda.

Ach! jedynie z przywidzenia
Każdy wiosnę miłą mieni!
Cyprys co groby ocienia,
Całą się zimę zieleni!

Skończyłem ze światem mój dział,
Niechcę nowych ponosić strat,
Ja jemu, on mnie, nieznośnym się stał,
Nie mój to, nie mój dzisiaj świat!

Gdzie ci których kochałem, mają wieczny byt,
Tam jest mój świat, i tam
Roskoszy i cierpienia syt,
Pośpieszę sam.!

Aniela z Badenu.

POWIASTKA Z PODAŃ XIV WIEKU.

(z Ryciną.)

I.

Każdy wie, że szlachetny Fryderyk Margraf Badeński, miał córę prześlicznej urody, której dziwili się okoliczni panowie, a na którą bez rumieńca zazdrości, spójrzeć nie mogły piękne panie i młode dziewice. Czy to usiadła pośród rówiennic grona, za huczącym wesołością stołem biesiady, czy pląsając na śnieżnym wierzchowcu, między łowcami, ścigała w kniejach pierzchliwą łanię; czyli dostojne

zajęła miejsce na pysznym turnieju: wszędy Aniela błyszczała jak jutrzenka między gwiazdami. Aniela odbierała najpierwsze hołdy, najszlachetniejszych panów; Aniela królowała wzrokom i sercom, najwaleczniejszych rycerzy. Tak się nazywała owa młoda piękność, kwitnąca w starożytnym zamku Badeńskim. Zaledwie osiemnastą powitała wiosnę, już sława jej wdzięków szeroko i daleko rozgłosiła się, nietylko nad brzegami Renu, na zamkach licznych lenników Margrafa, ale i w krajach sąsiednich. Dzielni rycerze od południa i północy, możni udzielni władzcy z nad Rodanu i Dunaju, przyjeżdzali w pysznych orszakach, wyprawując po drodze dla rycerstwa i dla mieszczan, biesiady, okazałe ochoty i harce, aby dalekim rozgłosem swoich hojności, ujmować sobie przychylną myśl Badeńskiej dziewicy.

Pysznił się stary dzielny Margraf, blaskiem urody jedynego dziecięcia, radowało się serce matki, przyszłą świetnością losu swojej Anielki. Ale nie zawsze! nie zawsze piękne oko, jest zwierciadłem lękliwej myśli dziewiczej; nie zawsze srebrny głos serdeczny, tłumaczem tkliwego czucia; nie zawsze, o! nie zawsze, na kraśnych różach panieńskiego lica, kwitnie łagodność, słodycz, przeczystość anielskiej duszy. Naprózno w długich, zakochanych spójrzeniach, macierzyńskie oko, szukało w córce przypomnienia, wskrzeszenia ubiegłych lat swoich wiośnianych. Dumna, wojenna krew margrafów Badenu płynąca w ży-

łach dziewicy, uczyniła z niej sercem i duszą, żywy wizerunek wyniosłego rodem i dzieły starego ojca. Aniela była młoda i piękna; — ale Aniela wiedziała że jest jedyną córką przemożnego władzcy, Fryderyka, przed którym korzyły się w prochu czoła najszlachetniejszych lenników; Aniela wiedziała że rozległe włości, że nieprzebrane skarby, będą jej wianem; Aniela wiedziała, aż nadto niestety wiedziała, że jest najpiękniejszą z dziewic i pań, królujących gorącym sercom rycerzy. Biada, o! biada wam tkliwi młodzieńcy, którzyście z odległych krain, rzuciwszy rodzinne ściany i błonia, przyszli po łaskę dumnej dziewczyny. Szlachetna krew wasza, co tyle razy hojnie płynęła na poświęconej ziemi w zapasach z bisurmanem, naprózno tutaj w ostrych gonitwach, leje się na cześć surowej dziewczyny. I pieśni wasze, głęboko płynące w tkliwe serca waszych nadobnych kasztelanek, głucho odbijają się tutaj, o zimne serce Anieli z Badenu; wzgardzone, wyśmiane, giną niesławnie między cudzemi ścianami, jak jesienny poświst wichru, między zeschłemi burzanami stepów scytyjskich. Miecze wasze wyszczerbione, kopje pokruszone, struny bardonów waszych pozrywane, skarby strwonione; a wy ze smutném pochyloném czołem, wracacie w czarnych wieżycach waszych, ukryć wstyd i gniew, zawiedzionych serca nadziei. I takto wyniosła piękność, długo urągała się rycerskim zapałom szlachetnej młodzi: wielu niosło

jej w ofierze, starożytne sławne wojennemi dzieły zamki i grody, niepokalane tarcze herbowne, i ramię niezłomne: wielu stawało do zawodu, przechodząc najtwardsze proby, na skinienie wymyślnej kasztelanki: a nikt jej przyjaznego uśmiechu nie pozyskał; — nikt serca nie wzrurzył.

II.

Był na zamku Badeńskim gość, ze ślicznej Prowanckiej krainy, młody Gaston, możnych rodziców jedyna nadzieja, starożytnego rodu szczep ostatni. — I on przybył ubiegać się z innémi, o rękę dumnej Anieli, a młode serce wszystkiemi siłami przylgnęło do czarownej dziewicy. Ustrojony wstęgą jej barwy, już nie jednego w zaciętym boju pokonał wroga; nie jednego w świetnym turnieju zwyciężył przeciwnika. Piękny męzką odwagą a bujną urodą, młody Gaston był najśliczniejszym kwiatem Prowanckiego rycerstwa: chlubą mężów, kochankiem myśli panieńskich. Od czasu jak w świetnym orszaku przybył na dwór Margrafa, w ciągłym pasmie uczt, igrzysk i gonitw, już nie nad jednym tryumfował spółzawodnikiem. Gdzie się tylko ukazał, przyjazne uśmiechy i tajemnicze szeptania, zdawały się witać w nim przyszłego męża Anieli z Bądenu. Bo i trudnoż było, acz płochej i pysznej Anieli, być obojętną na tyle krasy,

odwagi i miłości w Prowanckim młodzieńcu. Serce jej, już, już miało się skłonić pod słodką władzę kochania; ale niestety! pyszny umysł, jeszcze nie był syty okrutnych igraszek, z licznemi zalotniki. To, biadaż tobie! biada dzielny młodzieńcze,—biada, stokroć biada tobie, wyniosła dziewico!

III.

I zdarzyło się że starych Rzymskich chcąc skosztować roskoszy, rycerze i panie, zasiadły na krużgankach, przypatrywać się srogim zapasom, wychowańców afrykańskich pustyń, dzikich lwów i tygrysów. Już w około tkliwe serduszka piękności, biły obok swoich wiernych rycerzy; miły szmer serdecznych rozmów, jak ciche wonne ciepło kwiecistych sadów, przed ryczącą burzą, poprzedzało krwawe harce, dzikich bestyi mordem dyszących. Już na najpierwszém miejscu zasiadł Badeński Margraf, mając po jednej stronie dostojną małżonkę, a po drugiej prześliczną swoją Anielę: tuż przy nich, grono wybranej młodzi, na której czele jaśniał młody Gaston, w ostatnim turnieju uwieńczony zwycięzca. Różnobarwne powiewne pióra i kity u hełmów rycerzy, mięszając się z białemi zasłony niewiast, i kolorowemi ich wstęgami, na które łagodny wietrzyk dmuchał swawolnie, cudny sprawiały widok: serce rosło pa-

trząc na to, jakby pędzlem czarodzieja, w stropach powietrznych odmalowane koło.

I skinął Margraf, — uciszyło się grono, olbrzymi głos herolda przedarł powietrze, a oto ogromna lwica ze swojemi lwięty, wypuszczona z żelaznej klatki, dzikiemi pląsy krąży po warownym zakole. Nowością widoku zadziwione zwierze, zatrzymuje się chwilę: srogi wzrok macierzyńskiej wściekłości i trwogi, przelatuje jak błyskawica do koła, i mierzy niebezpieczeństwo; jeżą się włosy, straszliwy przeciągły ryk zagrzmiał w powietrzu, a zimny strach pada na serca niewieście.

I znowu Margraf skinął, — obwołał herold, a oto, wściekły tygrys wypada gotów do rzezi. Już wzrokiem śmierci przeszył bezsilne ofiary; tuli się do boku matki, drobne plemię królewskie; ryczące, wyjąc, rozdzierając się w sztuki, walczą rozsrożałe, rozjadłe pustyń potwory. Przerażone nieznanemi dotąd głosy, echa okolne, wtórzą straszliwe krzyki dzikiej boleści i srogości. W niemym utopieni podziwie, z szeroko rozwartemi wzrokami i usty, patrzą na lejącą się w okrutnym boju krew rycerze; bledną, omdlewają miękkiego serca słabe niewiasty.

I znowu herold wydał znak trzeci: otwarto nową zaporę, zajadła hyena otrąbiwszy przeciągłém wyciem hasło bojowe, już w szrankach, już się na biédne rzuciła lwiątka. Szaleje w rozjadłej rozpaczy matka, jedno jej dziécię już rozpłatane na sztuki,

napoiło krwią swoją, rozjuszonej dziczy spragnione gardziele; — o drugie jeszcze się nierówna walka toczy, między zbestwiałemi olbrzymim mordem wrogi.

Tu piękna Aniela obracając mowę do Gastona, rzeknie głosem pieszczonym: —«Widok śmierci tych niewinnych zwierzątek, zbyt jest dla mnie okrutny; rycerzu! wszak mi przysiągłeś, wszelką wolę moję święcie wypełnić; znijdź więc w szranki, a odnieś mi żywe jeszcze lwiątko: —oto nagroda" — i białą, drżącą podała mu rękę. Tak niespodzianym napadnięty rozkazem, wzdrygnął się młodzian; powstał, i po jednej chwilce żartkiego namysłu, postanowił. Więc odepchnąwszy z szyderstwem podaną rękę, zimnym i surowym głosem odparł dziewicy: —«Wybaczaj piękna pani, że daru tak drogiego przyjąć nie mam ochoty; niech go weźmie kto zechce; alem jest rycerz prawy, i danego słowa nawet niegodnej, podle nie złamię." —To rzekł, i pędem błyskawicy zbiegłszy z krużganku, stanął między potwory, jako nieszczęsna ofiara srogiego żartu płochej kobiety. ....

Jak się na nieszczęśliwego rzuciły społem, rozjadłe pustyń potwory; w jak okropnych katuszach, mężnie konał młodzieniec; język to ludzki nie wypowié; a i niegodzi się nawet człowieczego serca, trwożyć takiém mówieniem.....

Ogromna wrzawa mężów, żałośne skargi i łkania niewiast, straszne przekleństwa i wołania o pomstę

do nieba, były pogrzebną muzyką dla Gastona, oblubieńczą puścizną dla kochanki.

Widowisko przerwane; wszyscy ze zgrozą w sercu opuścili swe miejsca, i rozchodząc się nie szczędzili obelg i złorzeczeń Anieli.

O nieszczęśliwa dziewico! dla czego różane usta twoje wyrzekły te słowa? lepiejby tobie było, gdybyś ochydną strasząc szpetnością, nie była nigdy słyszała jednego słowa miłości! Wracasz przelękła, i ciężko, ciężko smutna; perłowe łzy, sączą się z twoich dużych czarnych oczów na wybladłe jagody; pierś podnosi się głębokiém westchnieniem; nie tobie spokój! nie tobie! będziesz za złocistemi kotary, na miękkich węzgłowiach przyzywała snu słodkiego; uśniesz, uśniesz! a nie wiesz jak straszne sądy Boże, czekają ciebie u snu podwoi!

IV.

Długo po obszernej komnacie ciężkiémi przebiegając kroki, długo surowy Margraf, wyziewał gwałtowne gniewy i cierpkie wyrzuty, gromiąc wyniosłego serca córkę jedyną. Długo, strapiona Aniela korząc się przed gniewem rodzica, stała w niemej postaci, tłumiąc niewczesne westchnienia, i ciche łzy roniąc żalu próżnego. Ale stary Margraf., choć szczerze potępiał srogie dzieło swojego dziecięcia,

zbyt był dumny, ażeby światu wyznał tajne ducha skrytości. Więc milczeniem pokrywając krwawe widowiska zdarzenie, i w ochoczej chcąc szukać zabawie, roztargnienia zachmurzonych myśli swojego dworu, zapowiedział na dzień jutrzejszy, w pobliskim lesie łowy, które śliczne panie, obecnością swoją miały upięknić i ożywić.

Po tak burzliwym dniu, nadeszła cicha i posępna doba spoczynku. Zamkowe światła, przez tysiące szyb różnobarwnych niepewnie błyskające, coraz, coraz już gasły; aż też i na wieży poważny dzwon, dwanaście uderzeń wyliczył. Ale choć w jednej komnacie dawno już światło nie mruga, jeszcze tam słodki sen nie zajrzał. To była komnata Anieli.

Za pysznemi kotary, zaległszy z mięciuchnych puchów łoże roskoszne, niespokojnemi myślami dręczona dziewica, napróżno w błogiem uśnięciu pragnęła zranione czucia zagoić. Uwiadomiona od ulubionej swojej powiernicy, wiernej Małgorzaty, młodej panny służebnej, że większa część młodzi rycerskiej, nie czekając jutra, rzuciła przed nocą zamek Badeński, wzgardziwszy zbyteczną pychą nieużytej kasztelanki, walczyła razem i z nienawistną myślą, obrażonej miłości własnej kobiecej, i z okrutnem wspomnieniem, gwałtownego zgonu Gastona, do którego, niestety! nie pomału już biło jej serce.

Tak błądząc po ubiegłych wrażeń, i przelotnych, już jasnych, już smętnych, dziejów serca swojego

zakole, dręczyła się niewczesnemi żalami i późną zgryzotą dziewica; a rojąc na przyszłość, łaskawsze, czulsze dla swoich wielbicieli zachowanie, zapragnęła duszą, słodkich więzów kochania, i kiedy się w tych różanych sferach namiętnego rojenia, unosiły skłócone czucia dziewicze, już prawie u schyłku nocy, ujął ją pożądany sen w swoje objęcia....

Zawichrzone we dnie myśli, snuły się przed oczami Anieli, w niestrojnych marzeń, składach dziwacznych. I śniło się jej, że otoczona przeźroczystym z róż i błękitów obłoczkiem, unosiła się lekko, goniąc za świetną gwiazdą, igrającą w powietrzu nad jej czołem. Już przelatując po wierzchołkach najwyższych drzew, miała ująć swawolną gwiazdę w swe dłonie; ale gwiazda ucieka wyżej i wyżej, a serce bije i dusza pragnie coraz to żywiej. Już na szczytach zamkowych dachów, już na krawędzi wyniosłych wież starowiecznych; wyciąga drżące ręce; a gwiazda, zawisnąwszy chwilę tuż nad jej głową, znowu daleko, daleko!

Ze ściśnioném sercem, w szalonej pogoni szybuje jak cień przez powietrze, to znów po grzbiecie olbrzymich Alpów, bieży jak żywa gazella, i już stanęła u kresu ziemskiej wyżyny. Wyciągnęła obie ręce, i oczy błagające wzniosła do góry, ale gwiazda, błysnąwszy pełném światłem przed jej oczami, nagłym strzeliła lotem do góry, i znikła w niezgłębionej przestrzeni.... I śniło się Anieli, że strącona ra-

mieniem wichru ze szczytu góry, leciała na dół, w czarne przepaści tysiącem śmierci ziejące. Wlepione w coraz bliższe otchłanie jej oczy, zasuwały się bielmem skonania, i w sercu jeszcze żywém, ujęta strachem krew lodowaciała.... W tém się znalazła w objęciach nieznanej sobie dobroczynnej istoty, co otoczywszy ginącą silném ramieniem, i bezpiecznym w powietrzu lotem, przebywszy z nią drogę niezwykłą, złożyła ją na lubych trawnikach rodzinnych. A oto w klęczącej przed sobą postaci, ujrzała przecudnej urody młodzieńca, wpatrującego się w nią wzrokiem do serca idącym; nieznanej dotąd słodyczy płomień, błogo płynął w jej żyłach; i uczuła się do tajemniczego wybawcy ciągnioną wszystką mocą władzy miłośnej.... I śniło się Anieli, że w pysznej świątyni klęczała na stopniach ołtarza, obok lubego młodzieńca; sędziwy kapłan, wymawiał święte słowa ślubnego błogosławieństwa; tłumy pobożnych chrześcian zalegały wnętrze kościoła, poważny śpiéw, łącząc się z uroczystemi tonami organów, brzmiał dla niej weselem. A kiedy po skończoném obrzędzie podniosła trwożliwe oczy na klęczącego obok kochanka, ujrzała ze zgrozą, stojącą przed sobą straszliwą larwę piekielną, czerwonym płomieniem ziejącą. Ucichła muzyka, zagasły światła, znikł kościół, grube ciemności otoczyły Anielę, tylko straszne oblicze oblubieńca gorzało piekielnym ogniem, i słychać było jakby jęki cierpiących w katuszy, brzęk

kajdan i zgrzytanie zębów. I przejęta śmiertelną grozą dziewica, upadła na twarz z krzykiem rozpaczy.... a wtem ocknęła się, przyjmując do serca, jako balsam zbawienia, śpiewanie czujnych kurów, co u stóp zamkowej góry pracowitą czerń budziły. Opuściwszy złowrogie łoże, acz w jednej koszulce, wybladła od strachu, żegnała się po wielekroć razy piękna księżniczka, i upadłszy z pokorą na twarz, przed poświęconym w Rzymie krucyfixem, tuliła do bijącej gwałtownie piersi relikwije świętych, i modliła się gorąco.

V.

Zaledwie pierwsze promienie powstającego ze snu słońca, pozłociły zielone korony gajów i wyniosłe szczyty Badeńskiego zamku, już księżniczka Aniela, ze swoją wierną Małgorzatą, opasane do koła całym przepychem przyrody, oddychały świeżością krajobrazu, który się u stóp góry zamkowej roztaczał. Długo Aniela, chciwym wzrokiem czułości, napawała się tą niewinną rozkoszą, obudzaną w czystej duszy, przez czarowne widoki okolicznych lasów, gór i szerokich kwietnych rozłogów; kiedy zmieszany odgłos trąb, i tentent niecierpliwych rumaków, przerwał jej zamyślenie, przypominając chwile wyruszenia na łowy.



Aniela z Badenu

Tymczasem odwieczne lasy Iburga, brzmiały od rana odgłosem mosiężnych rogów, donośnem graniem ogarów, i ochotnemi okrzykami łowców, goniących pierzchliwe łanie, wielkorogie daniele i sarny żartkolotne. Przez dzień cały zabawiali się łowami Badeńskiego dworu panowie, w towarzystwie pięknych pań, między któremi błyszczała cudna księżniczka Aniela.

Sute biesiady, stare wino z zamożnych piwnic Badeńskich, i zapał myśliwskiej ochoty, wygładziły prędko z pamięci niemiłe zdarzeń wczorajszych wrażenia: chyżo na skrzydłach wesela płynęły godziny, i już się słońce miało ku schyłkowi, a rozpierzchniona po niezmiernych kniejach i borach drużyna, nie zgromadziła się jeszcze tam, gdzie stary Margraf otoczony już połową grona, śród hałasów i śmiechów, brzęku puharów i pieśni ochotnych, czekał na drugą połowę z wieczorną biesiadą i hasłem do odwrotu.

I zdarzyło się, że za wiatronogim zapędzona rogaczem, piękna księżniczka, znalazła się śród czarnej puszczy sama jedna, tylko w towarzystwie młodej Małgorzaty, swojej nieodstępnej towarzyszki. Słońce już prawie gasło za olbrzymią ścianą góry Iburga, ogromne dęby i sosny, coraz posępniejszym otaczały się cieniem, a konające w odległej dali głosy myśliwskich rogów, już nie mogły biednym zabłąkanym wskazać miejsca ostoi. Wtém nagle, z za le-

śnej gęstwy, wysunęli się ku nim, na czarnych dzikich rumakach dwaj jezdni; niesłychana trwoga ujęła nieszczęśliwe dziewczęta, jakby żelaznym szponem za serca; a ich różane usta, wybladłe i drżące od strachu, jednego słowa wyrzec nie mogły.

Nieznajomy rycerz i jego młody giermek, obaj byli bez zbroi, bez godła i hełmów. Odzienie pierwszego, było z czarnego aksamitu ze srebrnym haftem, u boku wisiał myśliwski kord bogato złotem nabijany, kapelusik z czerwonego aksamitu, podniesiony klamrą cudnej roboty, ozdobiony koguciemi póry, okrywał udatną, czarnemi kędziorami strojną głowę rycerza, a żółte jelonkowe buty, z długiemi złotemi ostrogami, kończyły jego strój wytworny.

—« Dobry wieczór, szlachetna księżniczko," rzekł rycerz, zbliżywszy się do wierzchowca Anieli, który dziwnym uderzony strachem, stał nieporuszony i drżący.

Zaledwie Aniela usłyszała dźwięk pierwszego słowa, które do niej przemówił rycerz, i kiedy spójrzała nieśmiało na jego oblicze, — o dziwy! poznała w nim istotny wizerunek owego młodzieńca, któremu w śnie tajemniczym, małżeńską ślubowała wiarę. Więc zapłoniwszy się mocno," dobry wieczór," odrzekła cichym głosem, usiłując zwrócić swojego konia.

—« Nie lękaj się niczego, piękna pani; widzę że jesteś zabłąkana; i mnie też rumak uniosłszy, zapędził daleko od śladów rogacza. Wszakże stokroć je-

stem szczęśliwy, że mój los podzielam z panią tak wysokiego rodu, i tak przecudnej piękności."

—« A ja, rzekł giermek, przysunąwszy się do Małgorzaty, — że mogę ucałować strzemię, tak hożego dziewczęcia."

I ująwszy wodze wierzchowców swoich błędnych towarzyszek, nasi jezdcy, ruszyli wolnym krokiem po leśnych bezdrożach. Biedne dziewczątka, jak drżące gołębice pod szponami jastrzębi, nie wiedziały co począć.

Z razu ostry, i twardo w ucho wpadający dźwięk głosu rycerza, stawał się coraz milszym i słodszym, przez niewysłowioną udatność jego mowy; tak, że w końcu biedna księżniczka, zdawała się słuchać go z rozkoszą, chwytając każde słówko do bijącego serduszka. Jakaś niepojęta siła przykowywała wzrok jej, do smagłego lica nieznajomego towarzysza, wpatrywała się weń, jakby w ukochane rysy dawno już znajomej twarzy, połykając chciwą duszą jego długie i wdzięczne mówienie: o ślicznościach przyrody, o dalekich podróżach po różnych krajach ziemi, które zdawał się umieć na pamięć; o pięknych dziełach oręża, o tkliwych przygodach kasztelanek, o gorącém tchnieniu dnia letniego, słodkiej rzeźwości wieczornej, uroku cieniów gajowych i o wyglądaniu szczęśliwości nieznanej: a biedna Aniela, porwana jak by mocą wszechwładnego zaklęcia, nic nie widziała,

nie nie słyszała, tylko czarnego rycerza, i zachwyconą duszą, cała utonęła w uroku.

I tak przyjechali do stóp wyniosłego *Leisenbergu*, gdzie Aniela postrzegła przepyszny zamek, którego nigdy ludzkie nie widziało oko w tém miejscu. Wysmukłe karbowane wieżyczki, z powiewającemi na nich chorągwiami; zaostrzone szczyty, malowne galerye, ganki i strzelnice; wyniosłe w zębach i esach wydziwiające baszty; pyszna wystawa z ostremi łęki wycinana, wyrabiana jak przezroczysty kołnierzyk kobiecy; a do koła ciemne góry i wspaniały Las Czarny, na który rozległy odkrywał się widok, z tarasu przy pozłocie zachodzącego słońca promieni; wszystko to bogactwo natury i sztuki, zgromadzone w tym tajemniczym przybytku, uderzało zachwytem rozognioną wyobraźnię dziewicy Badeńskiej.

— « Szlachetna pani! powiedział rycerz, otóż jesteśmy w progach Gusenbachu, a ztamtąd dwa tylko kroki do Baden; tu więc możemy nieco odpocząć i napawać się słodyczą tego rozkosznego wieczoru."

Tak zagadniona, chciała coś odrzec księżniczka, ale rycerz już był na ziemi, i podawał jéj z dwornością rękę, pomagając zsiąść z konia, bo młoda Małgorzata dawno już nie była przy swojej pani...

Jakiemiż teraz słowy, jakim językiem opowiem to, co zaszło w tém miejscu samotném? Piękna Aniela i czarny rycerz, długo przechadzali się razem pod

gotyckiemi arkadami tego zaczarowanego zamku; potém przeszli do komnat, złoconemi adamaszkami i tysiącem jarzących świateł błyszczących, i usiedli blisko siebie na miękkich jedwabiach. Potém rycerz wziął jej obie rączki w swoje gorące dłonie, coraz bliżej.... coraz bliżej, patrzał na nią urocznemi oczami węża.

...Niech Bóg zachowa każdą dziewczynę lub niewiastę, od takiego wzroku!.... To co się działo w duszy i sercu Anieli, tego żaden ludzki nie wypowie język.... nieśmiala podnieść oczu na strasznego rycerza.... dziwnej slodyczy i trwogi płomień przebiegał po jej żyłach.... niepojęte upojenie opanowało wszystkie jej zmysly; w namiętnym uścisku miłośnym, przylgnęła calą istotą do straszliwego kochanka, — i już była potępioną na wieki!

VI.

W kilka godzin później, kiedy Małgorzata idąc za śladem koni, nadjechała przed tajemniczy zamek, niesłychany widok ukazał się przed jej oczyma. Płomienie czerwone jak krew, wybuchały ze spalonych i w gruzy rozpadających się wież i arkad, mury drżały na swojej posadzie, a przerażający krzyk rozpaczy, zmieszany z serdecznem łkaniem i przeciągłemi jęki, przedzierał się ze wnętrza gore-

jącego zamku, przez straszny szum płomieni i łomot upadających murów. I widziała na najwyższej wieży, jeszcze nie tkniętej przeklętym ogniem, czarnego rycerza w czerwonym kapeluszu, powiewającego białą zasłoną księżniczki, która niestety! była jej pogrzebnym całunem. I powstały jakby z wnętrzności ziemi, gwałtowne wichry, z ogromnym wyciem i świstem; straszliwy hałas zagrzmiał w powietrzu, i cały zamek rozpadł się, w rozdziawionych pod swoją posadą otchłaniach. I znów było cicho i błogo, słodki wiatr dmuchał na drżące liście; woniejące doliny poiły zmysły rozkoszą, a jasny księżyc po ciemnych błękitach wędrował spokojnie.

Kiedy Małgorzata przyszła do siebie po wielkim strachu, kiórym ją ów okropny widok ogarnął, nie było żadnego śladu ani zamku, ani rycerza, ani Anieli; tylko błyszczący w resztkach popiołu, złoty z Panem Jezusem krucyfix, który zwykła była nosic księżniczka na szyi, niedotknięty płomieniem, świadczył o nadludzkim losie nieszczęśliwej.

Tegoż jeszcze roku, strapiona matka Anieli, wstąpiła do klasztoru, którego została ksienią, a stary Margraf Badeński, postawił wiele kościołów na chwałę Bogu, którego sądy niedociekłe, tak ciężko starożytny dom jego nawiedziły.

Wiktoryn Zieliński.

OKOLNIK DO SĄSIADÓW.

Któż z nas nie kocha Pana Mateusza?
W kim się weselej nie uśmiechnie dusza?
Kto zapomniawszy o dziennych zgryzotach,
Gdy go przez okno obaczy we wrotach;
Nie krzyknie wesół: «Pan Mateusz jedzie"
«Proś duszko, żeby został na obiedzie."
Któraż z żon, słysząc ten głos gospodarza,
Nie skoczy sama zawołać kucharza
Jeśli ją z krzykiem nie uprzedzą dzieci,
I coś smacznego zrobić nie zaleci?
I któryż nawet kucharz nie jest gotów
Robić, nie mrucząc na wielość kłopotów?
Bo Pan Mateusz jest wszystkich kochanek.
Ledwie zajechał i wysiadł na ganek —

Już śmiechy, żarty i wesołe fraszki,
Lecą w ślad za nim z jego karafaszki; (*)
Dom się ich gwarem napełnia wesoły
Jak ul, gdy po nim rozlecą się pszczoły.
Cóż gdy jak w naszej nie nowość parafij,
Jaka sąsiedzka biesiadka się trafi,
A młodzi nawet za wiskiem jak kruki
Siedzą dzień cały i milczą jak mruki.
Któż, jeśli niema Pana Mateusza,
Biedne panienki do tańca rozrusza?
A nawet w braku muzykantów z *Krewa*
Uda basetlę i altem zaśpiewa;
Lub w wielkim poście, gdy tańczyć nie można,
Zaintonuje pieśń jaką pobożną?
Kto poncz tak wszystkim do gustu przyprawi?
Kto gospodarzy tak wdzięcznie wysławi?
Gdy przy wieczerzy w patetycznej mowie
Zachęci gości wychylić ich zdrowie?
Kto wszystkim zgoła przypomni — że przecie
Szczera wesołość jest jeszcze na świecie,
I gdy już damy kładą szuby lisie,
W sieniach im jeszcze huknie: «kochajmy się."
Kto? prócz naszego Pana Mateusza?
Lecz Pan Mateusz z domu się nie rusza
Próżno go czekać będziecie sąsiedzi!
Ja wam opowiem dla czego tak siedzi,
Lecz wy nie ścierpcie by się długo smucił,
Kto wam tylekroć smutną chwilę skrócił.
Pomnicie pewnie ekwipaż tak znany,

(*) Wózek lekki, malowany nakształt jednokonnej bryczki, w Litwie używany.

W którym przyjeżdżał gość nasz pożądany;
Tę karafaszkę z kształtnemi ozdoby
Jak raz dla jego jednego osoby,
Choć w niej trzem chudym dość miejsca byłoby,
I w której przeto od Trab po Zabrzezie,
Sam się gdzie może in cognito wiezie?
Pomnicie tego dziarskiego kasztana
Co stąd, że swego przywoził wam pana,
Tak był wam wszystkim znajomy i miły
Że dzieci wasze chlebem go karmiły:
A pan z radością widząc te pieszczoty,
Liczył wam jego zalety i cnoty,
Z której najpierwsza, jakeście słyszeli,
Że go darował przyjaciel Marceli.
Owoż słuchajcie sąsiedzi szanowni!
Ta karafaszka jest dotąd w wozowni,
Ale kasztanek — pożal się go Boże!
Cygan dziś na nim wywija gdzieś może.
Bo dnia jednego, gdy jako zwyczajnie
Pan jego zrana odwiedzać szedł stajnię,
Ujrzał — wystawcie co uczuł w tej dobie! —
Uzdeczkę tylko wiszącą przy żłobie,
I choć ślad świeży znać było po błoni,
Nie miał już na czem przedsiębrać pogoni.
Odtąd się jego zasmuciła dusza
Odtąd nie widzim Pana Mateusza,
I nie zobaczym, aż w dawnym zaprzągu,
Nie stanie nowy rumak do pociągu,
Siłą przynajmniej podobny z kasztanem,
Aby mógł ruszyć karafaszkę z panem.
Alež i w tedy kochani sąsiedzi,
Chociaż was kiedy niekiedy odwiedzi,

Zważcie jak smutny sprawi na was skutek,
Patrzeć na Pana Mateusza smutek;
I z ust tych, z których jak z żywej krynicy,
Płynął zdrój pociech całej okolicy,
Słyszeć dziś tylko skargi i westchnienia?
— Lecz słyszę zda się wasze zagadnienia:
Jakiż jest środek jego pocieszenia?
Otóż pozwólcie sąsiedzi szanowni,
Bym rzekł co mnie się zdaje najstosowniej.
Znane wam serce Pana Mateusza,
Jak łatwo każde uczucie je wzrusza,
Jak dla przyjaciół rad do poświęcenia,
Wzajem dowody przyjaźni ocenia —
I ów kasztanek — czem był mu tak miły?
Czy że był kształtny, czy że pełen siły?
Nie — lecz jakeście to wyżej widzieli,
Że go darował przyjaciel Marceli.
I stąd ta strata, tak żal jego drażni
Że stracił w koniu pamiątkę przyjaźni.
Koń za pieniądze łatwo się nagodzi,
Ale pamiątkę kto sercu nagrodzi?
Kto? — my sąsiedzi! koń ten był dla niego,
Darem przyjaźni, lecz tylko jednego —
My wszyscy razem kupmy dlań nowego.
Uczyńmy składkę, która mu dowiedzie,
Że przyjaciela ma w każdym sąsiedzie;
Dowód przyjaźni dumy nie obrusza,
Lecz nim szlachetna pociesza się dusza —
— Daj więc, kto kochasz Pana Mateusza!

Ant. Edw. Odyniec.

KREWO

STARODAWNY ZAMEK W LITWIE. (*)

Kiedy się naród Litewski, którego historya dotąd w tajnikach przeszłości spoczywa, zaczął ukazywać w XII wieku, w chrześcijańskiej Europie: kiedy potém z jednej strony rozlew dziczy tatarskiej po ziemiach wschodniej Europy, a z drugiej upadek Romana Halickiego otworzyły Litwinom drogę do zaborów; Książęta tego ludu, odsuwając granicę Litwy coraz dalej, wznosili nowe i coraz silniejsze waro-

(*) Pismo niniejsze jest częścią obszernego dzieła w rękopiśmie zostającego, pod tytułem: *Starożytna Litwa.*

wnie, dla wzmocnienia zdobytych krain. Do takich twierdz zapewne, należy zamek *Krew* albo *Krewo* zwany, o którym ważniejsze szczegóły opowiedzieć chcemy. Zwaliska jego, razem z małém miasteczkiem na około nich zabudowaném, są dziś własnością rządu, i leżą w obrębie powiatu Oszmiańskiego, gubernii Wileńskiej. Trudno widzieć coś bardziej ponurego, jak położenie Krewa, i niemożna inaczej pojąć powodu, jaki mieli pogańscy jeszcze władcy Litwy do wzniesienia go, jak to chyba, że warowniami temi, chcieli wzmocnić pograniczne Rusi, lub na tatarskie napady wystawione krainy. Niech kto wystawi sobie ogołoconą z lasu i wszelkich prawie drzew, na milę może rozciągłą okolicę, grunt wprawdzie żyzny, ale kamieniami zupełnie usłany, niech przejechawszy całą tę piękną i ludną przestrzeń, jaka się ciągnie od Oszmiany aż za Boruny, gdzie wśród gęstych wsi, uprawnych pól, gajów i umajonych sadami dworów obywatelskich, błyszczy na wdzięcznym pagórku, dom zacnego poety naszego, Edwarda Odyńca; niech powiadam, opusciwszy te miłe położenia, znudzony potém całogodzinną jazdą po kamieniach, stanie nad rozłogiem dwoma łańcuchami nagich pagórków ujętym: tam postrzeże po nad leniwo sączącym się strumieniem, gromadę poziomych domów, z wystrzelonym nad nie kościołem parafialnym. W pośród nich dopiero, sterczą poważne zwaliska dość przestronnego zamku. Leżą one na

dolinie oblanej od północy strumieniem, od wschodu zaś małym stawem, a z innych stron okrążone łąkami, które niezawodnie zalane dawniej wodą, ubezpieczały Krewo od napaści nieprzyjaciół, nieznających jeszcze ognistej broni. Mury do dziś dnia pozostałe, z czerwonej wielkiej cegły bez tynku jak zazwyczaj wzniesione, mogły mieć z górą 20 łokci wysokości. Obwód ich prostokątny, z jednego boku długi jest na sto kroków, a z drugiego na 140. Dwie bramy od południa i wschodu, ze zwodzonemi zapewne mostami, prowadziły do wnętrza obwodu, na którego obszernym dziedzińcu była wielka sadzawka, i niektóre budowle drewniane, a w rogu murów między południem a wschodem, niewielka wieża do mieszkania i obrony, znacznie nad mury wywyższona. Strzelnice u góry ścian zamkowych i gdzie niegdzie drewniane blanki, co pozostałych dotąd belek dębowych końce okazują, służyły rycerstwu do rażenia zbliżających się napastników. Do obwodu murów, któreśmy teraz opisali, przytykała zewnątrz jego, w rogu od północy wzniesiona wielka baszta, blisko dwadzieścia łokci w kwadrat przestronna, a więcej niż na trzy piętra prócz dołu wysoka. W niej to były mieszkania nietylko dla przywódców. załogi, ale i dla książąt w których dzielnicy różnemi czasy Krewo zostawało. Dotąd jeszcze w groźnych jej rozwalinach, otwory trzypiętrowych okien gotyckich widzieć się dają; a pod

niemi u spodu małe okno więzienia zamkowego. Podstawa tej baszty aż do wosokości sześciu łokci nad ziemię, jest z wielkich kamieni polowych, tak jak i wszystkie mury na około: wyżej zaś, ściany wszystkich piąter chociaż z tegoż materyału wzniesione, wielką jednakże i gładką cegłą podwójnie wewnątrz i zewnątrz są wykładane. Główne komnaty książęce musiały być na drugim piętrze, miarkując ze śladu najszerszych okien jaki dotąd pozostał; a sama baszta była zapewne daleko wynioślejsza, bo nad oknami trzeciego piętra jest jeszcze otwór, który służył za miejsce do wniścia ku wierzchołkowi baszty na wschody, albo do jakiegoś mieszkania.

Taki to zamek w czternastym jeszcze wieku, wznosił się w całości swej, w pośród owej ponurej, i do pustyni podobnéj okolicy, którąśmy wyżej opisali. Wszakże głębokie lasy musiały w onczas okrywać, te nagie dzisiaj przestrzenie. Pomimo jednak dzikiego ich położenia, zamek ów był teatrem wielu ważnych wypadków na północy, świadkiem wielu smutnych i tkliwych scen. Jeszcze nim Olgierd zaczął władać szczęśliwie berłem litewskiem, Krewo było stołecznym zamkiem wydzielonego mu od ojca Gedemina Księztwa. Stamtąd on wyszedł roku 1345, wsparty dzielném ramieniem i braterskiem sercem, walecznego Kiejstuta, dla wstąpienia na stolicę potężnej monarchii swych przodków. Potém długo mury Krewa same tylko odgłosy trąb myśliwskich od-

bijały, a zamiast wrzawy wojennej, okrzyk wesołych biesiadników rozlegał się nieraz w komnatach starożytnego zamku. Czasem tylko, kiedy nagłość spraw publicznych dościgła władcę Litwy i w łowieckim jego zaciszu, zbroje obcych rycerzy, czerwone krzyże Teutonów, lub czarne kaptury apostołujących mnichów, migały się w oczach ciekawych tej ustroni mieszkańców. Wtenczas huczne rozrywki ustąpiły miejsca tajemnym naradom, poważne milczenie osiadło na obliczach dowódców i straży, a traktaty lub sojusze w Krewie dokonane, zapisały imie jego, na zawsze w kartach historyi. W takich więc tylko zdarzeniach podwoje zamku Krewskiego stały otworem, gdy nagłe przemiany w stolicy państwa Litewskiego w roku 1381 zaszłe, znowu świetny dwór Jagiełły i matki jego księżny Julianny Olgerdowej, do murów jego sprowadziły. Dzielność Wielkiego Księcia Kiejstuta, broniącego usilnie pogańskiej narodowości w Litwie przeciw zamachom Krzyżackim, zniszczyła na chwilę wszelkie ich zabiegi, a niedoświadczony i łatwo powodujący się radami dworaków Jagiełło, musiał ustąpić zwierzchniej godności, osiwiałemu w bojach i radzie stryjowi. Możeby w takiej spokojności długo jeszcze, przynajmniej do zgonu Kiejstuta, zostawał Jagiełło z natury swej do kłótni nie skory: lecz zakon krzyżowy nie mógł żadnym sposobem, największego wroga swego widzieć dalej u steru rządu w Wilnie. Zaczęły się więc skry-

te knowania. Skirgajłło, jeden z braci Jagiełły, przybył do Krewa. Przyjąwszy na siebie pośrednictwo do umowy z wielkim mistrzem, dokonał jej w największej tajemnicy, a ukaranie wtymże samym czasie haniebną śmiercią Wojdyłły męża Maryi, siostry Jagiełły, skłoniło tego ostatniego do wystąpienia znowu na czele wojsk swoich i posiłków krzyżackich, przeciw Kiejstutowi. Znowu więc wszystko ucichło wKrewie, ustał ruch dworu, samotny tylko szczęk broni strażników zamkowych na wałach, przypominał niekiedy mieszkańcom okolicznych osad, że jeszcze nie ustało życie w tém warowném miejscu.

Tymczasem rok 1382 nie takie wypadki dla Krewa gotował, nie takich gości do murów jego sprowadzał. Nie los dziwaczny wojny, ale czarna zdrada z przewrótności zrodzona, wydała w ręce nieprzyjaciół Kiejstuta z synem Witowdem. Już ostatni miesiąc jesieni siwym śronem gęsto przykrył kamieniste rozłogi powiatu Krewskiego, kiedy z lasów dzielących go od Borun, wynurzył się orszak zbrojnego rycerstwa otaczający wóz, na którym siedział ciężkiemi skuty kajdanami starzec. Ponuréj postaci rycerz, w bogatej zbroi jechał obok niego na koniu, jako dowódca całego hufcu. Więźniem tym był sławny obrońca chwiejącego się pogaństwa w Litwie, nieubłagany nieprzyjaciel Krzyżaków, Kiejstut książe Trok i Żmudzi; przywódcą zaś oddziału Wielki Książe Skirgajłło. U wrót zamkowych przyjął ich dowódca

twierdzy nazwiskiem Proksza, Podczaszy dworu Jagiełły, któremu zawzięta Marya wdowa po Wojdylle, powierzyła wykonanie swojej zemsty. Kiejstut zaprowadzony zaraz do więzienia, na dole w owej baszcie którąśmy wyżej opisali, ujrzał się w ciemném i wilgotném podziemiu, (1) obok wiernego sobie pacholęcia. Przez jedno tylko małe okno, którego otwór dotąd w całości widzieć się daje, wciskało się mdłe światełko ukazując nieszczęsnemu więźniowi, przesiękłe wilgocią kamienie w ścianach, oblanych zewnątrz głębokim stawem do koła. Tak w ciągłem udręczeniu cztéry doby przebył Kiejstut, domagając się usilnie widzenia samego Jagiełły. Piątej dopiéro nocy, kiedy może snem prawego wojownika usypiał starzec, albo nad przyszłemi losami kochanego od siebie kraju rozmyślał: wszedł złowrogi Proksza razem z bratem swym Biłgenem, a za niemi wcisnęli się Mostew, Getko mieszczanin z Krewa, Lisica Żybintys sługa pokojowy Jagiełły, i Kuczuk Ziemianin (2). Zaraz ludzie ci niecierpliwi

(1) Długosz (Lib. X. p. 66. edit. Lips): pisze: «Dux Kieystuth ferreis catenis vinctus, *Creuamque* ductus ad fundum turris obscurae et sordidae proiicitur vinculatus."

(2) Poszliśmy tu za Długoszem, jako najgodniejszym wiary ze wszystkich dawnych naszych dziejopisów, i niedługo po tych wypadkach piszącym. Widać że śmiało prawdę historyczną wyjawia. Imie i rodzina Kuczuków dotąd w Oszmiańskiem istniejąca, tém większą dla powieści Długosza wzbudza

dokonania zemsty która im powierzoną została, rzucili się na swą ofiarę, i złotym sznurem od ferezyi, jak niektórzy pisarze dziejów litewskich chcą twierdzić, życia ją pozbawili. Przerażony okropnym widokiem pacholik nazwiskiem Hrehory Omulicz, gdy zaczął krzyczeć, cięty od zbrodniarzy w głowę, wyrzucony został oknem z więzienia (3). Po takim smutnym wypadku, który zdaje się, że raczej był skutkiem zemsty niewieściej Maryi za śmierć męża jej Wojdyłły i przewrotności krzyżackiej, aniżeli rozkazów Jagiełły: doniesiono mu, że stryj jego sam siebie w więzieniu krewskim życia pozbawił. A tym czasem Skirgajłło, jakoby niewiedzący o niczém, przybywał do Krewa odwiedzić Kiejstuta. Lecz martwą postać ujrzawszy bohatyra Litwy, czcigodne jego zwłoki wspaniałością książęcą otoczone, wyprowadził z zamku udając się do Wilna. Taki był pierwszy dramat który złość i niegodziwość ludzka odegrała w Krewie, brocząc mury jego krwią uświęconą tylu najświetniejszemi czynami w pokoju i wojnie, tylu ofiarami poniesionemi dla dobra kraju. W sto-

ufność. *Herman Corner* i Anonim Archidyakon Gnieźnieński przywodzeni od Naruszewicza kronikarze, chociaż spółcześni, mniej zdają się być rzetelni w całej powieści o tej katastrofie Kiejstuta, i widocznie chcą oczyścić tę plamę w życiu Jagiełły.

(3) Szczegóły te przytacza Narbutt *Dzieje Nar. Lit.* T. V. str. 294. opierając się na jakimś manuskrypcie starej daty, na którego wiarę to przywodzimy.

licy czekał Kiejstuta pogrzeb, ostatni obrządkiem pogańskim dopełniony na zwłokach jednego z książąt panujących w Europie. Na świętém miejscu Swintoroha zwaném, gdzie wśród ogromnego zamku Gedemina, gorzał między odwiecznemi dębami niewygasły ogień Perkuna: wznosił się wysoki stos, z suchych drew ułożony. Na nim złożono ciało sędziwego władcy Żmudzi, ubrane w bogatą zbroję i płaszcz książęcy, z mieczem, sajdakiem i włócznią przy boku. Tuż przy zwłokach stał wierny sługa i koń, który w bojach i dalekich wyprawach nosił wojownika; dalej psy różne odłowów i sokoły. Na to wszystko rzucili ofiarnicy rysie i niedźwiedzie szpony, razem z trąbą myśliwską, a potém odbywszy zwykłe bogom ofiary, i głośném pieniem wywiódłszy podług obyczajów swojej religii pochwały zmarłego, zapalili stos i co około niego było (4). Ale gdy już płomienie wszystko co martwe było, i co życiem tchnęło, zupełnie strawiły: rozwarła się nagle i nadzwyczajnym sposobem tuż pod zgliskiem, głęboka i pół raza nad wysokość człowieka dłuższa otchłań, a w jednej chwili, popioły sławnego Kiejstuta i kości spalonych z nim istot, w wieczną i dziś zagubio-

(4) Stryjkowski: kronika Lit. ks. XIII. str. 432. ed. Bohom. Długosz dodaje że pogrzeb *ritu veteri* odprawiony został. lib. X. 66. niewyliczając jednak między ofiarami, razem z ciałem Kiejstuta mającemi się żywcem palić na stosie, wiernego sługi.

ną mogiłę, zapadły się na zawsze (1). Blady strach osiadł na twarzy obecnych i zimną trwogą przejął sumienie skalanego morderstwem stronnictwa. Na tym samym obrzędzie ostatni już raz podniósł się swobodnie głos kapłanów dogorywającego pogaństwa, ostatni jęk wyszedł z tych co żywo się palili, dla uświęcenia zakonu Perkuna. Niedosyć jednak było jednej ofiary Kiejstuta dla zaspokojenia przeciwnego stronnictwa, a raczej nasycenia zemsty Skirgajłły i Maryi wdowy po Wojdylle. Jeszcze jak na domiar zguby domu Kiejstutowego, Widymund znamienity pan Żmudzki, i dziedzic Połongi, a brat owej niegdyś dziwnie pięknej Biruty, żony Kiejstuta, oraz Butrym blizki jego krewny, jako ci co się najwięcej do śmierci Wojdyłły przyczynili, ulegli około tegoż czasu męczeńskiej karze. Ale to się działo w stolicy Jagiełły nad Wiliją, my udajmy się napowrót do Krewa! — tam czekają nas jeszcze niepospolite wypadki.

(1) Wigand p. 298 w kronice swojej to zdarzenie przywodzi (ap. Voigt. V. p. 372.) któreśmy w *historyi Wilna* T. 1. str. 37. i Narbutt w Dziejach Nar: Lit. T. V. str. 297. wymienili. Długosz, Stryjkowski i Naruszewicz, nic nie wspominają o tem cudownem zjawisku, które jak słusznie wnosi uczony i pracowity badacz historyj lit: Narbutt, było zapewne sztuką pogańskich kapłanów, bardziej przychylnych Kiejstutowi, jako obrońcy upadających obrzędków ich wiary, aniżeli stronnictwu Jagiełły.

Znowu, lecz tą razą nie ponure już wrota podziemnego lochu, ale dębowe podwoje książęcych komnat w Zamku Krewskim otwarły się na przyjęcie nowego przybysza. Był nim młody i waleczny syn Kiejstuta, Witowd, którego sławę wkrótce potém wiek piętnasty rozniósł po całej Europie. Ujęty razem z ojcem, przebył aż do zgonu jego w zamku Wileńskim pod ścisłą strażą, i dopiéro aż po tym smutnym wypadku wywieziony został do Krewa. Jechała z nim jednak żona Anna ze swemi służebnicami; mając pozwolenie od wieczora do rana dzielić niedolę męża i osładzać jego cierpienia. Lecz wkrótce się okazało, że smutniejsze losy zgotowane były dla Witowda i podobne ojcowskiemu czekało go przeznaczenie. Próżne były książąt i rycerstwa litewskiego prośby, próżne usiłowania samego nawet Mistrza pruskiego o uwolnienie syna Kiejstuta. Zanadto jawnie gieniusz młodego wojownika wielką mu obiecywał przyszłość, i za mocną była podejrzliwość w naturze Jagiełły, drażniona bez ustanku namowami siostry i Skirgajłły, żeby Witowd z tego pogromu swojej rodziny mógł wyjść ocalony.

Czego jednak nie mógł dokazać głos powszechny prawie Książąt i szlachty, osiągnęła to miłość małżeńska cnotliwej kobiety. Anna żona Witowda, przerażona coraz pewniejszemi wieściami o postanowionej zgubie męża, ostrzegła go że nie było chwili do stracenia. Ułożono się więc o sposób ratunku;

a przywiązanie i szlachetne poświęcenie się dwóch niewiast wynalazło go natychmiast. Księżna miała wolność bywać u męża w towarzystwie dwóch służebnic ze swego orszaku. Jedna z nich, jak niektórzy twierdzą, Helena, (1) ofiarowała się poświęcić dla ocalenia najwaleczniejszego z synów Kiejstuta. Anna oświadczywszy chęć udania się do Mazowsza, i mając już na to pozwolenie od Wielkiego Książęcia, przyszła jakoby już raz ostatni przed wyjazdem przepędzić czas z mężem. Równie teraz jak i zawsze, wyszła księżna od Witowda mając za sobą dwie owe niewiasty, o których wspomnieliśmy; ale jedną z tych niewiast, nie była służąca, lecz sam Witowd, młody w ówczas i niemający brody, a zatem łatwo

(1) Tak ją mianuje Narbutt (V. 305.) Długosz, Stryjkowski i Naruszewicz, ani też kronikarze ich poprzednicy, niemają takich szczegółów jak pierwszy dziejopis, o tym wypadku. Życzyćby należało ażeby zacny badacz dziejów Litewskich, na dopełnienie swojej prawdziwie dobroczynnej dla następców w zawodzie historycznym pracy, nieomieszkał ogłosić drukiem kronik i rękopismów wynalezionych przez siebie, z przydaniem dowodów ich autentyczności. Krytyka niezmiernieby na tem zyskała, a P. Narbutt nową gałązkę do ziednanego już wieńca przydając, do nowej wdzięczności swoich spółziomków prawaby nabył; co do nas, żałujemy że na teraz, niemając pod ręką piątego tomu historyi Pruskiej Voigta, niemożemy porównać faktów i powieści wszystkich teraz wymienionych dziejopisów, z nowemi odkryciami historycznemi, jakie o rzeczach Litewskich poczynił Voigt w tajnem archiwum Królewieckiem.

w szaty kobiece przebrany, trudny zaś przy niepewném świetle jesiennego brzasku do poznania. Uwolniony w taki sposób z pod ścisłej straży Witowd, przepędził cały dzień w mieszkaniu żony, a za nadejściem nocy spuściwszy się na sznurze z okna murów zamkowych (1), udał się manowcami z wiernym sobie pocztem sług i rycerzy, do szwagra swego Janusza książęcia Mazowieckiego; księżna zaś Anna z dziećmi, w tęż samę drogę pojechała za mężem. W zamku tymczasem nikt nie domyślał się wcale o tak niespodzianém podejściu. Trzeciego dnia dopiéro, dowodzący w Krewie Proksza miał odkryć ucieczkę swojego więźnia. Odważna niewiasta, która szat swoich użyczywszy Witowdowi miejsce jego zajęłą w więzieniu, padła ofiarą zemsty. Ale Witowd zachowany został na długie jeszcze lata, dla sławy swojego narodu i pogromu dumnego zakonu, który z taką zawzjętością czyhał na jego zgubę pod obłudném hasłem gorliwości o sprawę chrześcijaństwa.

Tułactwo Witowda trzy lata blisko trwając, niebyło mu bezużyteczne. U Krzyżaków, do których potém z Mazowsza się udał, wykształcił się w sztuce rycerskiej, poznał mowę i obyczaje niemieckie.

(1) Długosz Lilr. X. 65. namienia o tem: ac nocte insequenti per funem se ex castro demittens ad maritum sororis suae Ianussium Mazoviae ducem primum pervenit.

Wielki zamysł Jagiełły rozgłoszony potém wszędzie po Europie, podzielenia z Jadwigą tronu polskiego i przyjęcia wiary chrześcijańskiej, a ztąd nadzieja otrzymania od przyszłego Króla rządów Litwy, pogodziły Witowda z bratem; a też same komnaty w baszcie zamku krewskiego, które niedawno jako więzień przeznaczony na zgubę smutnie zamieszkiwał, przyjęły go w r. 1385 jako książęcia krwi Olgerdowej, władcy Grodna i Podlasia, wezwanego zapewne na dwór zwierzchniego Monarchy Litwinów, w celu stanowczej narady o przyszłe losy kraju. Jakoż postać Krewa w lecie pomienionego roku świetniejszą może była, niż kiedykolwiek, niż wtenczas nawet, kiedy udzielni jego panowie zakładali w nim swoje mieszkania. Wielki Książe Jagiełło licznym i wspaniałym otoczony dworem przedniejszych ziemian Litwy, Kniaziów i Bojarów, rozrywał się obyczajem owych wieków łowami około Krewa, oczekując wypadku zjazdu szlachty polskiej w Krakowie. Ztamtąd miała nadejść ostateczna odpowiedź na jego oświadczenia co do małżeństwa z Jadwigą, i osiągnienia Korony Piastów. Bawili przy Jagielle podówczas bracia jego rodzeni, Książęta Skirgajłło, Korybut i Lingwenis, prócz stryjecznego brata Witowda, orszakiem rycerstwa swojego pomnażając świetność dworu w Krewie. Po krótkich naradach w Krakowie padł nakoniec wybór na Jagiełłę, i wyznaczeni z tego zjazdu posłowie, ciż sami co wprzód z króło-

wą Elżbietą matką Jadwigi układali te sprawy, udali się do Litwy. Jakoż w Sierpniu 1383 stanęli na zamku w Krewie przed Wielkim Księciem Jagiełłą, Mikołaj Bogorya kasztelan Zawichostski, Włodek z Ogrodzieńca podczaszy krakowski, i Krzesław z Ostrowa dzierżawca Kazimirski, od baronów polskich wysłani, a z niemi przybyli dawniejsi posłowie Węgierscy, Stefan Proboszcz Chanadyjski i Stanisław Kaza syn Kakasa Kasztelan Potocki. (1) Nastąpiły układy, a wtenczas Krewo zajaśniało blaskiem nowej zorzy wschodzącej nad dwiema krajnami północy. Jagiełło przyjął dawniej umówione warunki, pod któremi miał zasiąść tron obok pięknej Jadwigi, i nowem uręczeniem, wspólnie z bracią swą Skirgajłłem, Korybutem, Witowdem i Lingwenem, utwierdził je przez dyplomat pisany w Krewie w poniedziałek, w wigilią Wniebowzięcia N. Panny Maryi (2).

(1) Co do nazwisk tych posłów poszliśmy za Naruszewiczem raczej (księ. XXVIII. § 34.) nie za Długoszem, który do wymienionych jeszcze przydaje: Piotra Szafrańca z Łuczyc i Hińczkę z Roszkowicz (Lib. X. p. 99.) ale ci do powtórnego podobno poselstwa należeli. Naruszewicza wykład zgadza się właśnie z tem co wymienia dyplom w Krewie od Jagiełły dany, o którym niżej mówimy.

(2) Dyplom ten, jeden z najszacowniejszych zabytków piśmiennych do historyi Litewskiej, dochowany szczęśliwie dotąd w archiwum kapituły Krakowskiej, ktorego Naruszewicz część znaczną wprzypisach do historyi swojej przytoczył, ogłoszony został w całej obszerności swojej, i w wiernym

Z tych więc posępnych zwalisk, do których dziś w zakątku Litwy rzadki wędrowiec czasami zagląda, wyszedł przed czterema wiekami niecofniony wyrok sprzężenia w jeden los dwóch różnych wiarą i obyczajami ludów, wtenczas kiedy jeszcze mury Krewa, stały nienaruszone w całej ponurości średnich wieków, grożąc dzielnym odporem nieprzyjaciołóm Litewskiego państwa. Długo też jeszcze zamek Krewski i kraina której był niejako stolicą, zachowały znaczenie swoje w zarządzie kraju. Kiedy już Jagiełło, opuściwszy w roku 1385 jako poganin Litwę, wracał do niej po chrześcijańsku Królem Władysławem: w apostolskich jego pracach Krewo stało się przedmiotem szczególnej troskliwości. Do siedmiu parafii wiary św. Rzymsko-Katolickej, w dzień zniszczenia bałwochwalstwa Perkuna fundowanych w Litwie, należało i Krewo. Na ruinach zapewne świątyni jakiejś pogańskiej, która przy tak ważnym zamku musiała się znajdować, na wygaszonym ognisku może Znicza, wznosił się Krzyż

odpisie w tomie IV pomników historyi i Litteratury polskiej uczonego i gorliwego o wzrost dziejów krajowych męża Michała Wiszniewskiego. Zasługi jakie wydaniem tego pięknego zbioru położył P. Wiszniewski, są wielkie i godne wdzięczności publicznej. Obyśmy prędko ciąg ich dalszy oglądać mogli! Dypłomat ten Jagiełły należy do najciekawszych w tym zbiorze, a rysunek trzech pieczęci jest niezmiernie zajmujący.

kościoła parafialnego, jako wieczne godło wiary Chrystusa, który odtąd zaczął przyświecać nowej cywilizacyi w okolicach Krewa.

We cztery wieki po tych sławnych wypadkach, któreśmy teraz na pamięć przywiedli, ten sam strumień zwilżał kamienistą dolinę Krewa: ale rozerwawszy dawne zapory, które czyste wody jego wielkim stawem ogarnęły, płynął polotnie szemrząc na czas i ludzi, co sprzysiągłszy się razem, ów sławny zamek którym się pysznił w gruzy zamienili. Nie było już owych baszt najeżonych włóczniami zbrojnego rycerstwa, ani owych zabobonnych czcicieli Perkuna, którzy ogień mu palili i węże pielęgnowali, nieprzybywali już tam więcej ani na łowy ani do niewoli, owi bitni, sławy spragnieni i kłótliwi władcy pogańskiej Litwy. Zwaliska stérczały tylko ponuro, zaścielając rumowiskiem swém szeroko całą dolinę, zapomniano nawet kto panował i co robił w nich, w tenczas kiedy były zamkiem. Czasem tylko wiatr jesienny, głuchy jęk wynosił z ciemnego okna od spodu rozwalonej baszty. Słysząc je przechodzący, młodzi i starzy, kobiety i dzieci, wszyscy znakiem krzyża świętego witali to smutne miejsce. Bo wszystko poszło w niepamięć; ale zgon niezasłużony walecznego i mądrego Kiejstuta, dotrwał aż dotąd. Spokojni mieszkańcy Krewa wiedzą i teraz, że był niegdyś książe i rycerz wielki i sławny, który bronił ich kraj od napaści, a niezwyciężony w boju, w tém

okrótném więzieniu padł ofiarą. Żyją oni z tą jeszcze pamiątką, ale nie myślą już o Perkunie i rycerskich czasach. Garncarstwo główném ich jest zatrudnieniem, i przy uprawie ogrodów jedynie prawie służy do utrzymania ich rodzin. Historya też Krewa przez czterysta lat nadzwyczaj zmalała. Nikt z geografów i statystyków Polskich dawnych, prócz Sarnickiego, nie wspomniał nawet o tym zamku. A i ten tylko jego położenie geograficzne wymienił (1). Zapewne nigdy już ze swojej nicości publicznej niepowstanie. Jednakże na początku wieku ośmnastego, ustronie to dało się przypomnieć jeszcze raz osobliwszém zdarzeniem które tu opiszemy.

Pewnego dnia w roku 1804, jak powieść niesie, jeden z takich garncarzy lepił garnki; ale co tylko ukształcił garnek, zaraz każdy na nowo w glinę się obracał. Przestraszony więc udaje się do proboszcza. Ten naturalnie nie chciał wierzyć baśni, ale gdy garncarz codziennie zaglądał doń po radę: sprzykrzyły mu się te odwiedziny i skargi, rzekł więc raz garncarzowi. «Powiedz temu co ci takie psoty «wyrabia, czy on szatan czy upiór, niechaj przyj- «dzie do mnie." Odszedł garncarz rozmyślając nad

(o) *Descriptio veter. et nov. Polon:* p. 253. w T. 1. zbioru Mitzlera. Na karcie jednak geograficznej Litwy roku 1613 staraniem Mikołaja Radziwiłła w Amszterdamie wydanej, Krewo oznaczone jest jako miasteczko w Powiecie Oszmiańskim.

tém, jak ma powiedzieć co słyszał. Tym czasem jednego wieczoru siedział proboszcz przy stoliku nad książką, na kominie paliły się drewka. Aż w tém wychodzi głównia z komina, idzie przez izbę za drzwi, rusza przez dziedziniec — i w mgnieniu oka zapala stodołę ze zbożem. Potém gdzie się tylko proboszcz obracał, wszędzie padały na niego kamienie niewiedzieć skąd. Gdy się takie sceny przedłużały, doniesiono o tym władzom prowincionalnym, które wysłały komissyą śledczą, złożoną z komissarza ziemskiego i delegowanego od kapituły, a jeden z zasłużonych professorów uniwersytetu zjechał jako fizyk, aby dociekał czy nie odkryje jakich napozór dziwnych, ale znajomością przyrodzenia łatwych do wytłómaczenia fenomenów. Śledztwo długo pracowało badając starannie wszystkich, ale nic wyjaśnić nie mogło; śledzący tylko również kamieniami częstowani byli. Nakoniec strachy owe same przez się ustały: a tymczasem proboszcz odkrył gdzieś w starych papierach archiwum swojego, że były niespełnione wota i zaniedbane msze za dusze jakichściś parafian. Zajął się więc dopełnieniem zaległych ślubów, a napaść tajemnicza nigdy już niewróciła. Zdarzenie to głośne w całej prowincyi wielu żyjących świadków dotąd pamięta, a okoliczni mieszkańcy Krewa często o niém rozprawiają. Jak sobie to wytłumaczyć potrafi czytelnik, nie do nas należy. Idzie raczej o to, żeby nam niewyrzucano żeśmy taką

powieścią zakończyli historyą zamku pamiętnego zgonem Kiejstuta. Ale dziejopis każdego miejsca, wierny obraz zdarzeń w nim zaszłych przedstawić obowiązany. Alboż nasza jest wina że w Krewie przez czterysta lat od zaprowadzenia chrześcijaństwa, żaden ważniejszy wypadek nie zaszedł, nad to cośmy na ostatniej karcie naszego pisma opowiedzieli!

Michał Baliński.

ZAWSZE.

Wiersz napisany w rocznicę śmierci przyjaciela mojego, księcia Platona Dadiana (wnuka Kacyi Panującego niegdyś księcia Mingrelij i Simona Panującego dawniej księcia Guryj) zmarłego w kwiecie pierwszej młodości w domu ciotki Carycy Imeretyńskiej Maryi w Petersburgu 18 Septembra 1838 r.

Kiedy po raz ostatni matka mnie pieściła
Siła już lat temu, siła
Czy będę ją pamiętał, pytała mnie syna?
Zawsze szczebiotałem, biedna ja dziecina. (*)
I to *zawsze* dziecięcia święcie dotrzymałem,
Ja *zawsze* matkę moją, *zawsze* pamiętałem!

(*) Emilja Felińska z domu, siostra Aloizego Felińskiego autora Barbary i sama obdarzona niepospolitą zdolnością do poezyi. Wiersze jej Cyrce umieszczone niegdyś w Pamiętniku Dmochowskiego znają miłośnicy literatury. Dobra, czuła, zbyt czuła może, równie kochana jak szanowana, padła w kwiecie wieku ofiarą swojej czułości.

Lecz o jakżem szafował później słowem *zawsze*,
Miło go było mawiać gdy losy łaskawsze
Snuły kwieciste pasmo, dni młodego życia,
Kładąc na skroń (mniemałem) nie zwiędłe uwicia.
Kto nie zna mroźnej zimy, i zżółkłej jesieni,
Nie sądzi że uwiędnie, liść co się zieleni,
A pączkowi róży,
Któż o śmierci wróży?
O burzach i rozbiciach chociaż ucho słyszy,
Pierś się burzy nie lęka, w śród łudzącej ciszy.

Gdy piłem czarę szczęścia przyjaźnią zaprawną
Niedawno temu, niedawno,
On się pytał czy długo szczęśliwi będziemy?
Ja długo smutny i niemy,
Zawsze, później wyrzekłem; tak serce szeptało,
I wróżyłem młodemu, przyszłość w szczęściu stałą,
Śmiertelny, śmiertelnemu, *zawsze* wymówiłem.
O Boże! czuje błąd mój, ciężko przewiniłem,
Zawsze w życiu jednemu, przynależy tobie,
A człowiek go dopiero, napotyka w grobie.
To słońce życia mego, tylko co powstawsze,
W najpiękniejszym poranku pogasło na *zawsze*,
Osierocili dla mnie, przeciąg życia cały,
Matka lata dziecinne a on wiek dojrzały.
Zawsze! dzisiaj cię rozumiem,
Bo dziś tylko śmierć czuć umiem.
Zawsze, tak strasznie w sercu odbija się u mnie
Jak ziemia co po jego gruchotała trumnie,
Nad Newą, nad Rjonem, trzy lata w żałobie
Hoża młodzież i piękność roni łzy po tobie,

Ja żałość mą śpiewając smutnemi wierszami,
Wyproszę ci łez kilka nad Wisły brzegami!
Jakkolwiek przyszłość nasza, zakrytą, i ciemną
Ja czuję że przed Bogiem, ty czuwasz nademną,
Wszystkoż się rozbić miało o te grudy ziemi,
Com na grób jego sypał, rękoma własnemi,
Nie, jak bądź przyszłość nasza, zakrytą i ciemną,
Ja czuję że przed Bogiem, on czuwa nademną.
I pieśń żalu zaczętą, na płaczu padole,
Ja zmienię w hymn wesela, w lepszych istot kole.

Wojciech Potocki.

PUSTELNICY.

LEGENDA

Z CZASOW BOLESŁAWA CHBOBRЕGO R. 1005.

Na puszczy w Wielgo Polsce pustelniki żyły
Z ubożutkiej jałmużny, w czystości, w pokorze,
A w on czas rozkazywał na Gnieźnińskim dworze,
Bolesław Chrobry — Xiąże wielgiej w bojach siły,
Pan pobożny, uczciwy, i słynny z szczodroty
Więc onym pustelniczkom słał drogie klejnoty —
A przed się ci z wdzięcznością uprosili posły,
By Królowi napowrót klejnoty odniosły.
«Naszym skarbcem jest serce — mówili w prostocie.
«Wzdy Bóg i ptaszki żywi, więc co nam po złocie."
Przetoż posły wróciły. Ale zbójce chciwe
Posłyszały o skarbach, a więc zapalczywe

Jak drapieżne jastrzębie, a chytre jak węże,
Wytraciły żelazem owe święte męże.
W tem Król gniewem zapłonął i rozżarł się srodze,
I wysłał imać zbójców rycerstwo i wodze,
Ci wchodzą w bór cienisty — aż suną po lesie
Blade zbójce, a każdy goły oręż niesie,
Wzrok się zbłąkał, i dębem włosy się im wzniosły,
Krew do pięści przylgnęła, a pochwy się zrosły.
Więc jęli je — a Król je odesłał przed Sędzie
(A na onym dwanaście siedziało urzędzie)
(Które są najgodniejsze, zacnego imienia)
Ci sądząc wedle zbrodni, i wedle sumienia
Gardłem je pokarali — Kiedy Świętych ciała,
W Gnieźnie, w śród cudów Wielga Polska uwielbiała.
I załomiła ręce na swych synów grobie
Podobna onej smętnej poganów Niiobie.

Antoni Czajkowski.

Osobliwsze Przygody.

GAWĘDA.

Było to na Podlasiu. Pierwszy raz w życiu moim i ostatni ujrzałem razem zgromadzonych kilkunastu równą siwizną okrytych, z dawnych czasów mężów. Obchodzono imieniny pana Skarbnika Michała, szanowanego w okolicy obywatela, poważnego siwizną, uczciwego sercem i duszą. Obok tych starców, znajdowało się już nie młode grono nowego pokolenia, a między niemi mała liczba wojowników.

Młodzież z gronem kobiet rozpoczęła rzeźwe tany, a starcy z puharem gawędą czas mile pędzili. Com zachwycił ciekawym uchem, opowiem.

— «Pijemy zdrowie szanownego gospodarza, kochanego Skarbnika!" zawołał pan chorąży.

— «Niech żyje lata Matuzalowe!"

— «Dziękuję, dziękuję," odrzekł pan skarbnik, kłaniając się na wszystkie strony. «Ale czémże się zabawim, młodzież hasa, przysiada trzewiczki białymgłowom, prawi androny."

— «Ba mój mości skarbniku, i my za naszych czasów również dokazywali, lubo nie tak kuso i obcięto we fraczkowym sposobie: niezważalim co mówi on sławny Wirgilius:

Jak Wenus, tak Bachus, człeku
Ujmuje sił, ba, i wieku!

I to rzekłszy pan arcy-Stolnik, musnął się po czuprynie.

— «Oj Wenus, nie jednemu dużo zabrała czasu, bo gdzie ona zajechała, już tam księgi fora z dwora. Nie próżno powiedział jeden ze starych Rzymskich poetów:

Dziwnie się Wenus kocha w próżnowaniu.
Róbże, chceszli mieć koniec miłowaniu.

— «Co tam mój arcy-Stolniku prawita, każde młode piwo musi wyszumać, i każdy z nas grzechy młodości musiał opłacić, dobrze że ich nie zachował na stare kości." To rzekłszy pan Stolnik, dolał pełnego puhara. — «A teraz moi mili sąsiedzi może pozwolicie w karty, w kiksa do puli, albo w *Elbecwelbe*."

— «Porwan katu ten stolik i ta sedenterya, za moich czasów — prawił pan cześnik — to rzadko zajrzałeś karty na stole, a teraz byłeś wysiadł z kolasy, to zaraz siadaj tu grać w jakiegoś wiska, co ci kieszeń wyiska, pamiętaj wszystkie kolory, jak formuły alwara, i jeszcze zapłaciwszy musisz słuchać nieraz reprimendy. Ot mój szanowny gospodarzu, my tu gawędką zabawim się lepiej, albož nam braknie kiedy wątku? žyliśmy długo w dawnych czasach, a i człek niepleśniał doma, bo to dobrze mówią, že kamień na miejscu mchem obrasta; a nasze dwory, nasze łowy, małož nam szepnąć w ucho mogą? Na początek ja waszmościom opowiem: žywot i sprawy sławnego Szymona *Konopki*, nadwornego strzelca Pana Tyzenhauza; opowiem, wiernie com z jego własnych ust zasłyszał; proszę jeno miłego gospodarza, by na podorędziu było czym usta zaschłe odwilžyć."

«Pan Szymon Konopka, urodził się w dobrach tego pana około *Žołudka* w Nowogrodzkim: wychowany i urodzony między lasami i jeziorami syn nadleśnego, który cały žywot trawił na polowaniu, i był zawołanym myśliwym, ažeby nietylko panu swemu Tyzenhauzowi, lecz i na stół Królewski ile možna najwięcej dostarczyć zwierzyny: nic dziwnego, že Szymek od lat dziecinnych miał już žyłkę do łowów, a całą myśl jego zajęły polowania, stanowiska, želaza na lisy i doły na wilki. Ale ojciec

w ryzach trzymał syna małego, nie pozwalał mu wybiegać za dom, płakał a siedział nad elementą. Wprawdzie pod niebytność ojca dorwawszy do ręki jednę z jego broni, których miał wiele, i uzbierawszy nieco rozsypanego prochu, gdy go wychodząc na łowy ojciec między gajowych dzielił, skoro wszyscy wyjechali i Szymek wylatywał do lasu, i ptaszęta lub wiewiórki bijąc, doskonale się w strzelanie celne wprawił. Ale ojciec pomiarkował to, kazał szafę zrobić i jaką broń miał na klucz zamykał, odejmując synowi wszelką strzelania sposobność. Został jedynie zawieszony na kołku stary odwieczny karabinek dragoński, wraz z ogromną szablicą, jako pamiątka służby wojskowej ojca, w pułku dragońskim Fleminga za panowania Augusta, które to zabytki dawnej wojaczki rdza już gruba i kurz pokryły.

Miałem — prawił mi sam Konopka — nieco uzbieranego prochu, ale nic więcej; chcąc chociaż na wiwat wystrzelić, wlazłszy na stół potrafiłem zdiąć karabinek, a kilka dni pracując należycie wyczyściłem, nabiłem, i już miałem wybiedz, gdy słyszę turkut bryczki: drżący i struchlały zaledwie karabinek na miejscum powiesił, zajechał mój wuj kanonik Miński, który równie jako i mój rodzic myśliwy, przyjechał doń na łowy. Osobliwie też lubił na borsuki polować, przywiózł więc z sobą śliczne taksy kurlandzkie. Nie długo bawił i za rodzicem po-

jechał, zostawiwszy pod moim dozorem faworytną na oszczenieniu taksicę. Dopieroż ja z karabinkiem biegnę na łąkę po nad jezioro żeby wystrzelić: patrzę aż na wodzie na wywrócie starym, siedzi ośm w szeregu kaczek dzikich. Myślę sobie jak strzelę to je spłoszę, ach żebym miał czem nabić, tobym zabił którą, ale prócz prochu nic niémam. Jużem myślał o kamykach, grochu, gwoździach, ale i tego niémam, a niżeli z domu wrócę kaczki nie dosiedzą i żadnej nie dostanę. Nagle przychodzi mi myśl szczęśliwa; karabinek ten dragoński miał stępel żelazny, obwijam go w pakuły, kładę w lufę, ale przytém rozumuję sobie: jednym stemplem jedną zabiję kaczkę, a szkoda kiedy ich razem tyle w szeregu, czyby niemożna więcej. Zachodzę im przeto z boku tak żebym jedne tylko widząc i drugą trafił. Jak palnę, nabój był wielki, stępel spiczasty, gdym pierwszą trafił przeszedł przez wszystkie, i wszystkie na miejscu zostały. Uradowany, zebrałem ośm kaczek z wywrotu, zanoszę do domu, ale nowy kłopot, nieznalazłem stępla. Strach wielki, bo ojciec srodze się rozgniewa, a może i skurę wyłata: biegnę więc szukam wszędy, na wywrócie, w wodzie, nigdzie go niema, pewno utonął w jeziorze: już się zaczynam rozbierać, gdy nagle na drugiej stronie wody dojrzałem że się coś rusza przy sośnie. Patrzę, człowiek — nie żaden człowiek, ale jakieś zwierzę, porywam szablicę ojca, wracam,

co widzę miły Boże! a toć to sarna przybita stemplem do sosny kręci się i rusza. Dobijam szablą i znajduje szukany stempel, on przeleciawszy jezioro, utkwił w sosnę w tym momencie gdy biegła sarna, i sam ją przybił do sosny. Uradowany tak niespodzianie grubą zwierzyną, patrzę na mój stempel że zfarbowany, trzeba go więc obetrzeć żeby znów nie zardzewiał. Rosły i gęsty był szuwar nad brzegiem jeziora, trącam stemplem po trawie, widzę, że się coś tam rusza, kładę rękę, coś kosmato, a to zając co przysiadł był w szuwarze nie zabity, ale trącaniem stempla między słuchy odurzony; porywam za zadnie skoki, i żeby go łatwiej zabić na twardej ziemi, wynoszę na rolę, a zboże już kłosowało, jak utnę o ziemię, aż tu znajduję parę kuropatw co właśnie na gnieździe siedziały. Tak więc od jednego strzału zabiłem ośm kaczek, sarnę, zająca i dwie kuropatwy.

Zmęczyłem się wielce zanim zniósł tyle zwierzyny do domu: rodzic mój nie łajał uradowany że godnie odżyje w potomku; wuj zaś kanonik wyrobił pozwolenie, że odtąd będę ojcu towarzyszył na łowach, darował mi strzelbę i małego taksika z tych co się u nas urodziły.

Od onego więc czasu nie minęło dnia jednego, żebym czy to z rodzicem, czy sam nie wychodził na łowy, i mogę zaręczyć żem nigdy nie chybił i przychodziłem zawsze obładowany zwierzyną. Do-

gadzało to rodzicowi że bez żadnej pracy, mógł na stół Tyzenhauza dostarczać czego było potrzeba; ale jak wszyscy ludzie na świecie, czegoś jeszcze więcej po mnie zażądał. Tak u Tyzenhauza jako u wszystkich panów na Litwie, jaka tylko jest zwierzyna w kniei, jest własnością dziedzica: wilki tylko jedynie, lisy i borsuki, jako szkodliwe zwierza, wolno leśniczym bić i łapać. Rodzic więc mój zastawiał żelaza na lisy, kopał doły na wilki, a dosyć ich musiał łapać, kiedy kilka razy do roku, przyjeżdzali żydzi z Wilna i zakupywali furami skóry. Na nieszczęście chłopi z sąsiednich dóbr Radziwiłłowskich zwąchali te myśliwskie sztuki, i nietylko z dołów żelaza wykradali, ale razem wilki i lisy. Mój rodzic o połowę zaledwie mógł skór żydom sprzedawać. Razu jednego rzekł do mnie: «Szymku synu mój, nasz pan pojechał za granicę, zwierzyny mu nie trzeba, ale nam pieniędzy potrzeba: bij teraz lisy, a jeżeli mi ich najmniej snopek (1) co dzień nie przyniesiesz, to nietylko ci nowych sukien nie sprawię ale i fuzyę odbiorę."

Cóż robić, trzeba było ogromnie pracować, bo rodzic był surowy nie żartował, często i wygarbował skórę. Na szczęście mój taks faworyt od wuja darowany, a którego nazwałem *Kopacz* dorosł, i takiem go wyuczył szukania jam lisich, wypędzania

(1) Snopek skór lisich w Litwie sztuk dziesięć obejmuje

ich z nór i gonienia głosem, żem z początku po kilku codziennie lisów, a później po całym snopku mógł dostawiać. Jakżesz nieraz zmęczony wracałem, ledwiem nogi powłóczył z utrudzenia i potu. Podał mi ojciec radę oprawiać lisy wlesie, ale to dużo zabierało czasu: opatrzność poratowała biednego myśliwca. Raz wlokę się z całym snopkiem lisów, w tym słyszę mój kopacz znowu na jednego trafił i pomaleńku tropuje; myślę sobie, szkoda i tego, mniej pracy na jutro. Ale strzelba wystrzelona, prochu na nabój, ołowiu ani krzty, a tu mój psina doławia. Co tu robić? Spójrzę na bóty, zdarły się od chodzenia po kniei, odrywam obcas, dobywszy ćwieków sypię w lufę: aż tu ogromne lisisko chwieje kitą, jak gruchnę do niego — ale cóż baczę? Lis stoi w miejscu, jeno skacze to w bok to w górę, różne wyprawia szprynce zawsze na miejscu. Przybiegam, stoi; a on do dębu przybity za kitę ćwiekami tak mocno, że uciec nie mógł. Aha panie bratku' pomyślałem sobie, nie ujdziesz na sucho, kiedy widzę że umiesz tak na miejscu skakać, owoż ja ci jeszcze pomogę ażebyś mógł większego zrobić szprynca. Dobywam z torby kozika, złapię lisiurę za łeb, jak pociągnę po grzbiecie, przerznąłem skórę; porwę tęgiego kija, kiedy nie grzmotnę przez krzyże, kiedy niekrzyknę z gardła: «Nie bywaj tu!" a mój lisisko kiedy niewyskoczy ze skóry i dalej drapaka do łasa. Skórka śliczna została w moim ręku, daleko lepiej

obielona niżbym ja sam potrafił; i odtąd inaczej nie strzelałem tylko ćwiekami do lisów, i takim jeno sposobem zdejmowałem skórki.

—Ciekawie zapytałem Konopki, jak długo bez skóry mogły żyć te lisy.

—A Pan Bóg wie jak długo, bo znowu porastały na nowo: nieraz wychodziły znowu z kniei na mnie, alem nie strzelał aż po roku kiedy futra mieli lepsze. Ale to polowanie nie mogło trwać zawsze, zdarłem nie jedne bóty, to rodzic mi musiał inne sprawić; lecz mój biedny kopacz goniąc zawsze lisy, a co gorsza, kopiąc je po borsuczych norach, po dwóch latach pracy, zdarł sobie nogi zupełnie, że już ani pazurów ani nawet piętek nie miał, chodził na samych kikutach. Łowy na lisy urwały się: żal mi było wiernego psiny, bo darł się biedak ilem razy wychodził, a dogonić mnie nie mógł; i rodzicowi memu zle było bez skórek lisich, posłał mnie więc do Mińska do wuja kanonika, czyby nie ustąpił jakiego taksa; ale wuj już żadnego nie miał bo mu wyzdychały na nosaciznę. Wracałem na *Nieświcz*, gdzie była wielka psiarnia księcia Radziwiłła panie kochanku; może tam dostanę jamnika. Próżna nadzieja, nie było żadnego: książe pan trzymał najwięcej chartów, które czasem po tysiąc dukatów płacił; właśnie książe wrócił z zagranicy gdzie długi czas bawił, a odjeżdzając zostawił swoje charty żydom w Nieświeżu, ażeby mu je pod odpowiedzialnością do

jego powrotu wychowywali. Jakoż żydzi chcąc się przypodobać, wypaśli je jak wieprze, pouczyli służyć i aportować. Kiedym do Nieświeża zjechał wielkie znalazłem nieszczęście; najsławniejszy chart który księciu ogromne wygrywał zakłady, ukąszony w głowę przez lisa gdy go ścigał, oślepł całkiem, a gdy oczy mu wypłynęły i nie było żadnej nadziei, książe kazał go zastrzelić żeby więcej nie cierpiał. Spotkałem wprawdzie jak go prowadzili w pole na śmierć; żal mi się zrobiło, śliczny chart, tęgie nogi, w całej sile wieku, a zatém proszę panów dworskich żeby mi go darowali: miał mój rodzic piękną charcicę, myślałem że może pięknego doczekamy się potomstwa. Wiodę go do domu: ale ślicznie mię rodzic przyjął, porządnie wygrzmocił plecy żem bez jamnika powrócił, krzycząc, że mu darmojadów tylko zbieram, i chyba chcę łazaret psi założyć, mając kulasa jamnika i ślepego charta.

Prócz bolu dojęła mi więcej pogróżka rodzica, co się zaklął że chore psy mi wystrzela. Żal mi było mego kopacza, wziąwszy go więc na ręce, a ślepego charta na sznurek, poszedłem z nimi w lasy do znajomego gajowego, w nadziei że go uproszę aby jaki czas je przechował. Idąc knieją gdzie najwięcej było nor borsuczych i jam lisich, musiały biedne psiska zwietrzyć że lis swieżo przechodził, bo kopacz mi z ręki zeskoczył, a chart urwał się ze sznurkiem i dalejże heco za tropem. Slepy chart

uderzył łbem o drzewo i upadł, jamnik chciał lecieć, gonił głosem ciachu! ciachu, a lazł; ażem zapłakał z żalu pomnąc co to za psy były. Zmęczony siadam na wywrocie, psiska się kładą w nogach skomląc z żalu, że zwierz blisko, oni go gonić nie mogą. Kiedy tak siedzę w dumaniu, przychodzi mi myśl szczęśliwa, przywiązuję jamnika na kark chartowi i puszczam w knieje. No patrzcie państwo! udało się wybornie: kopacz gonił głosem, a za jego obrótami stary chart tak doskonale ścigał lisy, że biłem ich tyle co dawniej, a rodzic udobruchany pozwolił mi moje kaleki do domu wprowadzić.

Wrócił nasz pan z zagranicy, a zasłyszawszy o mnie, kazał rodzicowi aby oddał syna do dworskiej służby. Niechętnie odwiózł mię pan ojciec do Żołudka, gdzie Tyzenhauz mieszkał. Dostałem jurgielt, barwę, a prócz tego później gdym zasłużył na pańskie zaufanie, miałem osobne z jego szkatuły wynagrodzenie. Mniej wychodziłem na łowy, ale jednych niezapomnę do grobowej deski. Miał książe Radziwiłł w Nieświeżu, wielkiego faworyta niedźwiedzia, którego zwano Borutą. Ten od małego wychowany znał dobrze ludzi, chodził sam po mieście, żydom figle płatał, którzy żeby się od niego obronić, dawali mu zawsze mięsa i miodu dostatek; przybiegał na zawołanie, tańcował, czapki umiał zdejmować, a nawet gdy byli goście a osobliwie cudzoziemcy, doskonale służył księ-

ciu do stołu, trzymając talerz pod pachą za stołkiem, i odmieniając go panu, prawda że zawsze za prędko ażeby zjadać pozostałe potrawy. Bardzo się Tyzenhauzowi podobał Boruta, chciał go użyć do baletów które dla Króla gotował (*); przymawiał się o niego Radziwiłłowi, ale napróżno.—Panie kochanku wolałbym folwark darować, jak ustąpić Borutę.— Skończyło się na tym że gdy baletmistrz Włoch *Petinety*, ułożył umyślnie dla Boruty balet, gdy go mój pan nie dostał, musiano w czasie bytności królewskiej w Grodnie, zamiast żywego niedźwiedzia, obszyć chłopaka w niedźwiedzią skórę. Trzebaż żeby Boruta ni ztąd ni zowąd poczuwszy może jaką kochankę w kniei, nagle się wydarł z Nieświeża i drapnął do boru. Radziwiłł rozgniewany całą zgraję myśliwych, dwór, pańszczyznę i żydów wyprawił ażeby go ująć; próżno z tydzień chodzili po wszystkich Radziwiłłowskich puszczach, czy się ukrył na sosnie, czy drapnął w dalekie strony za niedźwiedzicą, ani śladu pana Boruty. W miesiąc może donosi mój rodzic Tyzenhauzowi, że w naszych kniejach jest jakiś osobliwszy niedźwiedź, który się włó-

(*) Za Stanisława Augusta pierwszy balet Tyzenhauz założył ze swoich poddanych, pod dyrekcyą dwóch do tego sprowadzonych baletmistrzów, *Petinetego* i *Ledoux*; z ich szkoły wyszli zawołani tancerze: Zorż Walczyński, Korczyński, Michałek. Panny Sitańska, Malińska, Jabłońska; później całą trupę ustąpił Królowi do Warszawy.

czy po wsiach, a co gorsza domy nachodzi, z garnków wyjada, a chłopom kiedy go odpędzają kijem boki łomocze. Mój pan który zawsze darł koty z Radziwiłłem, aż wyskoczył w górę z radości krzyknąwszy: «Dali Bóg czy to nie będzie Boruta!" Obruciwszy się do mnie rzekł: «Słuchaj Szymku, zabierz całe moje myślistwo, dwór, zgoła co tylko żyje oddaję pod twoje rozkazy, a sprowadzisz mi tu Borutę; gdyby uciekał to choć z niego skórę, ażebym ją mógł Radziwiłłowi posłać i pokazać że com chciał, to mam."

Podrapawszy się w czuprynę: «dobrze jasny panie, odrzekłem, ale muszę 'go wprzódy wytropić, czy jest jeszcze w naszych kniejach, czy czasem niewrócił do puszczy Radziwiłłowskiej, bo tam, to już niepójdę."

—«Rób co chcesz i jak chcesz,—rzekł pan—byłem ja go miał żywego lub zabitego. I dał mi konia i garść pieniędzy na drogę.

Najprzód pojechałem do mego rodzica, dla wywiedzenia się o tropy: ale niecierpiąc mnie za to żem przestał mu bić lisy, prawie z domu wygnał mówiąc: kiedy zlizujesz pańskie talerze, to idź szukać takiego samego jak ty! — bo powszechnie mówiono że Boruta u stołu służył za pomywacza i talerze zlizywał. —Weź z sobą, prawił dalej, pańską pieczenię, a pewnie się z sobą u pieczeni spotkacie. Z pokorą przyjąłem gniew pana ojca, i ruszyłem sam szukać

w kniei kosmatej zguby. Jeżdze dzień po lesie, jeżdze drugi i trzeci naprożno; Boruty ani śladu, szczęściem raz znużony zajeżdzam do znajomego gajowego, który doniósł mi że jest niedźwiedź w kniei gęsto podszytej, a zwanej *Czarny Kierz*, ale tam dla gąszczu ciężko dojechać i trzeba pieszo bobrować. Zostawiam więc u gajowego konia i sam idę; chodzę dzień jeden i drugi po puszczy, ani śladu niedźwiedzia, ale gromady wilków chodzą po lesie, wyją a nawet rzucają się na ludzi, bo to było około Gromnicy. Nakoniec piątego czy szóstego dnia pod wieczór, tak zbłądziłem w lesie, że noc ciemna zaskoczyła, a tu ani wybrnąć z gąszczu, ani zobaczyć wsi lub chaty. Nie wiem gdzie jestem, głód dokucza, sięgam do torby gdziem miał zapas niemały z pańskiego stołu, ażem zadrżał, próżna, ani kawałka suchego chleba, a w około wilcy wyją. Chodzę i dumam stroskany, odwiodłem kurek od strzelby, tłukę się od drzewa do drzewa, aż z zachmury wyjrzał księżyc. Spoglądam w górę, widno jak dzień od śniegu, gwiazd i miesiąca; na wierzchołku ogromnej sosny doglądam starą barć wydartą po pszczołach, owoż myślę sobie tam będzie najlepiej, tam wilki niedojdą; prześpię się w ulu, może i miodu co znajdę na posiłek, a jutro z piérwszą zorzą hala drała do domu, niech diabli wezmą Borutę i mego Pana.

Z młodu jeszcze umiałem wdzierać się na drzewa za ptakami, wieszam strzelbę na gałęzi, włażę na

sosnę bardzo zręcznie, bo wilcy już tak blisko że mało mi hajdawerów nie podarły. Pakuje się do barci, siedzę jak w chałupie; odetchnąłem swobodnie, dziękuję Bogu, liczę sobie jak paciórki ogromne stado wilków co pod drzewem wietrzyło moje ślady po śniegu. Macam po bokach, niéma miodu, wykręcam się w ogromnej barci jakie zwykle bywają w puszczach litewskich, szukam głębiej, nierozważny zaledwom puścił się rękoma, spadam jak w otchłań do samego spodu sosny, bo była od starości spróchniała. Otóż tobie Szymku łowy! i Boruta przeklęty! jesteś jakbyś się zapadł we wnętrzności ziemi, jakby zamurowany żywcem. Chcę się wygramolić do góry, ani sposobu, za cóż się chwycisz to próchno w garści: strach i utrudzenie siły mi odejmują, polecam duszę Bogu i zasypiam. Ani wiem jak długo spałem, ale zbudziwszy się widzę w górze dzionek bo błyszczy światełko: krzyczę z całej siły, lecz przychodzi mi smutna myśl zaraz, że to próżne wysiłki, bo któż mnie usłyszy z pośrodka głębokiej puszczy. Umilkłem, miasto krzyku odmawiałem konającego modlitwę, gotując się na śmierć rychłą; w tym słyszę wyraźnie że coś chodzi kolo sosny, drapie się po niej coraz wyżej, jakby coś właziło na nią, nakoniec górny otwór zasłonił się całkiem i zupełna nastąpiła ciemność. Myślę że oczy śmierć mruży; ale nie, coś spuszcza się na mnie, coraz, coraz niżej, i jakiś ogrom kosmaty przygniata mię

do ziemi. Poznaję że to niedźwiedź: niepamiętam teraz czy ze strachu czy z rozpaczy chwytam go za zadnie nogi, niemoże się do mnie obrócić bo i jemu ciasno, ryczy z przestrachu, chciałby iść w górę ale mu ciężko, bo jeden wlazł a dwóch ma ciągnąć: kiedy niedostanę z torby kozika, jak zacznę go dźgać, niedźwiedzisko w górę całą siłą, ja go trzymam a kolę, niewyszło dwóch pacierzy a już jesteśmy w otworze barci. On zwalił się jak kłoda na ziemię, ja na niego, on się potłukł, a mnie było miękciej bo na futro jego i tłuste połcie zleciałem, i prędzej się zerwałem z ziemi od kosmatego wybawcy. Zaledwiem stanął na nogi, cóż ja baczę? a to mój znajomy Boruta, łatwo go poznać; teraz zrozumiałem dla czego zbiega nikt wytropić nie mógł, bo pewnie ten poganin krył się po barciach. Pochwyciłem go zaraz za obrożę, mruczał *mysio*, ale jakem zaczął kijem okładać, podniósł się pokornie, wtedy wsiadłem na Borutę, a ze strzelbą w jednym a kijem w drugim ręku tak dobrze zdołałem nim kierować, żeśmy przed wieczorem jeszcze zajechali na dziedziniec mego pana. Co to była za radość i podziwienie całego dworu, śmiechy z takiego wjazdu: ale mnie nie brało na śmiech, wróciłem jak z tamtego świata, znużony, głodny, zbity; z nędzy głodu a ze strachu włosy mi osiwiały tak jak są i teraz. Uradowany Tyzenhauz dał mi całą kiesę dukatów, alem mu podziękował za myśliwską służbę."

Tu Pan Cześnik odetchnął, a widząc zajęcie słuchaczy swoich, popił nieco z puchara i kończył:

-- « Odtąd Konopka został mianowany Szyprem nad statkami, którémi Dzwiną zboże i pieńkę corocznie do Rygi Pan Tyzenhauz spławiał; chyba czasem kiedy niebyło pracy na statkach, zachodzi do kniei. Nie tu miał przypadek, ale w drodze z Rygi jak to własnymi słowy Konopki opowiém."

«Płynąc corocznie do Rygi a z pieniędzmi wracając na powrót bryczką, znałem dobrze wszystkie drogi i manowce, którémi co prędzej można było do domu wrócić. Jednego roku zapóźnośmy od *pala* wyruszyli i późno stanęli w Rydze; rok był niegodziwy, handel upadł z powodu wojny na morzu, długo staliśmy z naszémi *strugami* i *wicinami* (1) w Rydze. Choć się zboże sprzedało, do samej prawie zimy siedziałem w Rydze za pieniędzmi, gdyż plenipotent Tyzenhauza pan starosta Onoczko, przyjechawszy pocztą co mógł na niemcach wycisnął, na resztę kazał mi czekać, zostawiwszy kałamaszkę, (2) chłopaka i parę koni. Pamiętam że to był adwent gdy przecie domęczyłem ich że mi resztę oddali, zabrawszy się więc z manatkami wyruszyłem ku domowi. Szczęśliwie Bogu dzięki bez żadnego przypadku dojechałem drożynami najbliższą drogą do Wilna,

(1) Tak nazywają się statki na Dźwinie większe daleko od naszych.

(2) Mały wózek łubem wybity.

a dalej aż do miasteczka Lejpuny, już tylko mil kilka od Żołudka, gdzie chciałem koniecznie stanąć tegoż dnia; dla tego popasawszy już wieczorem ruszyłem dalej. Zadymka była niezmierna, śnieg tak zasypał że drogi ani śladu, konie ustały: ciężko w śniegu nocować, więc po wietrze i po niebie kierując się pchamy się dalej. Widzę że w nieznanej jestem stronie, bagna, chrusta, nigdzie ani toru ani po drzewie zaciosów; po kilku godzinach drogi piekielnej wywróciwszy na bagnie, wpadłszy po uszy w dół wilczy, widzę światełko, — do niego ciągniem. — Była to nędzna karczemka na rozstajnych drogach, a w niej pełno żydzisków okropnych, obdartych, więcej podobnych do diabłów niż do ludzi: było ich dwunastu a ja sam ze szkatułą ciężką. Otożem trafił z deszczu pod rynnę. Chciałem dalej jechać ale konie ustały, uciekać niesposób i żydzi dogonią i wilcy zjeść mogą. W imię Boże zostaję, mam dubeltówkę nabitą, spać nie będę, aby konie popasły i zadniało, rozpytam o drogę i dalej ruszę.

—«A dokąd ta droga?" pytam gospodarza. —«Do Troków." odpowiada spoglądając jak sęp na świeże ścierwo. Tam do djabła, ja dalej teraz od domu niż byłem w Lejpunach; nietracąc miny pod płaszczem przenoszę szkatułę, wsuwam pod poduszkę, stawiam obok dubeltówkę i kładę się na stole. Żydzi między sobą szwargoczą, rachu, rachu! jak psy za zającem gdy go mają na oku, to w chodzą

to wychodzą, to się zmawiają. Słyszę jak okienicę z dworu szczapami podpierają, snadź ażebym im nie uciekł, nareszcie pomału po jednemu się wynoszą, to za piec, to do stajni, a kilku pod strych nad izbę; świecę zagasili, ogień na kominie ledwie tli. Oj źle! już po mnie, mówię po cichu pacierze, a nie tracąc ducha trzymam dubeltuwkę chrapaniem sen udając. W tym słyszę że cichuteńko deska w pułapie się rusza, a około mnie garnek wody wylano w prost na dekle dubeltówki: a więc ostatnia nadzieja zginęła. Udaje żem się przebudził, przewracam się na drugi bok, i słyszę że zaraz się zasunęła deska na swoje miejsce. Znowu udaję że śpię i chrapię, a cichuteńko pomaleńku zsuwam się pod stół, i tak przyczajony siedzę zostawiwszy płaszcz i futro na stole; po krótkiej chwili znowu się otwiera deska w pułapie, za nią druga i trzecia, a z tego otworu spada coś ciężkiego jakby kłoda na moje futro. Jęknąłem: uderza po raz drugi, znowu stęknę głęboko jak konający, a po kilkakrotnym uderzeniu ucichłem; już nie żyję. Słyszę jak żydzi po schodach pędzą do alkierza; ja znowu cichaczem na stół włażę; w padają do izby, ale na moje szczęście nie zapalają świecy i po ciemku szwargoczą: macają mnie, przewracają, kułakują dla przekonania się czy przypadkiem nie żyję. Zatrzymałem dech jak przed niedźwiedziem, tak dobrze, że mając mnie za zabitego, do gołego jak Pan Bóg stworzył rozebrali, suknie,

płaszcz, futro, dubeltówkę zabrali, szkatułę rozbili i pieniądze po ciemku między siebie rozdzielili. To szczęście że przyzwyczajony do częstego rozmawiania z żydami, co do mego ojca po futra lisie przyjeżdzali, mogłem dobrze ich zrozumieć. Chcieli niektórzy zapalić świece, ażeby się lepiej pieniędzmi dzielić, lecz stary ich herszt niepozwolił, bo mogłyby fury co jadą do Wilna zobaczywszy światło wstąpić. Dopiero nastąpiła rada co ze mną zrobić? aż mi włosy na głowie powstały gdym słyszał niektórych rady, żeby mię w ziemi głęboko zakopać, albo w przyręblu na bliskim błoniu utopić, ale i ziemia i wody zamarzły. Jeden radził w kawały pokrajać i w piecu spalić: i to przecie nie podobało się staremu, boby smród wydał że jakieś zwierze spalono, a tu już dniać poczynało i fury jakie mogły nadjechać. Mądre głowy więc starszych postanowiły żeby mnie do jutra jak można zachować, a w nocy do boru zawieść, porąbać i wilkom na pastwę wyrzucić; żeby zaś gdy kto w dzień wstąpi do karczmy, albo strażnicy szukając kontrabandy nie znaleźli trupa w karczmie, przeto wpakowali mnie w próżną beczkę, dno zabili mocno, włożyli na wóz i wywieźli do gęstego boru, gdzie zrzucili w krzaki i odjechali mając przyszłej nocy po beczkę wrócić. Otóż jeszcze żyję, ale miły Boże w jakim stanie! Mróz trzaskający a ja bez koszuli marznę, chcę się wydobyć, rozpieram boki i dno z całej siły, mocna beczka ani sposobu jej rozbić,

krzyczeć na cóż się zda, któż usłyszy chyba żydy; więc znowu oddaję Bogu ducha i leżę jak kłębek zwinięty. Słyszę coś chodzi koło mnie, stąpa, warczy; wyglądam otworem czopa i widzę całe stado wilków, snać poczuwszy świeże mięso wąchają, gryzą beczkę, drapią pazurami obręcze, przewracają na wszystkie boki. Jeżelim klął niedawno żem niemógł beczki zgruchotać, jakże byłem teraz szczęśliwy że tak była mocna. Nakoniec jeden z największych wilków, zabierał się jeszcze raz probować czyby mu się nieudało, kiedy wyciągnąwszy rękę przez otwór nie chwycę go za ogon, wilczysko przestraszone w nogi, beczka za nim bo go mocno trzymam, reszta wilków z przestrachu na wszystkie się strony rozbiegła, a my z wilkiem drała po boru, uderzając o drzewo to na prawo to na lewo, aż się beczka rozbiła i wilk zmachany i przestraszony upadł: jam się wyrwał z beczki, uchwycił za kark wilka i dodusił. Oto jest skóra z niego, mówił Konopka wskazując na starą wilczurę. Goły zziębnięty ruszyłem co żywo prosto przed siebię, ażeby się rozgrzać, dopadłem chaty leśnika, który się przeląkł rozumiejąc że upiór. Opowiedziałem mu moje przygody: przyjął mnie, ogrzał, nakarmił, znając z reputacyi w całej Litwie głośnej, jakiem Borutę Panu memu przywiódł. Niedaleko były dobra Tyzenhauza, dał znać, przybiegli chłopi z pałkami, gajowi z bronią: otoczyliśmy karczemkę, szkatułę z pieniędzmi, suknie, konie bez woźnicy, bo

go zabili, odebraliśmy, żydów powiązali i do Wilna odwieźli, gdzie w krótce byli cwiertowani."

—«Dzięki panu Cześnikowi, za tak ciekawe dyktyryiki:" wyrzekł z ukłonem i uśmiechem pan Chorąży; «słyszałem i ja coś o tym Konopce, ale nie z takiemi szczegółami."

—«I pan Chorąży bierze to za dyktyryiki?" zawołał rozgniewany nieco Cześnik, «to czysta prawda."

Gospodarz domu nalawszy próżne puchary, wesoło zawołał: «wierzmy! gdy szanowny Cześnik ręczy nam za prawdziwośc faktów."

—«Głową moją!" krzyknął Cześnik, «jakom słyszał z ust samego Konopki."

—«A więc pijmy," odrzekł gospodarz, «zdrowie tej prawdy!"

Cześnik się udobruchał i prawił ochoczy: «psuje się ten świat mości Skarbniku! wierzono dawniej Radziwiłłowi panie kochanku, kiedy sam opowiadał, jak go zabito przy szturmie Nieświeża, a teraz miły nawet pan Chorąży jak zfrancuziały niedowiarek, nie chce wierzyć staremu myśliwemu."

—«Mea culpa! mea maxima culpa!—wyrzekł Chorąży pochylając nieco głowy: «wierzę i opozycyi więcej nie zrobię."

Puchar z wytrawnym węgrzynem przerwał gawędę, a wkrótce całe grono poważnych starców, w posuwistym polonezie oddawało hołd płci pięknéj, tańcząc z tą miną, powagą i tym ruchem, jakie tylko ich lata odbijac z całym urokiem mogą.

Kaź: Wład: Wójcicki.

SŁOWIK.

Na cmentarzu pośród krzaczka
Słychać słowika śpiewaczka
Blisko mogiłka świeżo usypana
A w niej dziecina spoczywa kochana.
I przyszła matka do swej dzieciny
I słyszy cudny głosik ptaszyny,
Łezka za łezką spada powoli
I już mateczkę serce mniej boli.
— Ah! dziecię! rzekła, Bóg mi wziął ciebie
Byś z Aniołkami śpiewał mu w Niebie
Jakże wasz głosik musi być miły—
Znowu się łezki z oczu puściły
Jedna za drugą spada powoli
I już mateczkę serce mniej boli.
I ten głos matki doszedł do krzaczka,
Ucieszył tkliwe serce śpiewaczka,
Niech kto chce dziwi, nasz ptaszek woli
Przynosić ulgę w niedoli.

Stanisław Jachowicz.

z A. Puszkina.

(Wolny Przekład)

Odwróć twe oczy, luba, odemnie —
Ja twej miłości niegodny,
Dni twych wiosennych nietrwoń daremnie!
Inny młodzieniec urodny,
Z duszą pogodną, z bijącém łonem,
Zastąpi uczuciem młodém,
Co w mojém sercu, sercu zranioném,
Pozostało tylko — lodem.
On będzie wierny;... ocenić zdoła
Twoje wdzięki, twe przymioty,
Spójrzenia tkliwe, dobroć anioła,
I twe dziewicze pieszczoty.
Nie dla mnie miłość, miłość gorąca,
Zawiędło serce w dni mych zaraniu,
Zastygło serce... w oku łza drżąca...
Przekwitłej duszy co po kochaniu?...

Odwróć odemnie, luba, wzrok tkliwy,
A w duszy pomyśl: *jakże on biedny!*
Pragnę sam tylko być nieszczęśliwy,
Od ciebie pragnę łzy tylko — jednej...
O! czemuż wcześniej nie znałem ciebie,
Kiedy, o luba, szczęśliwszy byłem,
Kiedy o ziemskiém marzyłem niebie,
Kiedy w ułudę jeszcze wierzyłem...
Teraz za późno — czas wszystko płoszy,
Nie znam ułudy, nie znam omamień,
Nie chcę miłości, nie chcę rozkoszy,
Czas moje serce zamienił w kamień.
Lodowatemi, luba, ustami
Odbierać pieszczoty — grzechem;
Występkiem — tkliwe oczy ze łzami
Odpłacać zimnym uśmiechem!
O! kto kochając w wiek swój wiosenny
Niewierność poznał niewinny,
Grzechem — po jednej kochance zmiennéj,
Pomyśleć jeszcze o innej...
Kiedy, o luba, twe serce nuci,
O swém kochaniu, pieszczocie,
To mnie weseli, to mnie znów smuci,
I w słodkiej trzyma tęschnocie.
Daremnie jednak przy twéj piosence
Dla serca szukam pociechy;
Nie dla mnie miłość, weselne wieńce
I twoje tkliwe uśmiechy!
Ah! mimo chęci, przed moją duszą
Widzę obraz ukochany;
Nowe wspomnienia otworzyć muszą
W sercu mojém dawne rany!...

Odwróć twe serce, duszo niewinna,
  Porzuć to serce tułacze —
Inna je miała - · zdradziła inna,
  Ona się śmieje — ja płaczę!
O! pozostaw mi kajdany,
  Me wspomnienia i łez zdroje,
I twój obraz ukochany —
  Ah! to całe szczęście moje!
Zapomnij o mnie, o duszo tkliwa!
  Dla ciebie szczęście łaskawsze,
Wybiérz innego i bądź szczęśliwa —
  Żegnam cię, luba, na zawsze!...

Ona się smuci — wiém co to znaczy:
  Kobiéta tkliwa, lecz płocha...
Dziś płacze biédna, blizka rozpaczy,
  Jutro... drugiego pokocha!

Teofil Nowosielski.

Głowa i Serce.

(Wyjątek z notatek statystyczno-moralnych.)

Nic częściej może nie słyszemy jak te wyrazy *głowa* i *serce;* niemasz bowiem stanu i pory w którychby mówić o nich nie było potrzeby. Od najprostszego rzemiosła, do najidealniejszych natchnień, *głowa* i *serce* główną rolę mają. W prawdzie anatomiści wskazali i opisali części, własności i choroby *głów* i *serca*, a jednak któż zna w stanie normalnym głowę i serce człowieka; kto ich czynności i wpływy oznaczył. Ów w malutkiej główce jakiż to świat utworzył, a tamten zaledwie mogąc znieść na barkach jej ciężar, odległości swojego wzroku pomieścić w niej nie może. Ów ściskając dłonią piersi

wola «*o biedne serce moje*, a żaden doktór niemoże powiedzieć na tę słabość lekarstwa. Tamten znów nic w sercu nieczuje, nigdy się serca niedotknie, doktorzy mówią że ono w nim bije, a jednak świat mówi że to są ludzie *bez serca*. Wszyscy napozór mają jednakową *głowę* i *serce*, z jednakowej składające się materyi, a jednak mówiemy o jednej głowie że *zakuta*, o drugiej że *zagorzała*, o innej że jej brakuje *piątej klepki*, o innej że w niej *pstro*, i t. p: — A owe serca ze krwi, a *kamienne*, ludzkie a *zajęcze*, zbolałe a *zdrowe*. I któraż anatomia opisała te różnice. Ten powiada że głowa jestto alembik, w którym się preparują myśli człowieka, i dla tego nieprzestaje podsycać go spirytusami, i pokazuje się w końcu że się wszystkie *preparata* spaliły. Inny mówi że serce to tylko muskuł z arteryami i krwią potrzebną do utrzymania życia, a inny twierdzi że ludzie bez *serca*, *bez ducha*, to skielety! Ów filozof wszystkie brednie swoje wysnuł z *głowy*, a inny według mędrca, w sercu swoim głupi. No i bądźże tu mądrym! powiedźże co to jest istotnie głowa, i co jest serce? Wszyskie dotychczas napisane o tém folijały anatomiczne, filozoficzne, moralne i teologiczne, nie wyjaśniły jeszcze dostatecznie tego przedmiotu!

Jeżeli to prawda co Platon powiedział (a Platona nieporównanym nazywają) że człowiek jestto *mikroskosmos*, *mały światek*, a więc przez naturalny

wniosek, części człowieka są *krajami* czyli prowincyami tego świata, mogą przeto jeograficznie być opisane. Jaki nowy Kolumb mógłby się na owym Szekspirowskim wózku puścić na zwiedzenie tego kraju. Tak też się stało, i oto jest wyjątek z tej wędrówki po *głowie* i *sercu*.

Przepraszamy tylko na wstępie tych wielkich ludzi, coto niezwykli trudnić się wstępnemi piérwszej klassy wiadomościami, że w tym opisie stosując się do ogółu, używa się wyrazów, powszechnie już w jeografii przyjętych, że zatém trzeba sobie przypomnąć co to jest: ląd, góra, przylądek. i t. d.

GŁOWA.

Głowa jest górą i jak Chiny opasana murem z kości (czaszką) od reszty świata, (pamiętając że tu przez świat, rozumiemy z Platonem człowieka) oddzielona cieśniną zwaną *szyja*. Nie będę tu opisywał że część północna tego państwa jest zarośnięta (włosami), że jest tam główna wchodowa i wychodowa komora (gęba), i inne dwa *przykomorki* zwane *uszy;* że dozorcą w tych przykomorkach jest *słuch*, który towary mniej ważne wpuszcza jednem a wypuszcza drugiém uchem, a za przybyciem czegoś ważniejszego uderza na alarm w bębenek i trąbi w trąbkę. (taki jest skład ucha) Niebędę również trudził czy-

telnika wyliczaniem jakie zaprowadzono tam urządzenia, w celu czynienia obserwacyi, jak *węch* stojący ciągle na straży przegląda wszystko co tylko wchodzi przez główną *komorę;* jak *wzrok* patrzy ciągle przez teleskopy i mikroskopy, (oczy daleko i krótko widzące), wszystko to bowiem w każdym dobrze urządzonym znajduje się państwie; natomiast opiszę tu osobliwości, wyłącznie tylko w tym państwie znajdujące się; te zaś są:

Że w tym państwie niema żadnych wód stojących, jest tylko zaskórna, ale ta sprawia choroby gdy się zbierze, dla tego braku wód niebywa tam deszczów, chociaż chmury przesądu dość tam są pospolite. Niekiedy tylko bywa wylew dwóch strumieni, których źródło jest ukryte, niewiadome, woda ich jest czysta ale słona, gorzka, a niekiedy bywa jak mówią *krwawa*. Uważają iż z zjawieniem się tych strumieni zwanych *łzami*, topią się w nich *smutki*, dolegliwe *boleści*, chude *tęschnoty*.

Drugą osobliwością wyłączną jest to, że na dwóch pagórkach, zwanych *lica*, kwitną ciągle *róże* i rosną *jagody;* ale kiedy wiosna przeminie, więdną róże i nikną jagody, i niezmordowany robotnik *czas*, orze te wzgórki w bruzdy czyli zmarszczki, czasami tylko niektórzy zapuszczają na nich faworyty, albo w guście angielskim dziko, w kląby; albo w guście francuzkim, w równo obstrzyżone aleje. Ten sam robotnik *czas*, w spólnie z towarzyszkami *rozpustą*,

troską i *zgryzotą*, orze także i pole wzgórzyste zwane *czoło*, w bruzdy czyli zmarszczki. Na tém to polu jest także kopalnia miedzi, i stąd mówi się często że czoło bywa *miedzianne*.

Klimat tego państwa musi być zawsze umiarkowany, bo jak tylko upał, wypalają się zaraz place zwane *piegi*, — jak tylko gorączka się zjawi, następuje często *zapalenie*, i dla tego w takim razie, wycinają zadnie zarośle (włosy) i polewają wodą. Najczęściej to zatrudnienie powierzane bywa Instytutom obłąkanych. Zapobiegając temu złemu, i bojąc się takiego zapalenia, wielu niemają nawet najmniejszego *światełka* w głowie i *iskierki* tylko ognia przechowują w oczach, a i to niezawsze je rozniecają, pospolicie zapalają tylko na przybycie *Miłości* i *Gniewu*, stąd jest przysłowie; że *miłość i gniew ogniem oko zapalają!* —

Do osobliwości tego państwa należą: *pyszne zamki na lodzie* wybudowane przez *Ułudzenie*, w nich to jest wielka galerya obrazów idealnych, fantastycznych, urojonych. W bliskości tych zamków ciągnie się pasmo *złotych gór*.

Ciekawym jest opis zarządu tego kraju, podajemy tu więc jego rys. Panem i rządcą głowy jest *Rozum* brat *Instynktu*, jest on ciągle kawalerem i od niepamiętnych wieków stara się o *Prawdę;* a przecież ich połączenie dotąd nie nastąpiło dla niewiadomych przyczyn. Sprawami zagranicznemi zajmuje się *Uwa-*

ga, a wewnętrznemi *Pamięć;* ale że piérwsza jest nudna i niestała, najczęściej więc sprawy zewnętrzne niedochodzą wiadomości *Rozumu*, a że druga bardzo zatrudniona bywa, najczęściej więc o wszystkiem zapomina, albo w nieładzie utrzymuje interessa. W Sądownictwie prezyduje *Rozsądek*, syn rządcy państwa. Prawnikiem jest *Obłuda* a Adwokatem *Interes.* Intendenturą trudni się brat rządcy *Instynkt*, on to myśli żeby było ciepło, co jeść, w czém chodzić.

Historya *głowy*, szczególne przedstawia dziwactwa. Dla osobliwości przytaczamy tu niektóre zdarzenia.

Raz Pan Rozum zakochał się w *fantazyi*, pobudował dla niej gotyckie pałace, zaprowadził turnieje, rycerzy; kazał śpiewać trubadurom ballady, tryolety, ścigał upiory i mary, bujał z nią po chmurach, nigdy niewiedział sam czego chce i do czego dążył; i w państwie też był nieład. Jeden tylko dobry zakład powstał w tym czasie, to jest *szpitał waryatów*, w którym i sam Pan Rozum został wykurowany, i zerwał ścisłe związki z fantazyą.

Potém Pan Rozum zakochał się w *rozpuście;* szalał z nią, bluźnił, hulał, ogromne zaciągał długi. Zjawiły się wtedy obrzydliwe choroby i biéda. Niewystarczało już na pierwsze potrzeby. Pamiętnem jednak jest z tego czasu założenie *domu podrzutków;* bo śród hulanki, nie było czasu myśléć o wychowaniu

dzieci! Wtedy także założono dla nieszczęśliwych kalek *Szpital Sgo Łazarza*!

Był czas, że Pan Rozum niepomny na swoją godność, tańcował na placach publicznych, i różnych dopuszczał się nieprzyzwoitości: — a potém! potém wszystko się zmieniło, widać że się upamiętał! żeby tylko już ożenił się z *prawdą* wszystkoby było lepiej, tak przynajmniej powszechnie utrzymują.

Tyle o głowie, a i z tego pokazuje się, że to kraina nieszczęśliwa! Długiego trzeba mozolenia się żeby się tam czego *dorobić*, a i to jeszcze zebrawszy ogromne *skarby* wiadomości, można z głodu umrzeć.

SERCE.

Serce, jest wyspą w środku świata (człowieka.) Dwa do niego główne prowadzą trakty: jeden *suchy* drugi *spławny*. Trakt suchy prowadzi do serca przez sympatią, z tym traktem łączą się drogi uboczne, przez *oczy*, *pocałunek*, *uściśnienie*. Kto się chce dostać do serca przez *oczy*, obiera najprzyjemniejszą, ale niezawsze pewną drogę, musi się najczęściej wkradać, a jeżeli oczy przez które chce się przekraść są krótko widzące, naprożno wędrowiec będzie z daleka na hasło *strzelał ognistém spójrzeniem*, nie będzie widziany i wpuszczony. Musi przyjść blisko, ale czy to zawsze można? czy to zawsze bez-

pieczna? Często także wkradającego się wędrowca, może spotkać strażnik *wstyd*, lub jego żona *skromność*, i odpędzą go. Lecz jeśli kto przemknie się przez granicę, napotyka go usłużna subretka *tajemnica*, okrywa swym płaszczykiem i idzie bezpiecznie gdzie chce, a jeśliby przypadkiem był spotkany, subretka tysiące znajdzie wymówek, i tego który *przez oczy wszedł do duszy* i zrobił jaki szelest, nieraz już wytłómaczyla, *że to wietrzyk wpadł między listki i spokojność drzewa wzruszył* (*)

Kto zaś chce dostać się do serca drogą pocałunku, musi naprzód wziąść paszport w biórze *śmiałości*, kontrassygnowany przez *pewność*, i zaopatrzyć się w ogień i cukier, żeby jak się trafi lód roztopić, a gorycz osłodzić. Ostrzedz tylko wypada, że często udających się tą drogą, może spotkać dumna kobieta *wzgarda*, i musisz ustąpić z drogi, i jeszcze cię popchnie, wyśmieje, a często i w policzek uderzy! Bywali jednak niektórzy, co w takim razie zamiast się zawstydzić, śpiewali sobie.

Drugi trakt główny spławny, jest przez gardło! Któż nie wie że tajemnicę serca wino wykrywa, któż nieprzypomina sobie, że *in fundo et in vino veritas*, któż nie zna przysłowia:

«Winem, czapką i solą,
«Ludzie ludzi niewolą."

(*) Aluzya do znanej piosnki, z któréj wzięte te ostatnie słowa.

Ale mniejsza jaką się tam drogą dostać można, zobaczmy raczej niektóre szczegóły.

Panią *serca* jest *wola* córka natury, lecz często przywłaszcza sobie władzę *duma*, i wszystko niszczy dla dogodzenia sobie; niekiedy *miłość*, i wszystko poświęca dla ukochanego przedmiotu; niekiedy *chciwość* i wszystkich obdziera; czasem *skąpstwo*, i wszystkich morzy głodem; niekiedy *próżność* i wszystko nadyma wiatrem! W spokojności zaś następujący jest stan rzeczy: dożywotnim sędzią jest *sumienie*, poczciwy nieposzlakowany staruszek, ono nagradza dobrych a strofuje i karze złych, i ma ten szczególny przywilej, że w każdym miejscu i czasie i każdemu choćby najmożniejszemu, wśród roskoszy i blasku mówi poprostu *ty*.

Epidemiczną chorobą tego kraju są *zgryzoty*, *troski* szczepią tam jak ospę zaraz przy urodzeniu każdemu. Mieszkańcy wszyscy pochodzą z jednego szczepu; starsi większi nazywają się *namiętnościami* młodsi mniejsi *uczuciami*. Wszyscy zaś żyją szczęśliwie kiedy pokój w sercu; mają upodobanie szczególne w śpiewie, muzyce, gawędzie, całusach! karmią się śpiewem słowika, zapachem róży, cieniem nocy, promieniem księżyca, szmerem strumyka, czułem spojrzeniem! Każdy nosi pełno pamiątek, ten listek, ów kwiatek, tamten miniaturkę. Jest to jednak tajemnicą jak się rodzą!

Największą arystokratką jest *Miłość*, mieszka w śli-

cznym pałacu z samych *Ideałów* zbudowanym. Choć najstarsza jest jednak najpiękniejszą, choć najbogatsza niegardzi nikim, choć najszczersza ma tysiące przebiegów. Mężem jej był podobno *zapał*, ale to małżeństwo rozchwiało się, trwalszy będzie jéj związek z *szacunkiem*.!

W tym państwie jest dom dla nieszczęśliwych, w nim to żal, ciągła bieda chodzi załamując ręce i płacze, tam to *smutek* chodzi w żałobie z plerezami i milczy; tam to jęczy *boleść*, nudzi się *tęschnota*, błąka się *melancholia*, *rozpacz* rwie sobie z głowy włosy, tam *nieufność* niechce do nikogo słowa przemówić, i *obłuda* co się w duchu ze wszystkich śmieje. Dozorczynią tego domu nieszczęśliwych jest *litość* ładne i czułe pannisko, pomocniczką jej jest *pociecha*, gadatliwa dewotka!!

Historyi tego państwa nikt jeszcze nie napisał, i podobno nienapisze, bo *szczęście* lub *niedola* jakie tu naprzemiany panują, niedadzą się opisać i źródeł ich trudno odkryć! — nie z opisów uczyć się należy historyi *serca*, lecz trzeba samemu *mieć serce* i *patrzeć w serce*, jak mówi poeta — a ja — jeślim tu podał szkice jeograficzne *Głowy* i *Serca*, uczyniłem to zachęcony słowy Horacyusza: *ridendo dicere verum quid vetat*!

WIADOMOŚĆ O ŻYCIU I PISMACH

WALENTEGO SKOROCHODA

MAJEWSKIEGO.

Któż nieznał z mieszkańców Warszawy mężczyznę wysokiego wzrostu, twarzy przyjemnej, idącego codziennie krokiem poważnym i śmiałym z kamienicy przy ulicy piwnej, placem zamkowym, Senatorską i Miodową ulicą na plac Krasińskich, do dawnego Archiwum. W przechodzie swoim witali go uczeni i artyści, majętni i ubodzy, starzy i młodzi; jednych darzył ukłonem, drugich miłym uśmiechem, ubogich jałmużną, przyjaciół ściśnieniem ręki, a zakonnym

kwestarzom oprócz tabaki hojną do puszki dawał ofiarę. Głos silny i śmiałe spójrzenie dał by może komu powód do domysłu piérwszy raz go widzącemu, że nauczony tylko jest do rozkazywania i pogardzania drugiemi; ale nie tak było, kto go z bliska poznał nie mógł mu odmówić szacunku i widział że miał łagodny charakter. Nie zawsze on siedział w Archiwum, przebywał i w uczonych zgromadzeniach i przemawiał w obradach publicznych. Cóż dopiéro gdy się pokazał w stroju świątecznym z szpilką brylantową w miejsce modnego szalu, lub krawatu, w tenczas każdy z przechodzących się zatrzymywał i wzbudzał zapytanie kto to jest?

Sześć lat już upłynęło po jego zgonie, a nikt jeszcze ani z przyjaciół ani ze znajomych nie skreślił biegu życia tego wzorowego urzędnika, gorliwego badacza, biegłego prawnika i poczciwego człowieka; nikt nie ocenił prac jego, które jeżeli nie na uwielbienie to przynajmniej na wzmiankę u swoich zasłużyli. Nim więc biegli w starożytnym języku wschodu ocenią jego usiłowania, my krótki bieg życia z wyszczególnieniem niektórych dzieł tutaj umieszczamy.

Walenty Skorochód Majewski urodził się w ziemi Bielskiej w parafii Goniądzkiej w wiosce Skorochody-Guzy z rodziców stanu szlacheckiego, odebrawszy domowe wychowanie i poznawszy początki języka łacińskiego, wyprawiony był sam przez matkę do Warszawy piechotą; opatrzony w domowe odzienie

przy nie wielkich zasobach trafił 15 letni młodzieniec do obszernego miasta, a przyjęty mile przez brata matki, u swego wuja zaczął uczęszczać do szkół publicznych. Dziwna przygoda o mało nie przerwała uczonego jego zawodu. Ta go spotkała w 19 roku życia. Wczasie wakacyi udał się z wujem na Podole, tam po kilku dniach pobytu strofowany w przytomności znakomitych osób o przedwczesną skłonność serca, bez wiedzy przewodnika, opuszcza okolice Lubaru, a nieznając miejscowości, przebywa Bug i stanąwszy w państwie Austryackim, bez świadectw i znajomych, zmuszony został przywdziać mundur wojskowy Cesarza Józefa. W krótce uwolniony od przejeżdzającego ziomka, zawieziony został do Wieliczki, i w kopalni zapisywał listę robotników; z tąd po tygodniowym mieszkaniu od znakomitego magnata jadącego wielkim dworem do Rzymu, wzięty był razem z innymi dworzany. Słabość zatrzymała go we Florencyi z kąd odesłany został do Warszawy.

Tak więc w przeciągu dwóch miesięcy uczeń, kochanek, żołnierz, górnik wrócił do wuja i do ukończenia nauk. Jedna to tylko była podróż Skorochoda, o której często opowiadał swoim przyjaciołóm i stracił na zawsze chęć do wędrówek. Po odbyciu nauk w szkołach, (które jak sam powiada w jednej z mów publicznych), ukończył bez kosztów udał się do Pałestry.

Mało żyje już osób, któreby przekazały pamiątkę

8*

jaka była podówczas forma przyjmowania nowego aspiranta w grono dawnych palestrantów. Przybywający musiał sprawić ucztę starszym w zawodzie i hojnie częstować piwiem i miodem przyszłych towarzyszy; przy takiej zabawie przychodziło zawsze do przymówek, w skutek których następowało wezwanie i podług zręczności wezwanego, którym zawsze bywał przystępujący do Palestry, przyznawano mu szacunek lub pogardę. Lubo zwyczaj ten smieszny ukrócił były Marszałek Bieliński, jednak się jeszcze utrzymywał za czasów Majewskiego, i jak sam powiadał, w domu za Krakowską bramą od strony miasta pod siedmią braćmi śpiącemi, upoiwszy kilku zawadyaków, dobrze im skórę wytrzepał. Piękny charakter w pisaniu, znajomość języka łacińskiego, gorliwość w dopełnianiu obowiązków i moralne prowadzenie się pod groźnem okiem swojego wuja, zyskały mu zaufanie i przychylność wyższych, że wkrótkim przeciągu czasu uprzedził w stopniach innych.

Ukształcił się prędko w prawnictwie i nikt łatwiej nad niego nie tłómaczył się tak ustnie jak i pismiennie. Wszystko co posiadał Skorochód, winien własnym usiłowaniom i niezmordowanej pracy. Pełniąc obowiązki prawnika nie przestawał pracować nad ukształceniem swoim. Kiedy w roku 1796 uznał potrzebę języka niemieckiego, tyle dołożył starań że w pół roku nie tylko dobrze go rozumiał, ale równie tłómaczyć się był w stanie. Wezwany był do Kommissyi

trzech Dworów ustanowionej do obliczenia Banku Tepera, Szulca, i Prota Potockiego.

W roku 1799 na główno-krajowego Archiwaryusza metryk koronnych był powołany; idąc drogą zasługi został później Metrykantem Koronnym i Pisarzem Koronnym Królestwa. Jego staraniem rozpoczęto porządkować dawne Akta, spisano inwentarz i pod jego kierunkiem przeniesiono do nowego składu. Przy nowym tym zatrudnieniu napisał gruntownie rzecz o Archiwach i rozprawa ta w r. 1813 była drukiem ogłoszoną. Druga praca jego w rok później wyszła o sztuce dyplomatycznej, gdzie równie dowiódł znajomości pism dawnych jakoteż niezmordowanej pracy. W dojrzałym zupełnie wieku z młodzieńczym zapałem rozpoczął badania nad językiem Samskrytskim i resztę czasu w ktòrym się nie poświęcał zatrudnieniom publicznym obracał na uprawę tego pola, tak mało u nas znanego.

Wystąpił on poraz piérwszy w r. 1816 o języku Samskrytskim, języku którego kapłani i uczeni w obrzędach religijnych na wschodzie używają. Nie szczędził kosztów, starań, poświęceń, aby pomnożyć zasób swoich znajomości; sprowadzał rozmaite pisma z zagranicy, kazał odlewać nowe litery i charaktery, i badania swoje bezinteressownie drukiem ogłaszał. Zapał jego nie ustawał przez lat dwadzieścia, które zgon jego poprzedziły. Niekiedy szczęśliwe pomysły umiał trafnie rozwijać i gruntownie

zastanawiać się nad etymologią wyrazów. Jeżeli jednak nię wszystkie poszukiwania jego, zyskały łaskawe przyjęcie u czytelników, zawsze chęci były godne wielbienia. Przy mozolnych badaniach, zbyt prawda wiele pozwalał działać żywej imaginacyi, w każdém bowiem brzmieniu Samskrytskim, w każdym kształcie liter, uważał coś pobratymczego i nieraz bronił z zapałem, jeżeli kto ośmielił się sprzeczne robić mu uwagi. Nie chcemy chwalić zbytecznych uniesień zasłużonego starca, ale na każdy zarzut publicznie uczyniony, powiększał swoją gorliwość i nowém dziełem o Samskrycie dawał poznać że nie próżnuje, i cieszył się gdy go wieść doszła że inni ziomkowie oddawali się zmarłemu językowi uczonych wschodu. Gorliwość Majewskiego w Samskrycie zmniejszała znacznie fundusze, a poczyniwszy wielkie nakłady, zostawił liczne w rękopismach dowody swej pracy. Nader szczęśliwa pamięć i pilne czytanie sprawiły iż zapytany w jakimkolwiek przedmiocie, umiał zręcznie odpowiedzieć i każdego pragnącego nauki oświecić. Dzieła prawne, poezye starożytne, badania geologiczne, tak różne od siebie przedmioty, posiadał niemal z całą dokładnością. Zwiedzający tutejsze miasto znakomici uczeni, przyznawali mu w wysokim stopniu erudycyą. Przy licznych wiadomościach był uprzejmy i miły w pożyciu. Nietylko w pośród swojej rodziny, ale w przyjemnym przyjaciół kole, pokazywał i zrę-

czny swój dowcip i zamiłowanie nauk. Umiał on nadto dary pochodzące z czułego serca tak zręcznie podawać, że je nie każdy mógł poznać, a nierozważny przez swój prędki sąd niewiadomości przypisywać. Któż nie znał podeszłego antykwaryusza, który naszemu Walentemu Skorochodowi Majewskiemu najczęściej wieczorną porą towarzyszył. W niewielkim mieszkaniu z oknem stanowiącym ścianę przy jednym z placów publicznych, zwykli oba wieczorną porą kilka godzin przepędzać. Tam znaleść można było autora Ruskiej prawdy, autora Opisu Starożytnej Polski i naszego Metrykanta. Skoro wspomniony antykwaryusz przyniósł mu jakie dzieło tchnące starożytnością, litościwy badacz ocenił go sam i pospolicie zaraz płacił cenę taką, która była wsparciem dla potrzebującego. Potrafił on i innemi drogami udzielać nieszczęśliwym pomocy, przez środki ochraniające zawstydzenie proszącego. W pożyciu domowém był dobrym małżonkiem, przykładnym ojcem i wzorowym chrześcijaninem; dopełniał obowiązków religijnych z całą gorliwością i uszanowaniem, a jako członek konfraterni literackiej, wiele dbał o utrzymanie porządku. Charakter jego stały daleki od chęci zysku, jednał mu zaufanie majętnych, którzy go obierali za wykonawcę ostatniej swej woli. Obdarzony od Monarchy zaszczytnemi ozdobami, starał się zasługiwać na szacunek publiczny i nigdy nie zboczył z prawej drogi, tak w za-

wodzie urzędowym, jakoteż prywatnym pożyciu. Wypłaciwszy dług krajowi i rodzinie, przestał żyć 3 Lipca 1835 r. przeżywszy lat 73, pochowany w Powązkach. Krótkie wspomnienie o Majewskim, może zachęci kogo z rodziny lub przyjaciół do skreślenia obszerniejszej zasługi i wykazania prac zostających dotąd w ukryciu.



TRZY WESTCHNIENIA.

DUMKA

I.

Szczęśliwy, stokroć szczęśliwy!
Kto chleba mając dostatek,
Prowadzi żywot uczciwy
Śród grona drużby i dziatek:—
Szczęśliwy! komu los błogi
Dał czekać jutra bez trwogi.

Lecz kiedy dolą zawisną
Wiośnianne lata zmarnieją;
Gdy w biédzie wszystkie rozprysną
Sny, któreś pieścił nadzieją.
O! biada, biada takiemu;
Nie jemu szczęście, nie jemu!—

2.

Szczęśliwy! o ten szczęśliwy!
Kto w życia swojego wiośnie,
Wyleje pieśni zdrój żywy,
Na bratniej ziemi rozgłośnie;
Uczczony najmilszym wieńcem,
Dziewiczych wzruszeń rumieńcem.

Lecz kiedy duszy pałanie
Powódź utrapień ostudzi,
I w sercu tylko zostanie
Ruina! — i płacz na ludzi:
O! biada, biada takiemu;
Nie jemu szczęście; nie jemu!

3.

Szczęśliwy! ten najszczęśliwszy!
Kto z lubą sercu dziewczyną,
Burzami świata wzgardziwszy,
I złotych cacek drużyną,
Tuląc kochankę do siebie,
Żyje na ziemi jak w niebie.

Lecz kto w okrutnej kolei
Żywego kocha anioła,
A jednej iskry nadziei
Wyżebrać z nieba nie zdoła:
Nie jemu szczęście, nie jemu;
Piekło na ziemi takiemu! —

Wiktoryn Zieliński.



Ratusz w Malborgu (Marienburg)

WSPOMNIENIA HOLLANDYI.

Najbardziéj zajmującą i najwięcéj urozmaiconą częścią teraźniejszego Królestwa hollenderskiego, jest prowincyja nosząca nazwanie północnej hollandyi (Noord-Holland.) W niej to dopiero znika jednostajność widoków, kraj ten w ogólności odznaczająca. Z jednéj strony ujrzysz obszerną dolinę, wspaniałemi zasłaną ogrodami, gdzie drzewa uginają się pod ciężarem soczystych owoców; dalej napotkasz pola złotym okryte kłosem, to znów piasczyste wzgórza, snujące się wzdłuż morza. Za niémi Harlem mile się twoim przedstawia oczóm, podobają ci się jego szerokie i długie ulice, jego Ra-

tusz świadek tylu ważnych wypadków, którego grający zegar wieżowy, już zdaleka rozwesela i zadziwia przechodnia. O dwie mile za tym miastem, uboga wioska Zandwort, pełna nedznych lepianek z desek zkleconych, przypomina norwegskie lub islandzkie osady, i te nagie nadbrzeża morskie, o które wiecznie gwałtowne rozbijają się bałwany, łącząc się z ciężkim oddechem zachodniego wiatru. W Harlem zaślepia cię zbytek bogatych bankierów, których podpis w całym świecie jest ważny. W Zandwort przykre czyni wrażenie nędza rybaka, który się ugania za niepewną zdobyczą, i pomimo burzę rzuca się w słone wód bałwany, byle zanieść do domu kosz ryb, z tak ciężką ułowionych pracą. Lud tej prowincyi odznacza się siłą, wyrazem niezawisłości i tej męzkiej dumy, którą nadaje nawyknienie do niebezpieczeństw i sąsiedztwo morza. W dni robocze rozrzewniłbyś się spoglądając na tych nadmorskich mieszkańców, okrytych nędzną odzieżą, upadających pod ciężarem sieci i haków, a za powrotem pod nędzną strzechę, usiadających między półtuzinem obdartych dzieci, których wzrok chciwy, ściga kociołek kartofli zwolna się gotujących przy małym torfowym ogniu. Ale w niedzielę powróć w toż samo miejsce, już więcej nędzy nie ujrzysz; pracowity robotnik przywdział strój ojców swoich, długą niebieską sukmanę z metalowemi guzikami, kamizelkę z gru-

bej wełny, która jak pancerz piersi mu okrywa; kapelusz z szerokim brzegiem, z pod którego wymykają się gęste kędziory włosów. Wtenczas byś powiedział, że to nie ten sam człowiek; — to potomek dawnych Batawów, to właściciel łódki, która już tylekroć wzburzone pruła bałwany. Nie schyli on głowy przed majętnym posiadaczem włości, który bez pracy plon zbiera, i bez trosków się bogaci. Tego dnia spogląda on na morze ze szczególnym wyrazem pogardy i z szyderczym uśmiechem przemawia do niego: »biédne morze, dziś jak chcesz pomiataj mą łódką, roztrącaj się szalony żywiole o te piaszczyste wały, wzdychaj za mną żałośnie, oh! dziś twe skargi są nadaremne! dziś prowadzę mą żonę do kościoła, zasiadam z dziećmi u stołu ich dziadka, dziś spokojnie połknę szklankę jałówcówki, a przy kominie pociągnę fajkę tak dobrze, jak Dyrektor Indyjskiéj kompanii, i z towarzyszami zaśpiéwam ulubioną hollendrów piosenkę!«

Tak przechodzi święto rybaka, lecz zaraz nazajutrz, zrywa on odważnie słodkie więzy téj niedzielnéj uciechy, i wraca do swego niebezpiecznego zawodu!

Druga klassa ludu, również charakterystyczna, jest wieśniaków; i ci niemniéj są dumni, ale ich obyczaje są spokojniejsze; *ani pan*, *ani sługa*! takie ich hasło. Uprawiają kawałek ziemi z ojca, dziada i pradziada, i ta własność z pokolenia w po-

kolenie przechodząca, uwieeznia tę ich posiadłość mocniej, aniżeli jakikolwiek bądź kontrakt na dziedzictwo. Wiele mają starodawnych zwyczajów, osłonionych że tak powiem, dziedzicznem poszanowaniem; wiele podań z ust do ust przechodzących, które Van Lennep opowie nam kiedyś w romansach swoich, a Bogaers w poematach. O kilka mil od Harlemu wznosi się starożytny zamek Egmonta, tego pamiętnego męża Hollandyi. Jego feodalne pomieszkanie, niegdyś takim blaskiem jaśniejące, tylu wspaniałemi ożywione ucztami, dziś do upadku dąży; hollender jednak, z uszanowaniem pokazuje wędrowcóm te pozapadane wieże, i opowiada zarazem chwałę i śmierć zwycięzcy Grawelinu, jeżeli nie tak wzniośle jak Göthe, za to może z większym czuciem i dobitnością.

Prowincyja Hollandyi północnej, jest jedną z tych, w których gieniusz przemyślny i cierpliwy hollenderskiego ludu, najuporniej walczył z wodami bagnisk i bałwanami morza. Tamy Pettenu są arcydziełem wytrwałości i pracy; kanał zadziwia nadzwyczajną rozległością swoją, a na wielu innych punktach obwodu tego, ujrzysz dzieła uderzające śmiałością swoją. Kronikarze opowiadają, że przestrzeń gdzie Alkmar się wznosi, przed kilką jeszcze wiekami, była zalana przez czterdzieści trzy jeziora; dziś zamiast tych wód zgubnych, zobaczysz łąki zielone przerznięte długiemi drzew alejami,

roskoszne domy miejskie, i dziesięcio-tysiączne pełne wdzięku miasto, czynnym handlem ożywione i zbogacone.

Do tego to miasta Alkmaru, co tydzień ze wszystkich wsi i wiosek całej prowincyi, wieśniacy zwożą rolnicze płody, które kanałami rozchodzą się w inne części królestwa i zagraniczne kraje. Na każdym targu przedają więcej jak dwakroć sto tysięcy funtów séra, i w podobnymże stosunku masła.

Z Alkmaru, *Trekschuit* wychodzi co rano do Helder. *Trekschuit* jest to ulubiony statek hollendrów, i już dawno mam ochotę go opisać. Lecz jak zacząć? O Muzy!... Ale czyż to nie prawdziwa bezbożność, zwoływać muzy na pomoc nieudolności mojej, do opisania rodzaju okrętu, który jak mi się zdaje, nie był ani od Greków ani od Rzymian znany. Zostawmy więc uczone bóstwa w klassycznej ich krainie, spokojnie drzemiącemi na pagórkach epopei i tragedyi, a natomiast starajmy się krótko opowiedzieć cośmy widzieli na jednym z batawskich kanałów.

Trekschuit jestto wielka łódź kryta, z dwoma przedziałami. W tym co bliżej jest przodu, są bagaże, beczki z masłem, śledziami i ubożsi podróżni którzy za kilka *dobbeltów* wędrują z miasta do miasta, pół śpiąc, pół fajkę paląc; w drugim który *roem* zowią, mieści się arystokracyja, ta zwy-

kle dobrze płaci i hojnie tryngield rozdaje. Tu, prócz niej, znajduje się rudel i sternik, owa dusza i rozum tego wędrownego statku. Na końcu Trekschuitu jest przywiązana długa lina, ciągniona przez wychudłego z głodu i pracy konia, dźwigającego przytém jeszcze na sobie, małego człowieczka z blaszanną trąbką w kształcie rogu myśliwskiego. Ta prosta naiwna szalupa, powinna na godzinę zrobić półtora mili. Ale tak zbyteczny pośpiech, byłby nie miły flegmatycznym hollendrom, zatrzymuje się więc ulubiony *Trekschuit* z wszelką powagą, przy każdej śluzie, przy każdym moście, przy każdej szynkowni, które na pociechę dla nich, co chwila ukazują się po drodze. Przy każdej podobnej stacyi, sternik wynajduje bardzo ważny interes dostania się na ląd; jednym skokiem stawa u brzegu ziemskiej krainy, i nie wiadomo jak znika; podróżni zaś niespokojni o niego idą w ślad za zbiegiem. Pierwszy budynek oczy ich uderzający, jest oberża,—z pełnemi flaszami jałowcówki, z szyldem malowanym przez jakiegoś nowego Teniera,i z ławkami ustawionymi pod szpalerem grabiny. Ani sposób oprzeć się, tak uprzejmym zaprosinom; trzeba więc wejść, wypić kieliszek wódki, przemówić kilka słów do ładnej gosposi, młodej blondynki z niebieskiemi oczyma, i różową buzią, potem rzucić okiem na gazetę amszterdamską; a tym czasem ukazuje się i sternik szukający podróżnych, i bardzo

grzecznie z przyzwoitą flegmą, zaprasza ich do dalszej podróży. Skutek takowych wycieczek i tych częstych popasów jest taki, że żeglując Trekschuitem, wolniej się daleko podróżuje, niż idąc piechotą, a wieczorem przy całodziennym obrachunku, postrzega się, że koszta podróży powiększyły się wielką ilością nadspodziewanych wydatków.

Wszakże mniejsza o to wszystko, *Trekschuit* był i nie przestaje być dla hollendrów najprzyjemniejszym sposobem podróżowania. Zapomniałem jeszcze powiedzieć na pochwałę tej przewybornej szalupy, że nazwisko jej daleko milej się wymawia, niż się pisze.

Jakem jedynie pragnął poznać piękności i ciekawości Hollandyi, przeto zaznajomiwszy się uprzednio z parowym statkiem Nimegi, dyliżansem Roterdamu, żelazną koleją Harlemu: chciałem teraz się nacieszyć lubym *Trekschuitem*, i aby go poznać z najpiękniejszego jego stanowiska, dumnie zażądałem miejsca w *roem*.

O szóstej więc zrana wstałem z pośpiechem człowieka, szukającego nowych doświadczeń w życiu koczującém; wymawiam jak mi się zdało akcentem batawskim, jeden wyraz hollenderski, którego tłómaczenie dosłówne znaczy *garson*, i kontent jestem z siebie, iż dobrze udaję hollendra. Wkrótce też widzę nadchodzącą panią oberżystkę.

— «Czego pan żąda?«

— «Chciałbym żeby garson przyniósł mój tłomok.»

Gospodyni oddala się i woła: Jan!

Zapomniałem dodać jeszcze, że w Hollandyi każden chłopiec przy oberży lub kawiarni, zowie się Jan. (to bardzo wygodnie.)

Jan zbliżył się miarowym krokiem, zabiéra moje podróżne manatki, wnosi do piérwszej izdebki, a że tam znajdowała się tylko jedna wązka ławeczka, przyjemnie było mi widzieć, jak szanowny wieśniak usiadł sobie na moim tłomoku; jakaś kobiecina moją torbę za podnóżek użyła, a na moim pudełku od kapelusza, dzieciak bić w bęben począł. Wchodzę do *roem*, spostrzegam trzech hollendrów uzbrojonych w długie fajki, i kupczyka belgijskiego. Hollendrzy dymią jak trzy piece, a belgijczyk wymówiwszy ze sześć wyrazów, zrobił w nich tyleż błędów grammatycznych. Otwieram więc drzwi i myślę od tego szanownego towarzystwa uciec do sternika.

— »O któréj godzinie będziemy w Helder, panie sterniku?«

To zapytanie, zdawało mi się bardzo zręcznem rozpoczęciem rozmowy; tym czasem wyszło zaraz na jaw, żem cudzoziemiec; albowiem hollender nie spyta się nigdy kiedy na miejsce przybędzie. Godny przewoźnik dał mi uczuć niestosowność mojego zapytania, rzucając tylko na mnie spójrzenie

objawiające litość głęboką, i dalej sobie żuł spokojnie swoją tabakę. Rzuciłem się na inny sposób; zacząłem chwalić szybkość jego łodzi. Niezawodnie człowiek ten poznał się na niegodnej fałszywości mojéj, którą w tej chwili popełniałém, i zapewne chcąc mnie ukarać, nie odpowiedział ani słowa.

Po wielu usiłowaniach i obrótach, które odpierał albo zimnym milczeniem, lub suchym jednogłoskowym wyrazem, raz zdawało mi się żem przezwyciężył jego niemotę, i że przecie uzyskam objaśnienia, które człowiek z podobném doświadczeniem lepiéj mógłby udzielić, niż nie jeden głęboko uczony.

Było to tak: zacząłem mówić o północném morzu, to doprowadziło mię do środziemnego, z kolei miast nadmieniłem Marsyliją; aż tu mój milczący sternik, zawołał głośno: «oh Marsylija! *de goed vijn*! o! dobre wino!« Co za szczęście pomyślałem sobie, iż tak zasmakował w marsylskiém winie, że przecież język mu się rozwikłał.—Próżna jednak radość moja, bo gdy chciałem mówić daléj, on z całym zapałem wykrzyknął raz jeszcze *de goed vijn*! i na tém skończył. Wszelkie dalsze usiłowania moje były nadaremne, i już ani jednego wyrazu więcej z tych ust kamiennych, wyciągnąć nie zdołałem.

Zmęczony podobną walką, oparłem się o brzeg łodzi i przyglądałem się krajobrazom.

Zaiste od tego bym zaczął, gdybym był w mojej ulubionej Szwecyi; tam pośród uroczych dolin, wspaniałych jezior, gór malowniczych i okazałych lasów, zapewna nie ubiegałbym się tak chciwie za rozmową z przewoźnikiem. Ale tu inne było moje położenie. Sam jeden z tym nie poruszonym sternikiem, płynąłem na statku jak może być najwolniejszym; znajdowałem się pośród płaskiej jednostajnej okolicy, której już dawno przypatrzeć się mogłem, i na którą jeszcze kilka tygodni patrzeć trzeba było. Myślałem sobie, kanał tak łagodnie unoszący nas po swej cichej powierzchni, niewatpliwie jest dziełem najchwalebniejszém, zbogaca handel Amszterdamu, jest największą radością i przyjemnością hollendrów, przynosi sławę panującemu, który nakazał jego zbudowanie, i inżynierom co go wykonywali; wiem z niejednej sumiennej statystyki, ile to trzeba było znieść przeszkód, by doprowadzić do końca tak korzystne przedsięwzięcie, ile ono kosztów za sobą pociągnęło. Ale cóż mi z tego.... Ja marzę teraz o pieniących się wodospadach Finlandyi, pięknych rzekach Niemiec, srebrzystych strumieniach Szwajcaryi, i skromną stróżkę wody spadającą z wierzchu skały, najmniejsze źródełko szemrzące w swym łożysku mchowym, chętnie przekładam, nad tę nieczułą i martwą głębię.

Na prawo i lewo tego szacownego kanału, wi-

dać wilgotną i błotnistą ziemię, ceglane domy pokryte sitowiem, jeden od drugiego w niemałej odległości, każdy prawie rowem otoczony, lub małym kanałem oblany. W dzień hollendrzy zarzucają deskę na rowy, chcąc z sąsiadem mieć komunikacyą, wieczorem zbierają ów most ruchomy, i wtedy każdy dom jest niby osobną fortecą. Toż samo dzieje się ze śluzami, a wszystkie miejsca tak są do siebie podobne, że nic a nic jednostajności obrazu nie psuje; kiedy niekiedy tylko ukaże się okręt wracający z Indyi, naładowany cukrem, goździkami i tabaką. Ciężki ten budynek, zajmując trzy części kanału, toczy się po nim dumnie i poważnie, jak ów sługa, panu swojemu wielką summę odnoszący.

Byle tylko pomyślniejszy wiatr zawiał, zaraz wszystkie żagle rozwijają, ale i to lichy sposób przyśpieszenia jego ruchu po tej martwej wodzie; zaprzęgają więc do przodu ze dwadzieścia koni, które wolnym krokiem ciągną bogaty ten statek, jak gdyby spanoszonego człowieka, który zwalczywszy odważnie losy fortuny, przezwyciężywszy niebezpieczeństwa awanturniczego życia, swobodnie kończy pielgrzymkę swoję. Majtkowie oparci o poręcze okrętowe, spoglądają na nas wzrokiem zdradzającym tkliwe ich wzruszenie. Wracali oni z Indyi, i już dawno narodowego nie widzieli Trekschuitu, tego ulubionego statku, co ich tyle razy

ze wsi do wsi przenosił. Jeden z majtków wlazłszy na beczką, przez trąbkę do nas się odzywał, poznał bowiem w sterniku mieszkańca rodzinnej wioski swojej, i troskliwie wypytuje się o tych, których przed rokiem zostawił.— On o nich tak często myślał! Sternik wstępuje na ławkę i woła: »Twoja żona i dzieci zdrowe, na ostatnim jarmarku z twoim ojcem piłem wódkę, a siostra czeka ciebie na wesele.« Na tak słodkie wyrazy twarz się majtka wypogadza, odpowiada wesołym krzykiem z głębi duszy pochodzącym. Oh! jakże miłe wzruszenie i szczęście życia żeglarzy! wy którzy go nie znacie, nie możecie go zrozumieć, a ci co je znają, nie potrafią go wam skreślić.

Kiedym czynił te postrzeżenia, mgła hollenderska od rana niebo zakrywająca, ogarnęła cały widnokręg, stawała się coraz gęstszą i czarniejszą, i wkrótce zamieniła się w deszcz zimny i przenikający.

Sternik przywdział opończę, nasunął ciężki kaptur na głowę, a ja nie mając podobnego zapasu, musiałem się schronić do izdebki. Tam hollendrzy kurzyli fajkę, belgijczyk udając człowieka więcej ucywilizowanego, w końcu palców trzymał cygaro; w kajucie dymno było jak w kominie, a rozmowa jakem uważał wzięła obrót ku sentymentalności. Belgijczyk z swoim docinkowym humorem, zranił do żywego serca współtowarzyszów po-

dróży, ciągle bowiem powątpiewał, czyli hollendrzy zdolni są do uczuć tkliwych. Oni z zupełną szczerotą i powagą zbijali zarzuty belgijczyka, popierając obronę swoją opowiadaniem wypadków, których albo świadkami lub też sami bohaterami byli. »Tak jest panie,« rzekł jeden z nich którego przez gęsty dym ledwo widzieć mogłem, a którego szczerość i poczciwość, dobitnie w rysach twarzy malowała się. »Opowiem wam jedno zdarzenie, a potem sądź o nas jak ci się podoba.« »Zobaczymy,« ozwał się belgijczyk, krzyżując nogi i prostując się z miną sędziego, dumnie spoglądającego na przychodzących pod wyrok.

Hollender wydmuchał swoją fajkę, napełnił ją tytuniem i tak mówił: «Będzie już nie zadługo lat dwadzieścia, kiedy pewnego dnia w Październiku, przybyłem do Utrecht, na naukę prawa. Byłem najmłodszym z nader licznego rodzeństwa, i ojciec ledwo bardzo małą sumkę mógł mi dawać na moje utrzymanie się. Mieszkałem w najskromniejszej części miasta, na pensyi z innymi uczniami również jak ja biednemi, i w pracy, w ścisłem dopełnianiu moich powinności szukałem uciechy, której uczniowie bogaci albo niedbali, szukać zwykli w światowych rozrywkach i zabawach. Pomimo całej mej przezorności, pomimo oszczędności najściślejszej, dużo miałem kłopotu z moim szczupłym dochodem, ażeby jak to mówią, związać dwa końce. Nie-

raz siedziałem zamyślony w mojéj izdebce, mając tylko kawałek chleba suchego na całodzienny posiłek, a kawał torfu dla ogrzania się w samym środku zimy; to też i dzwoniłem zębami w owej izdebce, kiedy moi szkolni towarzysze przebiegali ulilice, i wesoło nucąc śpieszyli do teatru, lub kawiarni. Na pocieszenie myślałem wówczas o moim biednym ojcu, który zrzekał się nieodbitych rzeczy, byleby przysłać szczupły zasiłek na moje utrzymanie się, i aby nie powiększać jego ofiar, miałem szczére postanowienie wytrwale znosić głód i zimno. Tak przeszła zima: widziałem nadchodzącą wiosnę, z uciechą nieszczęśliwego, który w piękny dzień majowy wylazłszy z ciemnego zakątka, i przechadzając się po łąkach kwiecistych, zdaje się być bogatym wszystkiemi dostatkami, które natura w koło niego rozlała. Tym czasem wydarzenie niespodziane, traf, w jednéj chwili położył koniec niespokojnościom materyalnym co mię często zasmucały. Idąc na lekcye do uniwersytetu, przechodziłem regularnie dwa razy na dzień ciemną uliczką, zamieszkałą przez rzemieślników i kupców trzeciego rzędu. Widziałem nieraz kobietę już w wieku, sklep fajansu, albo właściwiéj mówiąc rozmaitéj starzyzny utrzymującą, która każdego razu ilekroć przechodziłem, znajdowała się na progu swojego mieszkania, i ze szczególniejszą patrzyła na mnie uwagą. Lubo uważałem nieraz,

regularne pokazywanie się tej kobiéty na progu jéj sklepu, jednakże nie przywiązywałem do tego najmniejszego znaczenia. Ale już i towarzysze moi zrobili toż samo postrzeżenie i mówili mi o niém. Zaczęło mię to mocniéj zajmować,— odtąd nieraz zwracałem głowę ku sklepowi, i przekonałem się łatwo, że ona z wielkiem zajęciem się bezustannie ścigając mnie swoim wzrokiem, nie wprzód wracała do sklepu, aż gdy już dojrzeć mnie więcéj nie mogła. Kiedy skłonność pani kupcowej fajansu, została w taki sposób dowiedzioną, i wiedzieli już o niéj wszyscy moi koledzy, niéma potrzeby mówić że wynikły ztąd śmiechy i żarciki dość dziwaczne, wznawiające się każdego wieczora, ilekroć zeszliśmy się do naszéj gospody na skromny posiłek. Dobra ta kobiéta nie była już młodą. Z pod lekkiego jéj czepka, przebijały się siwe włosy, a marszczki na twarzy dowodziły, że już może i więcéj niż szósty krzyżyk goni. Imie jej dawało nowy pochóp do śmieszków z uczuć romantycznych o które ją posądzaliśmy. Nazywała się bowiem Elwina Teederhart (czułe serce). Nieraz gdy przyjaciele spostrzegali moje zasępione czoło, lub umysł troskami zajęty: »Pociesz się, mawiali mi, nieba zapewniają ci czułe serce, którego zapałów, lat sześćdziesiąt nie mógło ostudzić. Z razu ozwał się we mnie jakiś rodzaj uczucia, który zaprzeczał

tym żartom, pomału jednak przez słabość, naśladowanie innych, i ja śmiałem się z całego serca z tego co nazywano moim szczęściem w zalotach. Pewnego dnia, kiedy kilku towarzyszy moich wyprzedziwszy mnie nieco, weszli na ulicę kupiecką, a dobra kobieta znajdowała się już we drzwiach sklepu; jeden z nich zawołał na mnie nucąc znaną nam piosnkę: «Przybądź, ach przybądź niedbały kochanku, twa młoda piękność oddawna cię czeka!« a potém zwrócił szydercze spójrzenie na kupcowę, i pobiegł dalej zanosząc się od śmiechu, który całym chórem powtórzony został przez resztę towarzyszy. W tym samym momencie i ja nadszedłem. Widziałem biédną kobietę blednącą i czerwieniejącą. Rzuciła na mnie wzrokiem pełnym słodyczy i smutku nie do opisania, i oddaliła się w głąb sklepu. Szedłem dalej smutno, ze zwieszoną głową, nie kontent z moich przyjaciół i z siebie samego, dręczony jakąś niespokojnością do wyrzutów sumienia podobną. Jak mogłem dopuścić, mówiłem sam sobie, ażeby tę kobiétę towarzysze moi wzięli za przedmiot szyderstwa? Czém zasłużyła na taką obelgę? a ja stałem się nietylko przyczyną, ale nawet uczestnikiem tych niegodnych żartów?

Tego dnia zdawało mi się iż lekcya naszego professora była za długą. Na próżno usiłowałem zwrócić ku niej uwagę, ledwo skończyła się pośpieszy-

łem na ulicę pani Teederhart; zdala szukałem jéj na zwykłem miejscu u progu drzwi, lecz ona tam nie była. Podszedłszy do jéj mieszkania, zatrzymałem się u okien sklepu, przeszedłem około drzwi powoli, nieco daléj zatrzymałem się znowu, i odwróciłem głowę;—próżna nadzieja i oczekiwanie. Nie widziałem jéj! Nazajutrz i dnia trzeciego, pokilkakroć coraz z większą powolnością powtarzałem przechadzkę, lecz skutek zawsze był jednakowy. Drzwi sklepu stały otworem, ale wewnątrz nie było widać nikogo; tylko spasły kot siedział pomiędzy dwóma porcellanowymi wazami, i na wpół uśpiony, zdawał się dumać głęboko, czego to chodzę tąm i na pówrót. Nagłe zniknienie biednéj kobiety, która zdawało się miała przyjemność patrzeć na mnie, a którą z mojéj przyczyny obrażono, było powodem wielkiéj niespokojności i trosków moich. W wyobrażeniach moich przesadzałem i tajemne uczucia które w niéj wzbudzić mogłem, i moją własnę winę przeciw niéj popełnioną; nieraz późniéj stawało mi w umyśle to spójrzenie tak smutne, a przecie tak pełne słodyczy, które rzuciła na mnie w chwili, kiedy moi towarzysze wzięli ją za przedmiot swego pośmiewiska. Doświadczałem odtąd smutku zupełnie nowego, smutku połączonego z żalem i skruchą, i napróżno starałem się go przezwyciężyć; ktokolwiek widział mię podówczas idącego przez ulicę krokiem powolnym,

zamyślonego, z czołem zmarszczonem, wzrokiem niespokojnym, pewnoby mię poczytał za jakiegoś nieszczęśliwego kochanka.

Uczucia nasze jakkolwiek sprzeczne, częstokroć jednostajny mają pozór i tak: wyraz żalu często jest tak smutny jak i miłości, a westchnienia przez boleść zrodzone, jakże są podobne do tych co je stan błogi z piersi naszych wyprowadza. Po rozmaitych walkach z sobą, wahaniach się, trzeciego dnia powróciłem przed sklep pani Teederhart, a nie widząc jéj u progu, postanowiłem położyć koniec moim niespokojnościom wejściem do jéj domu i proźbą, iżby mi przebaczyła ową scenę okrótną, na którą naraziłem ją mimo méj wiedzy, a którą wyrzucałem sobie, jak gdybym sam był jéj sprawcą. Zbliżam się ze szczególniejszém wzruszeniem, rozważam, oddalam się, wracam na powrót, i jestem bojaźliwy jak dziecię. To przestąpiłem próg drzwi, to powróciłem znowu, i oglądałem się jakby z obawy iżby sąsiedzi nie wyczytali z mojego czoła, z moich oczu i poruczeń, myśli która mię zajmowała, chociaż myśl ta była tak czysta i prawa, iż nie mogłaby dać powodu do żadnych nie korzystnych domniemań. Oh! dziwny jest urok niewinności młodzieńczego wieku! Czytałem potém kilka romansów, i znalazłem w opowiadaniu i opisie uczuć miłości to wszystko, czegom doświadczał wówczas w poruszenin myśli wdzięcznej, bo-

jaźliwej i prawie synowskiej. Kiedy tak jestem niepewny, nie wiedząc czy mam postawić krok naprzód czyli wrócić nazad, ta którą szukałem z niespokojnością, otworzyła nagle drzwi szklanne, przez które na mnie patrzała, zbliżyła się i powitała ze słodkim uśmiechem.

»Przepraszam panią,« rzekłem, rumieniąc się i nie wiedząc co dalej mówić.

«O! wiém co mi chcesz powiedzieć,» mówiła kładąc rękę na mojém ramieniu: «bądź jednak spokojnym, słowa twoich przyjaciół zmartwiły mię, ale przekonaną jestem, żeś nie miał uczestnictwa w ich niegrzeczności i nierozsądnych podejrzeniach. Od trzech dni śledzę już ciebie mój panie; lubo nie mogłeś mnie spostrzedz, widziałam twoje poruszenia i twoją niespokojność, przekonałam się że jesteś dobrym, i teraz cieszę się z tego wypadku któren ugruntował we mnie moje dawniejsze przeczucia. Siądź proszę cię.«

Usiadłem na staroświeckiém krześle dębowém, które stało w sklepie pomiędzy innymi sprzętami. Kupcowa przez czas niejaki stała przedemną w milczeniu, i patrzała na mnie wzrokiem który mię zadziwiał a nawet przestraszał: — »Jak ci na imię?« zapytała po chwili.

— «Karol.»

—Karol! wykrzyknęła, czyż to prawda? O mój Boże! Co za szczególne zdarzenie! Ale czy się na-

zywasz Karol? powiédz, czy nie oszukujesz mnie? Lecz dla czegoż miałbyś mię oszukiwać! Co za szczególne podejrzenie!— Nazywasz się wiec Karol! Karol!« I głos jej był coraz więcej stłumiony, lecz oczy iskrzyły się coraz silniéj im więcej wpatrywała się we mnie. Po chwili rozpoczęła znowu swoje badania.

— »Ile masz lat?«

—»Dwadzieścia!«

—Dwadzieścia! to zupełnie toż samo!... Dobrze, dobrze, zapewne uważasz mię za waryatkę, co sobie myślisz o mnie? A jednak....« tu zatrzymała się znowu, wzięła mię za rękę i rzekła głosem pełnym uczucia:

»Słuchaj, panie Karolu! czy zechcesz zrobić wielką przyjemność biédnej samotnicy, któréj nie znasz prawie. Czy zechcesz przyjść tutaj na obiad w przyszłą niedzielę, i nie tylko w tę niedzielę, ale i we wszystkie następne ilekroć nie będziesz miał przyjemniejszych zaprosin? Wiem że je mieć możesz. Ja sobie jestem kobiéta w latach, kupcowa fajansu, a ty — jesteś uczniem uniwersytetu i masz lat dwadzieścia!»

—»O! przyjdę!» zawołałem w nagłem uniesieniu, które mnie samego zadziwiło,« nie chcę znać żadnych przeszkód w stawieniu się na wezwanie pani.«

— «To dobrze, dziękuję ci! dziękuję!» rzekła, wracaj teraz do domu— o ja wiem gdzie mieszkasz,

wiem że masz małą stancyjkę, napełnioną książkami bardzo uczonemi, i że jesteś bardzo pracowity; idź, czekam cię w niedzielę.»

Po tych słowach jeszcze raz ścisnęła mię za rękę i oddaliła się, a ja wyszedłem miotany uczuciem niepojętém, nie wiedząc co mam sądzić o tém widzeniu się, o tych słowach pełnych uczucia, o tém spójrzeniu pełnym ognia; wszakże cieszyłem się z tego wszystkiego, jakby z jakiegoś szczęśliwego wypadku. Uszedłszy kilka kroków, obejrzałem się i dostrzegłem że pani Teederhart wysunęła głowę ze sklepu, aby mię ścigać swym wzrokiem. Tu i ja sobie powtórzyłem jej słowa: — co za szczególne wydarzenie! — Ale przytém zdawało mi się, iż z sumienia mojego spadł wielki ciężar.

Za powrótem do domu znalazłem przyjaciół moich zebranych na korytarzu, tajemniczo rozmawiających z sobą. Jeden z nich postrzegłszy mię wchodzącego do kupcowej, wielkim pędem poleciał donieść o tém całemu bractwu naszemu. Nie zbywało też na rozmaitych dodatkach, ba! i jakich jeszcze, i rozpoczęły się żarty, ucinki, przymówki i przestrogi. To jest waryatka, mówił jeden, wiém to od jej sąsiada, który od lat kilku jest świadkiem jéj dziwacznego sposobu życia. Wszak to ona nigdy z domu nie wychodzi i nie przyjmuje nikogo, a prawie z nikim nie rozmawia. A to harpagon w spódnicy, mówił inny, i najpe-

wniej zamyka się na osobności, żeby swobodniej liczyć swoje dukaty. To jest zacna kobieta! zawołałem w uniesieniu, i nie zniosę aby w mojej przytomności źle o niej mówiono. To rzekłszy wszedłem do izby, zostawując panów radzących zdumionemi nad moją szorstką odpowiedzią.

Trzeciego dnia po owym zdarzeniu była to niedziela. W godzinie obiadowej poszedłem do pani Teederhart. Nie zaniedbałem włożyć na siebie co tylko było najlepszego w mojej garderobie; na szyję wziąłem chustkę haftowaną, podarunek siostr, kamizelkę w kwiaty, pamiątkę mojej chrzestnej matki, oczyściłem najstaranniej resztę odzienia, przejrzałem się w mojém małem studenckiem lusterku, i śmiało powiedzieć mogę, żem wyglądał nie źle. Wszedłszy do mieszkania pani kupcowej, nie znalazłem jej w gościnnym pokoju. Zdobiły go skromne ale gustowne meble, okazalszém jednak nad wszystko wydał mi się obraz, czyli raczej złociste jego ramy, samo bowiem malowidło osłonięte było czarną kitajką. Naczynia z kwiatami ubierały kominek; stolik stojący na nowiutkim dywanie, przykrywał obrus wzorowej roboty, na którym zastawione były bardzo piękne naczynia srebrne. Kupcowa jak prawdziwa gospodyni hollenderskiego domu, bezwątpienia zajmowała się jeszcze doglądaniem obiadu; przecież nie długo czekałem na nią; pośpieszyła bowiem wyjść na moje

powitanie, i zaraz dziękowała mi z największą czułością za dotrzymanie słowa. Młoda służąca ustawiła talerze, szklanki i butelki, i we dwoje zasiedliśmy do stołu. Nigdy w moim życiu, nawet w dniach najuroczystszych bankietów mojéj familij, nie jadłem obiadu tak wspaniałego, a jednakże pani Teederhart wszystko nie dość dobrem się wydawało. Gniewała się na służącą, iż nie wybrała jakiej rzadkiej ryby, tuczniejszych kurcząt. Nalała mi starego wina z Bordo, i jeszcze przepraszała iż mię źle przyjmuje, — ja ma się rozumieć jadłem i piłem, jak prawdziwy dwudziestoletni uczeń uniwersytecki, ona zaś wpatrywała się tylko we mnie, i ledwo kosztowała podawane potrawy i napoje. Ku końcowi obiadu pytała mię o niektóre szczegóły dotyczące się mojéj familii, o moim kraju rodzinnym, o moich zamiarach na przyszłość, i każdą moją odpowiedź przyjmowała ze szczególniejszém udziałem. Po dwóch lub trzech godzinach mojego u niéj pobytu, w czasie którego niejednokrotnie zdumiewała mię swoim szczególniejszym zajęciem się, o przeszłą teraźniejszą i przyszłą istność moją, gdym się już zabiérał do wyjścia, odprowadziła mię na stronę i rzekła: »Poświęcając kilka chwil dla mnie, wyświadczyłeś mi jedną łaskę, za którą jestem bardzo wdzięczną; chciéj więc wyświadczyć jeszcze i drugą. Słuchaj, wiem że nie jesteś bogatym, boś mi to sam powiedział; w mieście przy

twoich szczupłych dochodach musisz nie raz cierpieć niedostatek. Pozwól więc abym złożyła w twoje ręce trochę tego co zbywa od potrzeb moich. Robiąc tę ofiarę, słucham tylko wyroku opatrzności, która bez wątpienia dla tego dała mi więcej niż trzeba, abym podzielała jej dary z temi co na nie zasługują. Weź, rzekła kładąc mi sztukę złota w rękę: a widząc że ją gwałtownie usunąłem: o zaklinam cię! nie odmawiaj tego szczupłego zasiłku, pomnij iż to jest pieniądz, którego nie wydzierasz nikomu, którym mogę dobrowolnie rozporządzać, i który z resztą zwrócisz mi z czasem, kiedy będziesz bogatym i szczęśliwym, jak na to zasługujesz.“ Mówiąc to, patrzała na mnie wzrokiem czułym i błagającym, wsunęła mi sztukę złota w rękę, i znikła, powtarzając: »Do niedzieli! Bądź zdrów, niech cię Bóg błogosławi!“

Wiele niedziel przeszło w podobny sposób; zawsze chętnie śpieszyłem oglądać poczciwą kobietę; ona też co dzień zdawała się szczęśliwsza z mojej obecności, otaczała mię najczulszemi staraniami, wypytywała mię z troskliwością macierzyńską o moich naukach, potrzebach, marzeniach młodzieńczych. Czasem śmiała się z moich opowiadań pełnych szczeroty, to znowu zachęcała mię do pracy i wytrwałości w dobrych przedsięwzięciach, pochwalała lub zbijała zamiary robione na przyszłość,

a jeśli znalazła w moich słowach coś nagannego, jej wymówki lub przestrogi były pełne słodyczy.

Życzyłem z duszy zgłębić historyą jej życia, zbadać jej przeszłość; albowiem w wyrazie jej spojrzenia, w często kroć używanych słowach, było coś smutnego co mię bardzo zajmowało, a czego sobie nie mogłem wytłómaczyć. Widząc szlachetne rysy jej twarzy, jej błękitne oczy, których ognia wiek nie mógł przygasić, jej usta niekiedy słodko się uśmiechające i twarz pełną wdzięku; można było wnosić iż kiedyś była piękną. Zagadywałem siebie, czyli życie jej tajemnicze nie kryło w sobie jednej z tych namiętności źle uśpionych, dla których piękność jest często igraszką; czyli jej smutek nie zrodził się z gorzkiego zawodu serca, z tych wspomnień głębokich, które czas tak zwolna wygładza z pamięci, jeżeli jeszcze wygładzić je może. Wszakże ilekroć pokusiłem się wspomnieć o dniach jej młodości, twarz jej przybierała wyraz tak posępny, tak boleśnie spoglądała na mnie, żem sobie gorzko wyrzucał tę natrętną ciekawość.

Przy pomocy moich przyjaciół mogłem zapewne powziąść rozmaite wiadomości od sąsiadów, wstydziłem się jednak użyć podobnego sposobu, dla zbadania tajemnicy którą moja dobrodziejka ukryć przedemną chciała. Cóż mię obchodziła zresztą ta mistyczna historya przeszłości? Cóż mię obchodziło to wszystko cokolwiek było dziwaczne-

go, niepojętego w jej uczuciu dla mnie? Czyliż ono bezwarunkowo nie stanowiło szczęścia mojego? Czyliż nie miałem dla tej kobiety trafem na drodze życia mojego spotkanej, uszanowania i przywiązania synowskiego? a ona czyliż nie była dla mnie czułą i pobłażającą matką? Każdego razu kiedy ją odwiedzałem, serce moje wylewało się coraz z większą otwartością. Nieraz po obiedzie zostawszy sam na sam w jej małym pokoiku, przepędzaliśmy całe godziny na rozmowie, jak gdybyśmy się już znali od najdawniejszych czasów. Każdej niedzieli jej przemyślna troskliwość wynajdywała nowy sposób zbogacenia mię, nie narażając mojej delikatności; kiedy zaś wzbraniałem się przyjęcia jej podarunków:— «weź, weź, mawiała mi, winnam ci złudzenie, które jest szczęściem mojém. Sam Bóg przyprowadził cię do mnie, ażeby nam obojgu dać to czego potrzebujemy; tobie troskliwą opiekunkę, a mnie choć cokolwiek pociechy w moich smutkach.«

Pewnego dnia opierałem się bardziej niż kiedykolwiek w przyjęciu nowego daru, ona zaś w żarcie wiele prawdy zawierającym, tak mówiła do mnie:— «Może też nie jestem tyle bezinteressowną ile się tobie zdaje, oto i teraz mam cię prosić o jedną łaskę.... Ale nie.... nie śmiałabym, nie pojąłbyś życzeń moich, i posądziłbyś mnie o dziwactwo.« — «Mów rzekłem, i chciej wierzyć, że ślepo

szanuję każdą wolę twoją.«—»Więc dobrze! chciałabym.... ale w rzeczy samej nazwiesz mię dziwaczną; chciałabym ażebyś kiedy przyszedł do mnie ubrany w sukni zielonej z świątłemi guzikami, i w kamizelce błękitnej pluszowej. Ubiór ten nie jest już w modzie; zapewne nie pokazałbyś się w takim stroju przed swemi towarzyszami, ale włóż go choć raz jeden dla twojej starej przyjaciółki?»

Przejęty zapałem jak gdybym jakiś czyn heroiczny postanawiał uskutecznić: «spełnię, rzekłem twe żądanie, i nie tylko raz ale zawsze będę chodził jeśli tego żądasz, w takim stroju.«

Jakoż wyszedłszy od niej, udałem się prosto do krawca. Ten zaraz mi prawił, iż strój żądany, od lat dwudziestu wyszedł z mody, że inne kolory teraz są używane; jednakże wszystkie jego uwagi nie zmieniły mego postanowienia, i nareszcie robota przezemnie żądana była gotową.

Kiedy w następującą niedzielę szedłem do pani Teederhart ustrojony podług jej życzenia, przechodzący zatrzymywali się na ulicy żeby mię obejrzeć: gdyby to był ostatni dzień karnawału, sądziliby że wybrałem się na maskaradę, — teraz zaś sami nie wiedzieli co myśleć. Prawdę mówiąc, mało mię obchodziły uwagi jakie sobie kto mógł czynić, myślałem tylko o tém, że spełniam wolę mojej dobrodziejki, chociaż przyznawałem w duszy, że ta jej fantazya była dosyć dziwaczną.

Pani Teederhart ujrzawszy mię, wydała okrzyk znowu dla mnie nie pojęty, później zbliżyła się do mnie, oglądała mię w milczeniu od stóp do głowy, a potem: »zaczekaj rzekła, jeszcze czegoś brakuje do twego ubioru.« Poszła więc do szafy, wyjęła z niej białą haftowaną chustkę zawiązała mi na szyję zamiast jedwabnego mego halsztucha, i znowu wpatrywała się we mnie, skutkiem silnego wzruszenia nie mogąc przemówić ni słowa. Nie małą chwilę staliśmy oboje nieporuszeni, ona z powodu uczuć które nią miotały, a ja z odurzenia iż sam nie wiem jaką odegrywam rolę. Niepostrzegliśmy nawet iż weszła jedyna przyjaciołka pani Teederhart, niedawno do Utrechtu przybyła, która patrząc na mnie przeżegnała się i zawołała: »Jezu Chryste! Wszelki duch Pana Boga chwali! To Pan Karol!» Na to słowo czarodziejskie pani Teederhart zakryła sobie twarz rękoma, i z boleśnym jękiem wybiegła do drugiego pokoju. — »To pan Karol!« powtórzyła ona przypatrując mi się jeszcze bliżej: »ale to nie ten, tamten był takim przed dwudziesto laty, nie wiem czy kto mógł widzieć drugie takie podobieństwo!» »Któż więc jest tamten pan Karol?» zawołałem. »Jakto, pan nie wiesz? syn mojej przyjaciółki, syn ubótwiany którego co dzień opłakuje. Toż jego portret pod tą czarną kitajką.» — Obraz ze złocistemi ramami zaraz w dniu pierwszej mojej wi-

zyty postrzeżony, był zawsze starannie opięty; niemogłem więc widzieć co było pod tą zasłoną. Teraz owa zasłona była lekko zwieszoną, jak gdyby na znak że przestaje być tajemniczą. Zbliżyłem się przeto, usunąłem kitajkę, i wyobraźcie sobie zadziwienie: widząc młodzieńca mojego wieku, ubranego jak ja byłem w owej chwili, i tak do mnie podobnego, że najdoskonalszy malarz nie mógłby szczęśliwiej trafić mojego portretu, ani lustro nie odbiłoby lepiej rysów mej twarzy.

»O biedna kobiéto! zawołałem, biédna, nieszczęśliwa matko! Rozumiem teraz wszystko coś ucierpiała, pojmuję twoje bolesne złudzenie, i ów okrótny żal którego doświadczałaś na mój widok!«

Po chwili pani Teederhart wróciła do nas. Była bladą i osłabioną, z jej zaczerwienionych oczu widać było że płakała. — »Dobra Teresso! rzecze do swej przyjaciółki, p zyjdź trochę później, a teraz zostaw mię samą abym się mogła oddać moim wspomnieniom.» Przyjaciółka uścisnęła ją w milczeniu i oddaliła się. Biédna znękana matka usiadła, a potem podając mi rękę, i rzucając spójrzenie na odsłonięty portret: — «teraz wiész wszystko, rzekła, wiész przyczynę mego wzruszenia kiedy przypadkiem postrzegłam cię przechodzącego mimo mojego mieszkania, czemu starałam się widywać cię częściej i dla czego cię pokochałam. Przebacz mi jeśli przywiązanie którem ci okazywała,

winien byłeś nie tyle swojej osobie ile wspomnieniom. Muszę ci wyznać, iż z razu szukałam tylko podobieństwa w twarzy, które chwilowo mogłoby pociągnąć mnie ku tobie, ale później znalazłam też samą duszę i charakter, które każdodziennie wzbudzały we mnie nie wiem sama jakieś nie wytłómaczone uczucia czułości i wdzięczności, jak gdybyś sam przygotował to podobieństwo, ażeby mi sprawić ulgę w cierpieniach, i łudzić snem lubozwodniczym, niemniej jednak pożądanym. Niestety, ten którego widzisz tu portret, do kogo tak jesteś podobnym, i którego przez traf szczególny nawet imię nosisz, był również jak ty dobry i szlachetny, lecz na nieszczęście mniej rozsądny. Lubił śmiałe przedsięwzięcia, awanturnicze marzenia; to mieszkanie w którém upatrujesz tyle zbytku, dla niego było za biedne, Utrecht za ciasny, chciał rzucić się w świat, probować wielkich rzeczy. Podróże najodleglejsze, najniebezpieczniejsze projekta, uśmiechały się do jego żywej i wybujałej wyobraźni. Mogłam zostawić mu dosyć znaczny majątek, bo chociaż jestem tylko kupcową fajansu, mam jednak moje zapasy. Ale majątek nie był dlań dostateczny, chciał chwały, niebezpieczeństw, tęsknił do dalekich podróży, zwycięztw niepewnych, zapragnął sławy Houtmana, Heemskerta, owych odważnych żeglarzy hollenderskich. Ileż to razy, widząc jego chęć by co prędzej puścić się na fale

oceanu, powiadałam mu jak nieszczęśliwa matka, o której mówi poeta Gijsbert Japick: Karolu, Karolu dla czego chcesz odjeżdżać! Czyliż miasto w którem się rodziłeś jest tak małe? dom gdzieś się wychował tak smutnym? a serce twej matki tak biedne? że w przestrzeni miasta, w szczęściu pod rodzinnem dachem, w nieograniczonej czułości tej co cię w dzieciństwie pielęgnowała, nie możesz znaleźć dostatecznych żywiołów dla twojej duszy i twojej wyobraźni? Próżne zabiegi! — jego ojciec, który ze swą władzą przyszedłby mi na pomoc, nie żył już od dawna, a moje prośby i błagania były bezskuteczne. To najukochańsze dziécię, ten syn jedyny, odjechał. Dziś skończyło się lat dwadzieścia jakem go pożegnała w porcie Amszterdamskim, dziś też lat dwadzieścia, jakem go po raz ostatni widziała. Zginął podczas nawalnicy. Od dnia kiedy doszła mnie ta straszna wiadomość, nie znałam ani jednej chwili szczęścia, aż do czasu kiedym ciebie ujrzała; wtenczas dopiero oddając się zwodniczej ułudzie, starałam się błogie wyobrażenia ożywić w osobie przed mojemi oczyma będącej. Wszakże obecność twoja, zasmucała mię pocieszając, i tem przykrzejszych uczuć była powodem, iż nie mogłam ci mówić o tym synu, którego mi przypominałeś tak żywo swoim nadzwyczajnym podobieństwem. Nie prawdaż, musiałeś mię nieraz nazywać dziwaczką? Ale teraz wiesz

już o wszystkiem, i widząc ile ja wycierpiałam, kochaj mię jeszcze cokolwiek, jeżeli nie przez wdzięczność, to przynajmniej przez litość!«

Ze zbytniego wzruszenia opóźniłem się z daniem odpowiedzi, ona zaś zawołała z pośpiechem: »Och! powiedz mi, powiedz przynajmniej że nie przestanę ciebie widywać, że nie pójdziesz śladem mego nieszczęśliwego Karola, szukać losu w zgubnych podróżach. Usłuchaj mię, nie tak dla mnie twojéj staréj przyjaciółki, jak raczéj dla twojéj matki! Niestety! gdybyś wiedział ile to cierpi serce macierzyńskie widząc syna oddalającego się w dalekie kraje, i czując iż on się powierza falom, lubo wiatr szumi i niebo się chmurzy!«— »Nie, mówiłem, niémam zgoła tych awanturniczych myśli, dla których inni rzucają rodzinną strzechę, aby w dalekich stronach gonić za urojonem szczęściem. Pozostanę tutaj, przy tobie przy moich rodzicach, będę obywatelem Utrechtu, dobrym ojcem familii, będę, dodałem z uśmiechem, chodzić co dzień do trybunału, a wieczorem palić fajkę przy szklance herbaty. Oto moja przyszłość i nie żądam innéj.»

—»To dobrze, to dobrze, rzekła nieszczęśliwa matka, oh, gdyby mój syn chciał na tem poprzestać, nie pędziłabym dzisiaj dni moich w wiecznéj żałobie. Ale teraz ty żywy jego obrazie, ty mi przynajmniéj pozostaniesz, i dziękuję niebu iż w mo-

jej niedoli jak ostatni promyk szczęścia, zesłało mi złudzenie!«

Od tej chwili stosunki moje z panią Teederhart stawały się coraz ściślejszemi. Wprzód raz na dzień, a następnie i po kilkakroć codziennie ją odwiedzałem. Zgłębiwszy tajemnicę jej boleści, cieszyłem się w duszy że moja obecność mogła osłodzić gorycz jej cierpienia. Ale też i ona każdego dnia podwajała dla mnie swe starania i przyjaźń.

Lat kilka tak upłynęło. Ci którzy niedawno uważali ją za dziwaczkę, żywo zostali poruszeni dowiadując się ile ona wycierpiała; również i moi przyjaciele żałując szczerze iż w fałszywych wyobrażeniach szydzić z niej ośmielili się, przychodzili jeden po drugim prosić o przebaczenie za nieprzyzwoitość jej wyrządzoną. Co do mnie, lubo już ukończyłem kurs prawa, jednak pozostałem w Utrechcie. Wkrótce i moi rodzice przyjechali widzieć się ze mną. Zaprowadziłem ich do niej. »Zostawcie mi waszego Karola mówiła im, będę miała o nim staranie; bo to jest mój syn przysposobiony. Nie zniewalam go aby zmienił nazwisko, nie chcę bowiem wydzierać go waszej czułości. Poczekajcie jeszcze czas jakiś a on powróci do was zupełnie; jeśli zaś dotąd podług zwyczaju, niezrobiłam aktu przed notaryuszem iż go sobie przybieram za syna, wierzcie mi, iż ten akt tu jest gotów« —dodała kładąc rękę na sercu.»

Umarła dając mi swoje błogosławieństwo, i nie mam potrzeby mówić iż płakałem po niéj jak po rodzonej matce. Przez testament zostałem prawie jedynym jéj spadkobiercą, i tak się wyraziła w końcu swoich rozporządzeń; —»z krewnych, mam tylko jedną siostrę stryjeczną kobiétę starą i bogatą; jeżeli Karol zechce jéj ofiarować część mojego majątku, zgadzam się na to, lecz błagam go, a to jest ostatnia prośba umierającéj, aby dla siebie zatrzymał część większą.« Oprócz tego zapisała sto złotych rocznie dla żony biednego marynarza, która utraciła syna w czasie nawalnicy. Wypełniłem ten zapis najświęciej; wynalazłem jéj krewną testamentem wskazaną: lecz ona nie przyjęła części majątku jaką jéj ofiarowałem, a tak zostałem panem fortuny niespodziewanéj. W roku następnym ożeniłem się; zostałem sędzią w Utrechcie, najstarszemu synowi mojemu dałem imie Karol, córka nosi imie méj dobrodziejki, a moja żona, dzieci i ja, codziennie modlemy się za jéj duszę.«

Hollender skończył swoje opowiadanie, odwrócił głowę, i widziałem jak rękę podniósł ku oczom dla otarcia łez. Jego gruby i tłusty towarzysz, który jak się zdawało ciężkie członki swoje pokrzepił potężną porcyą rostbifu, a policzki zarumienił jałowcówką, tak się ozwał: «Oto jest historya najlepiej dowodząca, że holendrzy nie są materyaliści, jak to sobie wyobrażają nieświadomi cudzo-

ziemcy. Ja sam mógłbym opowiedzieć inne wydarzenie.... ale już przybyliśmy do *Niewdiep*.« To rzekłszy, powstał, ukłonił się nam od niechcenia i wyszedł.— Na brzegu czekała nań młoda kobiéta i z rozrzewniającą radością rzuciła się w jego objęcia, dwoje dziatek z okrągłemi i rumianemi policzkami, zawisło u poł jego surduta, i szczęśliwy podróżny oddalił się z tym słodkim ciężarem.... Być może to była historya którą chciał nam opowiedzieć.

Razem z nim i ja wyszedłem z zadymionego *roem*, i z zadziwieniem ujrzałem obraz który się nagle rozwinął przed memi oczyma. Już nie błotniste doliny, piasczyste stepy, nie samotne chaty, których widok po wyjeździe z Alkmaru nie miłym był przez swoję jednostajność, ale piękne szerokie budowle, żeglarskie składy i ożywioną zobaczyłem ludność. Oficer na fregacie dowodził manewrami, majtkowie ściągali liny, wojskowy dobosz bębnił po ulicach, trębacz dawał sygnały u bramy koszar. Statki handlowe wchodziły do portu, łodzie snuły się wzdłuż kanałów, a tragarze uginali się pod ciężarem worków ryżu i kawy; przybyliśmy bowiem do głównego składu północnego morza, do jednego z portów wojennych Hollandyi.

Przed czterdziestą laty, nie było tu jeszcze, ani tych wielkich budynków, ani warsztatów okręto-

wych, stała tylko samotnie jedna chata wieśniacza. Wybudowanie kanału północnego zmieniło postać owej okolicy, i na pustej dolinie wzniesło się kwitnące miasto. Tu obecnie zatrzymują się wszystkie statki amszterdamskie płynące do Indyi, lub wracające ztamtąd; tu jest główny skład wszystkich materyałów i rynsztunku dla okrętów wojennych. Jeżeli który z nich ma wypłynąć za granicę, przybywa pierwej do Niewdiep, zabiéra kule i harmaty, wracając zaś oddaje wszystkie rynsztunki; odbierają mu broń, amunicyą, większą część żagli, czasem nawet maszty, i tak ogołocony wraca do przystani amszterdamskiéj, jak spokojny obywatel, nie zdolny nikomu nic złego uczynić. Widziałem raz wspaniałą fregatę, która uległa podobnemu losowi; smutno było patrzeć na jéj zupełnie pusty pokład, pozamykane drzwiczki, zrzucone belki masztowe. Dwadzieścia cztery konie, noga za nogę ciągnęły ów statek po kanale, możnaby o nim powiedzieć, że to bohatér waleczny i śmiały, którego obdarto ze zbroi i gwałtem posadzono na wozie, na jakich jeździli gnuśnicy naszemi staremi kronikami wsławieni.

Nie pojmuję jak ziomkowie Trompa, Rujtera, odważyli się dla dziwacznéj jakiejś rachuby tak upakarzać i poniżać swoje najpiękniejsze statki. Raz bowiem widzieć okazałą fregatę wypływającą z portu z rozwiniętą chorągwią, z mnóstwem

majtków przy rejach i stosami kartaczów po bokach, kiedy lud w uniesieniu okrzykami ją wita, kiedy warczą liny na bloki zwijane, słychać trąby dające żeglarskie sygnały i dźwięk srebrnych piszczałek takt wybijających, kiedy w rozpięte żagle wiatr z taką dmie siłą, jak gdyby już miał je poszarpać; kiedy nareszcie owa fregata, jak dzielny rumak w podskokach naprzód się posuwa i po pienistéj drodze, nie baczna na wiatry i burze, porze śmiało bałwany, i nakoniec znika w oddaleniu jak gdyby śpiesząc na podbicie świata nowego — a potem widzieć ją kiedy powraca naga, smutna, powolna, oh! na taki widok serce krajać się musi każdemu, kto byle raz jeden stanął nogą na okręcie.

W Niewdiep przyłączył się do nas nowy podróżny, a widząc jak chciwie zwracałem uwagę na otaczające mnie przedmioty, domyślił się żem cudzoziemiec, podszedł przeto ku mnie, i z gościnnością właściwą pogranicznym mieszkańcom każdego kraju, rzekł: »jestem obywatelem Helderu, mieszkam u krawędzi naszéj wielkiéj grobli, proszę więc pana do mnie na wieczór, a przypatrzysz się morzu do woli.« To mówiąc dał mi kartkę ze swoim adresem, a ja, ma się rozumieć, przyjąłem ją nader ochoczo. — Znowu powoli sunęliśmy się po kanale, który ztąd na milę jeszcze się rozciąga: po nad jego wodą we wszystkich zakrętach ciągnie

się linia domków czerwono malowanych, rzekłbyś że to rząd korali. Każda z tych budowli tworzy widok bardzo zajmujący. I tak w upstrzonych oknach jednego domku, ujrzysz doniczki z kwiatami; znowu drugi wykwintniejszy ukrył się między gałęziami rozłożystego drzewa. Tu jest ulubiony namiot żeglarza, gdzie on po długiej niebytności używa spoczynku, na łonie rodziny. Ówdzie stoi karczemka, gdzie na domiar jego uciech, znajdzie długą fajkę glinianą i jałowcówkę której wspomnienie nawet wtenczas go nęciło, kiedy spijał francuzkie wina lub portugalskie likwory. Co chwila możesz tu spotkać dzieciaków, które ledwo z pieluch wyszedłszy, już się rzucają do łodzi jak kaczki w wodę. Miasteczko to liczy do sześciu tysięcy mieszkańców, morze jest ich pierwszym żywiołem, a jeśliby tak jak są nie byli prawemi chrześcijanami, zapewno czciliby Neptuna i Tetydę.

Helder jest to nowe miasto, wytwornie zbudowane i powabne, ciągnie się ono w prostéj linii i więcejby się przedłużyło, gdyby morze nie stanęło mu na zawadzie. Znajdziesz tam wielką mieszaninę w ludności, pełno bowiem kupców, mieszczan, urzędników, żołnierzy i żeglarzy. Jest to ostatni kraniec hollenderskiéj ziemi, z którym się marynarz na ostatku żegna kiedy odpływa, i który naprzód wita przy powrocie w ojczyste progi.

Dotąd przeprowadzają go przy rozstaniu się, tu też oczekują dla powitania. Ileż to na owém morskiem wybrzeżu odjeżdżający i powracający wymienią wzajemnych uręczeń; ileż to nie jedne piękne oczy łez wyleją, niestety! częstokroć tak prędko osuszających się. A tymczasem morze bezprzestannie podmywające wały miasta, wiecznie i niezmiennie odzywając się szelestem ciągłego westchnienia, zdaje się żartować z tych wszystkich zwodniczych smutków i z tych żalów jednogodzinnych.

Obok Helderu wznosi się obszerna i mocna forteca, zaczęta przez Napoleona, skończona zaś przez Wilhelma I.— Napoleon wielkie miał plany względem tej części Hollandyi: «tu, mówił, utworzę północny Gibraltar.» Jakoż sam przyjechał obejrzeć położenie miejscowe i na rybackiej łodzi podróżował po zakrętach Texelu dla ustanowienia linii obrony. Z dwóch szańców których sam plany skreślał, jeden zwano *Lassale*, dziś go zowią szańcem *Księcia Następcy Tronu*; drugi nosił miano *Króla Rzymskiego*, póki trwało Cesarstwo Francuzkie. Wszakże lud sąsiednich wiosek nie zapomniał dotąd tego wysokiego nazwiska, zdobiącego niegdyś powstającą twierdzę Hollandyi, i nie jeden tameczny ziemianin ze szczególniejszym zapałem wspomina twórcę owej budowy, dziwnego człowieka, co jak meteor świat przebiegł, zostawując

po sobie tam i ówdzie, albo pole trupami usłane, lub dzieła gieniuszu.

Myśl Napoleona patrzącego na północne morze ujęte w brzegach Hollandyi i Texelu, jak Baltyk w ciaśninie Zundskiej między Danią i Szwecyą, chociaż zwolna, jednak z najściślejszą dokładnością była wykonana. Są tam trzy obszerne bastyony z kazamatami, mogące łatwo pomieścić liczną załogę, i rzucanemi ztąd kulami, które do Texelu sięgać by mogły, wzbraniać statkom przejścia przez ciasninę, i tem samem dostania się w głąb kraju. Zresztą poczynające się w niemałej stąd odległości pokłady piaskowe, szkopuły i skały, przeszkadzają zbliżeniu się statków; a nakoniec sama grobla uzbrojona harmatami, w razie napadu stanowiłaby wał trudny do przebycia. Ta grobla ciągnie się dwie mile, na czterdzieści stóp wznosi się nad poziom morza, a na dwadzieścia wchodzi w głąb jego. Zbudowano ją z ogromnych kamieni, sprowadzonych z gór Norwegii, jej fundamentem są skały, a na wierzchu usypano ziemię, którą darniem pokryto i która służy za drogę dla prowadzących ręczne wózki, i za miejsce przechadzki dla poczciwych mieszczan. Niezaprzeczenie jest to jedno z olbrzymich, zadziwiających dzieł nowoczesnego gieniuszu. Kiedy mierzemy okiem rozległość i głębokość owego skalistego muru, zdaje się nam że mieszkańcy Noordholandu nie powinni obawiać

się wezbrania wód i zalewów, a jednak rzadko kiedy rok przechodzi, w któryinby ich serce nie było miotane dręczącą wątpliwością i przestrachem. Natarczywe niezmordowane bałwany coraz wzrastają, rosną i rosną bez końca, biją w zaporę co je wstrzymuje, im ona jest silniejszą, tym bardziej morze staje się zaciętsze w gniewie, nieubłagane w usiłowaniach swoich. W innych miejscach Bóg ziarko piasku za granicę jemu położył i ono już jest wstrzymane: ale kiedy człowiek z niezliczonych stosów kamieni zapory mu stawia, mówiąc: nie pójdziesz dalej! rzekłbyś że potężny żywioł oburza się iż niewolnik przemawia głosem Pana, i ze szczytu wysokości swojej wali się całym ciężarem na marną ludzką budowę.

Usiadłszy przy drodze, na najwyższym punkcie grobli Helderu, nie mogłem nasycić się do woli widokiem wspaniałego morza. Było to wieczorem przy zmiennem świetle księżyca, który raz okazywał się w całym swoim blasku, to znów zachodził za chmury. Z jednej strony mogłem rozróżnić piasczyste brzegi Texelu, z drugiej nagie ledwo gdzie niegdzie sitowiem porosłe wzgórza, a w oddaleniu niezmierzoną przestrzeń wód, jedną krawędzią sięgających odwiecznych lodów północy a drugą balsamicznych brzegów wschodu.

Mój wzrok przebiegał z przedmiotu na przedmiot, z jednej strony w drugą; tu ścigałem wspa-

niały okręt dumnie unoszący się po bezdennej przestrzeni, ówdzie skromną łódkę wchodzącą do portu; nie wiem jak to się stało, ale duszę moją ogarnęła jakaś czarowna tęschnota, jakiś urok, który starożytni w postaci syreny wyobrażali, i dręczony niepojętym życzeniem i smutkiem rzekłem sam sobie. — O straszliwe i wspaniałe morze, ktokolwiek ci się raz powierzył, ten zawsze po tobie tęschnić będzie, kto raz z pokładów okrętowych przysłuchiwał się twojemu wiecznemu szmerowi, ten później w każdem powiewie wiatru, w każdem pluśnieniu fali, słyszeć będzie głos tajemny powołujący go do oddalonych krain.

Kiedym przybył do domu pana E.... tego samego co mnie na wieczór zaprosił, zastałem stół nakryty, w samowarze wrzała woda na herbatę, a służąca kończyła układać bułki z masłem, wędzoną wołowinę, sér, śledzie, jednym słowem wszystko co stanowi rzeczywiście posilną hollenderską wieczerzę. Pan E.... wziął mię za rękę z wyrazem największej uprzejmości, wyrzucał żem opóźnił moje przyjście, a następnie przedstawił mnie żonie, córkom i jednemu z przyjaciół kupcowi, który już kilka razy odbył podróż do Indyi.

W wieku osób zgromadzonych u pana E... różnica była nie tak bardzo wielka, a jednak w umysłowem usposobieniu jedni od drugich o lat sto różnili się. Gospodyni domu rodem z Fryzyi, da-

wnym zwyczajem nosiła bogate i wymuszone ubranie swojej prowincyi, na skroniach miała dwie złote blaszki, a na czole przepaskę dyamentową, mówiła tylko po hollendersku, i to jeszcze przekładała nad inne dyalekt ukochanéj prowincyi którą dwa razy w życiu opuściła, to jest: raz wybrawszy się do Amszterdamu, drugi raz do Helder. Przeciwnie zaś jéj dwie młode córki, łagodne i miłe stworzenia z niebieskiemi oczyma, udatną postacią, były ubrane podług ostatniego numeru dziennika mody; włosy miały gładko i nisko zaczesane, rękawka u sukien obcisłe. Z wielką nieśmiałością kiedy niekiedy odzywały się po francuzku, czytały Jocelina i poezye wschodnie, nie potrzebując pomocy w tłómaczeniu, i z wielkiem uniesieniem mówiły o Paryżu!—Oh! gdyby kiedy być w niém, z jakąż to przyjemnością przebiegałabym bulwary, mówiła jedna; chodziłabym do teatru, powiedziała druga; uczęszczałbym na posiedzenia Izby Poselskiej, dodał ojciec. Był to człowiek skromny, pełen nauki, wiele podróżował, wiele badał i rzeczywiście również zajmował się sztukami pięknemi i polityką, ile umiejętnościami i przemysłem.

Pan E. .. i jego milczący przyjaciel, były to dwie doskonałe sprzeczności; piérwszego rozmowa była ucząca i bardzo urozmaicona, drugi radby nigdy nic nie mówić, a jeśli kiedy niekiedy ozwnł się pośród kłębów gęstego dymu fajki, to zapewne

o cenie towarów kolonialnych. Pomimo takiej różnicy w charakterach, całe towarzystwo bardzo mi się podobało, albowiem panowała w niém szczerość, prostota, a szczególniej ujęty byłem nadzwyczajną serdecznością z jaką mnie gospodarze domu przyjmowali. Pan E.... ściskał mi ręce, najuprzejmiej dziękując za odwiedziny, żona jego w zbytku grzeczności, która stałaby się utrudzającą gdyby dłużej trwała, co chwila dolewała mi herbaty do filiżanki, i dokładała więcej mięsa na talerz Jedna zaś z córek, zdaje mi się że najładniejsza, z układnością pełną wdzięku, podała mi długą piankową fajkę napełnioną wybornym tytuniem. To mi przypomniało historyą owego filozoficznego niemieckiego wieśniaka, co się rzucił w wodę za tonącym pudelkiem swojej pani. Gdy przyszedł do zamku od stóp do głowy zmaczany, ale niosąc psiaka zupełnie zdrowego, pan w zapale wdzięczności pytał go:—«Powiedz, jak ci mam wynagrodzić poświęcenie twoje, może chcesz pieniędzy? albo najpiękniejszego wołu z mojego stada, albo też pola przytykającego do twojej osady.» —»Nie, rzecze poczciwy wieśniak, tego wszystkiego nie potrzebuję, jednakże jest jedna rzecz któraby mi sprawiła wielką radość, a dla której gotówbyłbym drugi raz rzucić się w wodę, tylko nie śmiem powiedzieć co to takiego.« — «Mów śmiało, zobaczemy.« — »Ale pan baron gniewać

się będzie?«—»Nie.» — «Bo też to za nadto zuchwałe życzenie na biednego Franciszka «— «No, nie nudź, odpowiadaj.« —»Oto chciałbym żeby pani baronowa nałożyła tytuniu do najpiękniejszej fajki pańskiej i do palenia mi podała.» — Baron brwi zmarszczył i ścisnął zęby; ale baronowa równie dobra jak piękna, jednem wejrzeniem uspokoiła surowego męża, wzięła fajkę, pięknemi paluszkami napełniła ją wybornym tytuniem, i z uśmiechem podała Franciszkowi. Wiesniak usiadł na trawniku, i jeżeli jest w tym świecie istota doskonale szczęśliwą, on był nią niezaprzeczenie póki nie skończył swej fajki. Co do mnie, szczęśliwszy byłem od niego, gdyż nie potrzebowałem rzucać się do wody dla ratowania pudla, a jednak paliłem fajkę nałożoną zgrabniutkiemi rączkami pięknej panienki.

Ile sił naszych odpowiadaliśmy życzeniom uprzejmej gospodyni, pijąc jej herbatę bez przestanku, a tym czasem rozmowa nasza stawała się coraz więcej ożywioną, nawet i kupiec był daleko mówniejszy. Rzecz toczyła się głównie o przedmiocie zajmującym najwięcej mieszkańców Helderu, o tém morzu, które z bezustannym jękiem bije w podnóże grobli, i którego fale widzieliśmy przez okna domu, to zaciemnione posępną chmurą, to znów błyszczące od światła księżyca. Obie panienki z naiwném wzruszeniem opowiadały ile

to razy wśród długich zimowych nocy, przestraszał je trzask rozhukanych bałwanów. Pan E.... sprawiedliwie wychwalał gieniusz i wytrwałość hollendrów, niezmordowanych w ustawicznéj walce z oceanem, a kupiec zdaje się, iż mimo własnéj wiedzy jak poeta opisywał piękności południowego morza, i fosforyczne własności bałwanów oświetlonych złotemi słońca promieniami; a następnie powiadał nam o przesądach hollenderskich majtków, i ma się rozumieć że słuchałem go z największą uwagą.

—»Państwo, mówił kupiec, nie potraficie wyobrazić sobie, jak jest wielka wiara w podania, i ile ci dobrzy ludzie, na pozór tak materyalni, są myślącemi, a często nawet poetycznemi w wyobrażeniach swoich. Fizycy co rok, co dzień prawie dają nowe tłómaczenia o wpływie pór roku, o ruchu wiatrów i o sile wody; ale majtek nie wierzy w te wnioskowania naukowe, on ma swoją oddzielną naukę, którą nabył od towarzyszy gawędząc na pomoście okrętowym, albo w karczmie w godzinach spoczynku.

Pewnego ranka po wielkiéj burzy, jeden z majtków mówił do mnie: »a więc to podług pana, wiatry wiejące przy porównaniu dnia z nocą zbiły nas z drogi, tak iż od ośmiu dni niepotrzebnie tańcujemy po morzu. Oj to nie ta przyczyna. Gdybyśmy wszyscy wypływając z portu popłacili długi, pe-

wnoby tego nie było. Tym sposobem tłumaczą oni wszystkie wypadki przechodzące ich pojęcie. Wszelkie opóźnienia w żegludze, ciszę na morzu, nawałnice, wiatry przeciwne, zwykli przypisywać nie tylko winie którego z podróżnych, mającego sumienie obciążone grzechem śmiertelnym, ale nawet przedmiotom nieżyjącym, jakiemuś nowemu sprzętowi, to kawałkowi liny, lub żagla, to rysowi twarzy czyjej, brodzie, nosowi, lub kosemu spojrzeniu. Równie jak gracze mają swoje przesądy, a nadto jeszcze wierzą w jakieś duchy tajemnicze, raz zgubne drugi raz dobroczynne, w pokutowania dusz, w cudowne objawienia i t. p.« Naprzykład, rzekł kupiec, obracając się do mnie, czy słyszałeś Pan co kiedy o hollenderskim widmie.« — »Słyszałem, alem go nie widział, i zapewne Pan go także nie widziałeś.» — «Prawda nie widziałem, jednak wyznać muszę iż nieraz pytałem sam siebie, czyli to co uparcie za bajkę uważam, nie jest straszną rzeczywistością, kiedy tylu poczciwych żeglarzy mówi o tém jak o najistotniejszej rzeczy. Widząc tę powagę, to ich zajęcie się przedmiotem powieści, niezawodnie podzielalibyście ich przerażenie.

Podług nich owe widmo, ma to być wielki okręt wojenny bez masztów i żagli, ukazujący się zdala na widnokręgu jak najogromniejszy wieloryb, tak iż młodzi niedoświadczeni majtkowie, sądzą że zie-

mię zobaczyli. Okręt ten płynie naprzeciw wiatru i fali, chociaż nie widać ani jednej ręki przy jego rudlu, nie unosi się z wodami jak wszelkie zwyczajne statki, ale sam sobie tworzy głęboką brózdę i bez najmniejszego wstrząśnienia sunie się naprzód po morzu, które z trwogą zdaje się pod niém uginać. Nagle wznosi się i jak ptak drapieżny za zdobyczą goniący, jednym podskokiem stawa w niewielkiej odległości od przepływającego okrętu; dopiero wtenczas widać jak ludzie czyli raczéj szkielety, z blademi trupiemi twarzami pną się po drabinach, włażą na maszty i ukazują się w strzelnicach. Tu dają się słyszeć jękliwe głosy pytających o wiadomości z miast, które od wieków wyszły z pamięci ludzkiej, albo też błagające, ażeby przyjęli listy na ląd pisane i oddali je podług adressu. Ale biada temu ktoby się podjął zadosyć uczynić ich prośbie, bo każdy takowy list przeważy miliony centnarów i zatopiłby okręt niezawodnie.

Gdybyście państwo pytali majtków, co myślą o tym fantastycznym okręcie, otrzymalibyście odpowiedź, że to są zbrodniarze skazani na włóczenie się po morzu aż do dnia sądnego, jak ów czarny strzelec w niemieckich balladach, który wiecznie przebiega góry i lasy ze swojemi psami i dojeżdżaczami.

Jeżeli podobne smutne legendy, przykre spra-

wują wrażenie, za to jakżebyś lubił słuchać kiedy majtkowie w wieczornym chłodzie, przy gwiazd połysku, siedząc na armatach lub o maszt oparci rozprawiają o cudownym statku, na którym znowu przeciwnie, marynarze używają wszystkich rozkoszy życia żeglarskiego, nie znając jego trudów i umartwień. Statek ten ma być tak wielki, że jeszcze nikt nie potrafił zmierzyć jego rozległości; już to samo daje wyobrażenie o jego ogromie, że potrzebuje całego roku na jedno swoje poruszenie. Officerowie, naczelnicy robotników, majtkowie, jedni zdala od drugich, stanowią osóbne oddziały. Kapitan ze swojej kajuty nie inaczej jak przez konnego gońca do pierwszego stanowiska wysyła rozkazy, ztąd leci inny goniec, i dalej znowu się zmienia, aż póki rozkaz nie dojdzie na przeznaczone miejsce. Przy każdym pokoiku jest karczma, w której majtek zwykle dni kilka wypoczywa po trudach swoich, bo też nie mało drogi ma przed sobą, gdyż maszty tak są wysokie, iż nie jeden młody i czerstwy osiwiał i postarzał póki dolazł do pierwszego żagla i wrócił ztamtąd. Za to znowu majtek nie jest tam skazany żyć smutno jak wdowiec, i owszem tuż na okręcie ma swoją żonę i dzieci, jego płócienne łóżko wisi na drzewie osypaném soczystemi owocami; jego amunicyja nigdy nie rdzewieje, żeby zaś oczyścić harmaty lub bussole, dość mu je opylić pawiem piór-

kiem. Zresztą podług ich wyobrażeń,pokład okrętowy jestto obszerny ogród zawsze pełen sałaty, zielonej pietruszki i rzerzuchy,a spód okrętu jest tak piękny jak grota w której bezustanku bije zdrój czystej i świeżej wody. Dodajmy jeszcze, że racyje są tam nieograniczone, żołd co tydzień złotem wypłacają, komissarzy w nim ani słychać, a nakoniec wszelka robota musi być lekką, kiedy żagle lubo na kilka mil rozległe, jednak za dotknięciem palca same się na maszt zwijają. Możecie sobie wyobrazić uniesienie młodych majtków słuchających podobnego opowiadania, a ja wam przysiądz mogę, że są nawet i nie młodzi którzy wierzą w te podania jak w prawdy ewangeliczne, i poją się lubą nadzieją, że będą przemieszkiwać w owym pływającym raju, kiedy na tym świecie ukończą swoje troski i kamienną pracę.

Przebaczcie panowie, dodał kupiec powstając z krzesła swojego, że plotłem wam tak długo dziecinne baje, zapomniawszy iż jutro o świtaniu odpływam w dalekie strony byleby wiatr był pomyślnym, i że jeszcze dzisiejszego wieczoru mam ułatwić kilka interessów.

—«Dokądże Bogi wiodą?« pytaliśmy.

—«Płyniemy do Batawij. Długa to podróż, jednak na przyszły rok spodziewam się być z powrotem.» To rzekłszy wstał, pożegnał się z gospodarzem, żoną jego, i dziećmi, podał mi rękę przy-

jaźnie i odszedł unosząc z sobą nasze najszczersze życzenia.

I ja także nazajutrz miałem wyjechać;—nie bez żalu rozłączałem się z zacną rodziną którą przypadek dał mi poznać. Wracając do hotelu zaszedłem znowu na groblę jeszcze raz spójrzeć na północne morze, i pożegnać je może po raz ostatni, długo też rozmyślałem o ostatnich wyrazach kupca »płyniemy do Batawij.« Są więc ludzie tak szczęśliwi na świecie, że mogą zwiedzić Batawiją! (*)

Karol Korwell.



(*) Ten artykuł jest wyjęty z dzieła X. Marmier.

ZMARŁY ZAKONNIK.

Miły, skromny kościolek ojców Kapucynów,
Nie wabi marmurową twarzą Cherubinów,
Nie lśnią w nim drogie srebra—lecz przybytek święty
Zdobią proste ołtarze, i drewnianne sprzęty.
O jakże to jest słodko! jak błogo! spokojnie!
W Bożym Domu odpocząć po światowej wojnie,
I swoje modły łączyć, padłszy na kołana
Z siwym i bosym sługą tak Wielkiego Pana.

Dziś wchodzę do kościoła, na małem wzniesieniu
W trumnie leży braciszek w zakonnem odzieniu,
Z nasadzonym kapturem, na który mu wieniec
Z myrtu bracia włożyli, na znak że młodzieniec.
W głowach się jego smutny dopalał kaganiec,
Ręce miał zkrzyżowane, a w jednej różaniec
W drugiej książkę otwartą,—pokój jakiś z twarzy
Tak cichy mu wyglądał, iż zda się, że marzy,
Tylko mucha natrętna na licach mu siada,
On jej przecież nie spędza. Broda na pierś spada,

A kwiat jesienny, w pękach kolorami pstremi,
Krył mu stopy, i wonią żegnał syna ziemi.
W koło klękły kobiety—a bracia w zakonie
Przy mszach z Najświętszą Hostyą podnosili dłonie.
Jam dumał o pielgrzymce dalekiej i długiej,
Jaką zaczęła dusza pobożnego sługi.
Dumałem o zakonie, jak tu skromna cela
Od światowego zgiełku pobożnych oddziela
A dusza na promieniach pokory ulata
W czyste pokorne serce Zbawiciela świata.
Tu słowo ewangelij z szarego habita
Samym przykładem leci, i za serce chwyta,
Tutaj łyżka drewnianna wspanialsza niż złota,
Gdy się nią codzień karmi nędzarz i sierota,
Tu ubóstwo, a ono z Niebem jest w pobliżu,
Bo Pan rodził się w żłobie a umarł na krzyżu.

Antoni Czajkowski



PSZCZOŁA I TRUTEŃ.

W małej ciasnej komóreczce
Wyśmienicie spać pszczołeczce
Spi spokojna, śpi szczęśliwa
I nic jej snu nie przerywa.
A truteń noc przemarudzi
Co się zdrzemie to przebudzi
Nudy, tęskność do-okoła
Czyż mu sen zabiera pszczoła.

Błysnął promyczek od wschodu
Leci pszczółka do ogrodu
Opuściwszy komóreczkę,
Spotyka truteń pszczołeczkę,
I grzecznie do niej przemówi:
—Przebacz pani sąsiadowi

Wszak odpowiedzieć nie szkodzi
Zkąd też to pszczółko pochodzi
Że ty śpisz tak doskonale
Ja zasnąć nie mogę wcale?

A pszczółeczka odpowiada
—Oto pracuj, moja rada,
Pracuj pilnie przez dzień cały,
Będziesz miał sen doskonały.

St. Jachowicz.

JÓZEFINA.

Westchnęła — tak czysty wionął duch dziew
Jak w chwili gdy się z Boga wyronił prawicy:
I świat z morzem nadziei zagasł w jej źrenicy.

E. Wasilewski.

Z niepokojem w duszy, przystąpiła Józefina już po trzeci raz do okna, i z przytłumionem westchnieniem zwróciła modre i piękne oczy ku gościńcowi; lecz również jak poprzednio, oczekiwanego nie ujrzała przedmiotu. Smutek ogarnął jej serce, łezki lica zrosiły: — Nie przyjedzie więcej, o nie!.... oziębłość i nieprzychylność mamy odjęły

mu wreszcie wszelką nadzieję — i składając ręce na piersi, wolny bieg myślom żałośnym puściła. Ale po krótce, tém samém wiedziona uczuciem, wysłała znowu wzrok tęschny na zwiady: smutek uleciał z oblicza dziewicy, rumieniec pieszczonym rysom nowej dodał krasy; przygładziła rączką nad białém czołem włos jasny, i rzuciła badawczém okiem w zwierciadło, poprawiając przepaskę obejmującą szczupłą jej kibić.

Z trzaskiem i hukiem zajechał koczyk przed dworzec; wyskoczył z niego nader urodziwy młodzieniec, wbiegł śpiesznie do pokoju, gdzie z mocno bijącém sercem Józefina na niego czekała; przycisnął drobne jej ręce do ust pałających, i z namiętnością wymówił:

—O droga, ukochana Józefino! droższa mi nad życie, podwójnie jest dla mnie ta chwila szczęśliwą, już to że panią oglądam, już też, że mogę bez świadków uczucia moje wyrazić. Gdzież mama?

—W ogrodzie.....

—Zdrowąż panią zastaję?.... Pani płakałaś!.... Czyliż mama zawsze tyle niełaskawa, i czyli serce twoje nie zmienia się dla mnie?.... Ubóstwiona Józefino, dusza moja srogich doznaje udręczeń!

—Wszystko jest po dawnemu panie Wacławie— odrzekła wzruszonym głosem: nadzieja mała, ale serce moje wierne.....

—O Józefino! boski utworze cnót i wdzięków! mi-

łość moja przetrwa wszystkie koleje. Niechęć mamy twojej która jedyną jest zawadą szczęściu naszemu, zniweczę wytrwałością: bo matka tylko szczęścia swojej córki pragnąć może, a ja ją przekonam iż szczęście Józefiny jest celem życia mojego.

—Jestem pewna szlachetności uczuć twoich Wacławie, bez bojaźni powierzyłabym ci mój los, moje przyszłość, żadne złowróżbe przeczucie nie łączy się z twoim obrazem.... a jednak wola matki.... Obawiam się iżby twoje poświęcenie się dla mnie, nie przyniosło ci nic więcej, prócz goryczy i żalu, bo matka moja w uczynionych przedsięwzięciach zmieniać się nie zwykła.

—Józefino! ta czysta, ta niewinna dusza, która się w twojém spójrzeniu tak jasno przebija, wywołać tylko zdolna najwyższe, najszczytniejsze uczucia; a zaś czyliż poświęceniem się nazywać mogę, że ciebie z stałością ubóstwiam, że niechęć matki twojej cierpliwie znoszę

Dłużej w ten sposób trwała rozmowa kochanków, gdy przybycie matki położyło koniec tak miłemu serc ich wylaniu.

Pani Lubiewska trzeci rok wdowa, nie liczyła więcej jak lat trzydzieści pięć, słynna nie dawno z piękności, dotąd jeszcze liczne odbierała hołdy; wszakżeż pod tą powabną powierzchownością ukrywała serce zimne i wygórowaną miłość

własną. Szczérze od męża kochana nigdy mu się jednak rzetelném nie odpłaciła przywiązaniem — dla córki zaś oziębłość jej i nieczułość do najwyższego dochodziły stopnia.

Lekki i obojętny ukłon był całą odpowiedzią na potok grzeczności Wacława. Jego następnie przyjemne opowiadanie, pełne żartu i dowcipu, albo uśmiechem pogardy, lub też ponurém milczeniem, a nakoniec skargą na ból głowy, w nader przykre zamieniała chwile. Po kilkogodzinnej cierpliwości, Wacław nie chcąc być dłużej natrętnym, z uszanowaniem pożegnał panią domu, na rękę Józefiny wycisnął czułe pocałowanie.

—Nieznośnym jest ten pan Wacław, i pragnę ażeby mnie od swoich odwiedzin uwolnił,— wyrzekła pani Lubiewska zaledwo gość odjechał, a łzą napełnione oczy Józefiny świadczyły, ile jej serce uczuło cierpkość tych wyrazów.

Zwyczajny tok życia w domu pani Lubiewskiej, w następnych dniach smutnie został przerwany listem, donoszącym o słabości pani Dobińskiej, starszej siostry ojca Józefiny.

Pani Dobińska będąc od kilkunastu lat wdową bezdzietną, córkę zmarłego brata jak własne uważała dziecię; i Józefina umiejąca cenić to silne przywiązanie dobrej ciotki, najszczerzej ją kochała: dla tego też odebrana smutna wiadomość, sta-

ła się przyczyną najgwałtowniejszego żalu młodéj dziewicy.

—Jeżeli sobie życzysz chorą ciotkę odwiedzić, chętnie na to zezwolę

—Ach wdzięczna jestem drogiéj mamie za ten nowy dowód łaski, lecz do cioci ztąd mil trzydzieści, o Boże! tak daleko!.... a ona tyle jest słabą i cierpiącą!

— Możesz więc dzisiaj jeszcze jechać, i to zaraz skoro tego pragniesz: odwiezie ciebie Nitkowska, ponieważ ja na teraz z domu wydalić się nie mogę.

W dwie godzin potém pojazd szybko unosił Józefinę z miejsc rodzinnych, lica jéj były zbledzone, a oczy od wylanych łez zabrzękłe: bo prócz żalu nad chorobą ciotki, okropne jakieś przeczucie serce biednéj dziewczyny tłoczyło. Nadto, obojętność matki, nader oziębłe pożegnanie i niemal oczywista radość że ją z domu wysyła, zbyt boleśnie jéj duszę zraniły. Było to po raz pierwszy iż tak wyraźnie dostrzegła, że nie jest od matki kochaną.

Na lewo od gościńca, z pomiędzy wieńca drzew zielonych, zdawał się do niéj uśmiechać dworek świeżo pobielony—mieszkanie Wacława. Łzawém okiem ku niemu spojrzała, znów się serce ścisnęło, westchnienie pożegnawcze z ust jéj uleciało, jak gdyby na zawsze rozbrat z nadzieją zrobiła.

Czwartego dnia z rana stanęła Józefina w Żytniewie, i z niewymówną pociechą uściskała uradowaną z jéj przybycia i zdrowszą już o wiele ciotkę.

—Moje dziecię, czy sama tylko przyjechałaś?

—Mama wielce jest zatrudnioną.... odrzekła Józefina wstrzymując łzy, które jéj się do oczu cisnęły.

Obecność miłéj bratanki i tkliwa piecza, stały się dla słabéj najlepszém lekarstwem, bo niezadługo potem zupełne odzyskała zdrowie. Ale natomiast Józefina z dniem każdym więcéj niknęła, a lubo przymuszała się być wesołą, to przecież kochające serce ciotki łatwo troskę w duszy ulubionéj istoty dostrzegło. W sposób mogący najwyższe wzbudzić zaufanie, zapytała się o powód smutku.

Z rzewnym płaczem rzuciła się bratanka na łono dobréj ciotki, i z zupełną otwartością młodego umysłu odsłoniła jéj swoje zmartwienie i całą tajemnicę serca. Któż wyrazi jéj szczęście, gdy znalazła pocieszenie, nadzieję i obietnicę że kochana ciocia wstawi się za nią do matki.

Błogi spokój wstąpił od téj chwili do duszy Józefiny; piętno wewnętrznego bolu znikło z jéj oblicza, dawny rumieniec powrócił, a uśmiech luby osiadł na ładnie skrojonych usteczkach. Józefina wiedziała iż ciotka jedyną jest osobą, która działaniom matki inny może dać kierunek; znała do-

brze jak wielkim był jej wpływ—nie miałaż się więc cieszyć obrazem najmilszej przyszłości?

Pani Lubiewska nawykła od pierwszych chwil swego zamęzcia ulegać pani Dobińskiej, bo najgodniejsze postępowanie znacznie starszej siostry, jej cnota i rozsądek nakazywały dla niej szacunek; a lubo pani Lubiewska nie czuła żadnego do niej przywiązania, to przecież oddawała słuszność wielkim jej przymiotóm — częstokroć nawet widok pani Dobińskiej rodził w niej uczucie obawy, jak tego zwykle doznają niesforne dzieci. gdy nauczyciela swojego spostrzegą. Może też pewna nadzieja osiągnienia majątku po już nie młodej i ciągle słabej, wskazała samoistce by się do żądań pani Dobińskiej stosować i jej niechęci na siebie nie ściągnąć. Zresztą obiedwie panie rzadko się z sobą widywały: oddalenie miejsca służyło za wymówkę, zwłaszcza ze strony pani Lubiewskiej, która od śmierci męża we wszystkich listach, na natłok zatrudnień skarzyć się miała sposobność.

W pierwszych tygodniach pobytu swego przy ciotce, cieszyła się Józefina nadzieją iż Wacław trawiony tęschnotą pośpieszy swoję ulubioną oglądać — też samę myśl miała i pani Dobińska; ale gdy dzień po dniu upływał a jego widać nie było, przypuszczały znowu, iż pani Lubiewska zataiła przed nim miejsce pobytu swej córki: bo prze-

cież o stałości uczuć jego i na chwilę Józefina wątpić nie mogła.

Pojedziemy do Dębna skoro tylko do zupełnych sił przyjdę—mawiała ciotka— wyjednamy zezwolenie mamy, a Wacława połajemy za jego milczenie.

W dniu Ś. Heleny jako w dniu imienin pani podkomorzyny, której wiek sędziwy a więcej znamienite cnoty najszczersze dla niej uwielbienie jednały, zgromadziło się wielu sąsiednich a i z dalekich okolic przybyłych obywateli, dla złożenia swych życzeń tej czcigodnej matronie.

Pogodny czas wiosny wywabił część gości do obszernego ogrodu. W jednym ustronnym chodniku, pomiędzy rozłożystemi lipami, przechadzała się pani około trzydzieści lat licząca, z wyrazem szczególniejszej łagodności w miłej lubo niepięknej twarzy, i młodzieniec, którego rysy nader z nią bliskie oznaczały pokrewieństwo.

—O jakżeż mi miło, iż po rocznej niebytności zwiedzam dzisiaj te lube miejsca, gdziem tyle szczęśliwych chwilek wieku dziecinnego spędziła, gdzie każde niemal drzewo lub krzewina staje się dla mnie dni ubiegłych pamiątką. Szczęśliwi mię także niewymównie dobre zdrowie podkomorzyny: ona to bowiem dawała nam tyle dowodów niezwy-

kłej przychylności, i była najrzetelniejszą przyjaciółką naszej dobrej matki.... Nie uwierzysz ilem uczuła przykrości w odkładaniu od czasu do czasu przyjazdu mego w te strony: lecz słabość drogiego męża, choroba dzieci, ciągle mnie w domu zatrzymywały.... I ciebie Henryku tak mało przez rok cały widziałam, dodała jakoby z wymówką, rzucając tkliwe spojrzenie na brata.

Zachmurzyło się czoło młodzieńca, i po chwilowem milczeniu smutnie odpowiedział.

—O prawda, żeśmy się mało przez ten rok widzieli!.... Moje wszystkie myśli i działania do jednego tylko dążyły celu—goniąc za zwodniczą marą szczęścia, szczęścia! którego nigdy nie osięgnę; przyznaję iż i obowiązków względem ciebie zaniedbywałem....

—Henryku! przerwała żałośnie Wanda, dawno, o dawno odgadło troskliwe serce siostry niepokój duszy twojej, ale być natrętną badaniem przyczyn nierozumiałam za właściwe.... Odsłoń mi więc dzisiaj te cierpienia, które życie twoje zatruły, a dzieląc je zemną mniej gorżkim może będzie dla ciebie ich ciężar.

—Przypomnisz sobie, odrzekł Henryk z wzruszeniem, kiedy jeszcze swawolnym będąc chłopczykiem, najwięcej z maleńką Józefiną bawić lubiłem?.... Dla niej wszystkie chowałem cukierki i najlepsze owoce; dla niej przeznaczałem różno-

barwne motylki i kwiaty, a jeżeli miłym uśmiechem lub pieszczonym wyrazem drobne moje podarki łaskawie przyjęła, o jakąż to dla mnie było roskoszą! jak wielką nagrodą!.... Później, gdym w dom rodziców na święta przyjeżdżał, często towarzyszkę lat dziecinnych widywałem — i do radości jaką się poiłem zbliżając się do strzechy rodzinnej, mieszała się i ta że ujrzę moję małą przyjaciołkę, której obraz niewinny wszędzie mi towarzyszył. Cóż dopiero gdym po trzechletniej niebytności do domu powrócił, i Józefinę pełną wdzięków i urokiem dziewiczym owianą po pierwszy raz ujrzał!.... jakaż siła od téj chwili owładła serce moje!.... Jakżeż była piękna! skromność, łagodność, dobroć niewymówną, wszystko z jéj niebiańskich wyczytałem rysów. Z każdym dniem nowe w niej odkrywałem przymioty, nowe widziałem wdzięki..... kochałem, kochałem ją z całym zapałem piérwszej miłości. Tysiąc razy pragnąłem do nóg się jej rzucić, lecz mnie zawsze wstrzymywała obawa, bom widział w jej oku przyjaźń, lecz nie widziałem miłości.... Następnie z woli ojca powtórnie wyjechałem do Krakowa a z tamtąd do Wiédnia. Przykro mi było opuszczać okolice w których żyła Józefina, a niepewność w jej wzajemnych uczuciach nieszczęśliwym mnie czyniła. Rok cały trwały moje podróże..... i w tym to czasie utraciliśmy dawców dni naszych — tutaj

Henryk zamilkł na chwilę, a łzy obójga uświęciły pamięć ojca i matki.

—Wiadomo ci, mówił dalej—iż długo po tém nieszczęściu nic mnie pocieszyć nie mogło. Przybyłem w dom pani Lubiewskiej... trudno jest wyrazić z jak rozrzewniającą czułością od Józefiny przyjęty zostałem, która w uniesieniu swojej przyjaźni, odnosząc się do czasów lat dziecinnych i łagodząc łzy moje, drogim mnie nazwała Henrykiem. Wyraz ten w sercu mojem głęboko zaległ; zdawało mi się iż anioł pocieszenia do mnie przemówił, słaba nadzieja stała się dla mnie z tą chwilą niemylną pewnością. Niestety! krótko trwało to lube złudzenie: dowiedziałem się iż serce swoje Wacławowi oddała.... Umie on się podobać, lecz czyliż obok swej próżności i lekkiego sposobu myślenia, stałym być potrafi? znając go dobrze drżę o szczęście Józefiny, i dla tej, którą pragnę widzieć najszczęśliwszą, nie mogę żadnej rokować pomyślności. Józefina go bardzo kocha.... mówiłem z nią o nim ażeby się przekonać czyli dla mnie już wszelka znikła nadzieja, a ona, z ufnością dziecięcą, z tą duszą anioła.... wyznała iż go kocha!.... Wando! pojmujesz moje męczarnie i rozpacz? «Bądź szczęśliwą!«—te wyrazy wydarły się z méj piersi, a ona nieprzeczuwająca boleści mojej, przyjęła to życzenie niewinnym i wdzięcznym uśmiechem. Wando! kochać i nie być kochanym jest okropnie, lecz

taić swoję miłość, to udręczenie za najwyższe uważam poświęcenie.—Jakżeż często w ustach kochanków słyszeć się daje: »w twojém szczęściu jedynie moje szczęście znajduję« — lecz iżby te wyrazy w rzeczywistość zamienić, potrzeba téj prawdziwéj miłości, jaką jest moja. Wierzaj mi droga siostro, że i od owéj chwili która mi najsłodszą wydarła nadzieję, przywiązanie moje do Józefiny w niczém się nie zmieniło; nawet widok Wacława jakkolwiek rodzi w sercu mojem o jéj szczęście obawę— nie staje się dla mnie powodem uczuć téj nienawistnej razdrości, którą się zwykle czuje względem szczęśliwszego współzalotnika. Pragnąłbym tylko miłość moję ku Józefinie w łono jego przelać; pragnąłbym wszystkie moje dobre przymioty pomieniać z nim na jego wady: byle tylko ona, ten zbiór cnót i wdzięków trwale szczęśliwą być mogła.

— Mój dobry, ukochany bracie! chlubię się z twego szlachetnego sposobu myślenia; takie uczucie jest dla ciebie zaszczytném; lecz pomniej zarazem że pogarda własnego szczęścia jest występkiem, i że właśnie ta twoja szlachetność, twoja młodość i przymioty mają prawo.... Nagłe zjawienie się Wacława tok mowy zmieniło.

—Skoro mi tylko powiedziano, iż pani z bratem swoim, drogim mi Henrykiem, w tém się znajdujesz miejscu, pośpieszam ucałować rączęta pani,

i uściskać mego przyjaciela. Lecz cóż za szał romantyczny—dodał przybyły obracając się do Henryka—oddalił cię z grona hożych dziewic, które na próżno tęschnem szukają cię okiem? to ustronie dla mnie byłoby właściwszém, bo nieprzychylna mi matka Józefiny sama przybyła, moja zaś ulubiona gdzieś tam nad Szląską granicą przy choréj bawi ciotce. Trudno jest przecież żywić smutek w pośród wesołych, śpieszmy na pokoje, muzyka wzywa do tańca.

—Kto jest pewnym wzajemnej miłości, ten tylko tak swobodnie do zabawy pośpiesza— smutnie odrzekł Henryk, i pospołu na salę wrócili.

Tańczono właśnie mazura, a jedna z pań w zręcznym zwrocie koło przebiegająca, przywiodła Lubiewską przed rozmawiającego z Henrykiem Wacława, który z pośpiechem podaną sobie rękę uchwycił.

—Patrzaj Wando, niechęć matki Józefiny zniknęła, uważaj jak mile z nim rozmawia. O jakżeż on będzie szczęśliwy!— Jutro się zobaczymy.... w tę chwilę odjeżdżam do domu

Sprzeczne uczucia rozpierały pierś biednego Henryka. Nieszczęśliwy! pragnął połączenia się Józefiny z Wacławem: bo to było jéj najgorętszém życzeniem, i zadrżał boleśnie na sam pomysł że i najoddaleńsza dla niego zniknie nadzieja.

Zbliżał się dzień, w którym pani Dobińska, pomna swoich obietnic, wraz z Józefiną do jéj matki wyjeżdżać miała: by pozwolenie na związek kochanéj bratanki z Wacławem wyjednać i przyśpieszyć, — gdy następujący list od pani Lubiewskiéj przyniesiono z poczty:

Kochana siostro!

»W kilku wyrazach tylko, dla natłoku rozlicznych zatrudnień, donoszę ci, iż postanowiłam zaślubić osobę, za którą wreszcie i serce moje przemówiło: uważam za stosowne, iżby Józefina aż do mego ślubu przy ciotce bawiła. Przywiązanie córki mojej do kochanéj siostry nie jest mi obcém, pochlebiam sobie że i ciocia łaskawą jest dla niéj, rozumiem przeto iż tą moją prosbą, żadnéj wam nie uczynię przykrości.

Późniéj obszerniéj do was napiszę.

Dębno *przywiązana siostra*
6 Lipca 1836. *i matka*

ZOFIA.«

Chociaż ciotka i Józefina od dawna na ten wypadek przygotowane były, toż jednak oschłość wyrażeń listu przykre w nich zrodziła uczucie, które, o ile się to dało, tłumiąc w sobie, wynurzaniem swoich myśli zobopólnego nie zwiększały żalu. Jak-

kolwiek Józefina od kolebki niemal cierpkiego od matki doznawała obejścia, kochała ją przecież z religijném uczuciem, i nigdy z żadną nie ozwała się skargą. Pani Dobińska milczała także, bo świętych powinności córki względem matki, w cnotliwej bratance swojej osłabiać nie pragnęła.

W tęschnocie do milczącego Wacława czwarty już upłynął miesiąc—kilka minęło tygodni od ostatniéj odezwy matki, i Józefinę przykre trapiły myśli, kiedy nadszedł list drugi.

«*Kochana siostro i córko!*

»Siódmego września był ślub mój. Wyjeżdżając do oddalonych krewnych męża na długi czasu przeciąg, rozumiem iż dobra ciocia na to zezwoli, aby Józefinka w Żytniewie do wiosny pozostała.— W razie, gdyby się córce mojéj zamęście w tamtych stronach trafiło, chętnie do takowego się przychylę i kochanej siostrze wszelką i nieograniczoną moc rozrządzenia losem Józefiny zostawiam i oddaję. Będąc nieco słabą, ograniczam się na tych kilku wyrazach. Zawsze

Dębno *przywiązana siostra*

10 września 1836. *i matka*

Zofia.«

—Twoja mama zapewne niezwyczajne ma zatrudnienia, skoro nam zapomniała donieść jak się teraz nazywa.

—O niezawodnie! odrzekła Józefina zmienionym głosem.

—Musimy się jej same o to zapytać, a zarazem dowiémy się i o przyczynie ciągłego milczenia Wacława. Józefiniu! ty tęschnisz nieboraczko.... jutro ztąd wyjedziemy do Dębna, ale uzyskawszy zezwolenie mamy znowu rychle powrócimy do Żytniewa: gdyż ty przy mnie zostaniesz dopóki ciebie twój Wacław z mego nie uwiezie domu.... Zgadzasz się na to moje dziecię?

—Jeżeli tylko Wacław nie zmienił serca swojego.... odrzekła drżąc cała, i na łonie dobrej ciotki ukryła zapłonioną twarzyczkę.

Tydzień cały po tej rozmowie ubieżał, gdy podróżujące oświetlony promieńmi zachodzącego słońca kościołek w Dębnie ujrzały.— Gwałtownie biło serce Józefiny gdy się do domu matki zbliżała, jakaś niepojęta trwoga zaległa w jej duszy: zdawało jej się iż pojazd za szybko do zamierzonego dąży celu.

—Któż jest ten jeździec na grobli? mówiła pani Dobińska wychylając się z powozu.

—Ach to Wacław! zawołała Józefina, a serce ciotki zadrżało.

Stanęła kareta przed odświeżonym dworem, wy-

biegł służący w nowej liberyi i wskazał pokój, gdzie pani domu poprzednio przybyłych gości bawiła. Weszły; matka Józefiny pomieszania swojego ukryć nie umiała, i zaledwo słów kilka bez związku i myśli, na powitanie ich wymówić była zdolną.

Ponure nastąpiło milczenie. Z sąsiedstwa w odwiedzinach będące panie, uważając cierpkie nader położenie rzeczy, porozumiały wzajemne życzenia, by się jak najprędzéj oddalić. Pani Lubiewska z najwyższą niespokojnością tajne służącym wydawała rozkazy, i jakoby bez wiedzy czynu patrzyła się troskliwie na nieruchomą postać swéj córki. Józefina czuła, że się zbliża chwila wielkiego nieszczęścia.— W tém drzwi otworzyły się nagle, ukazał się Wacław i na widok Józefiny stanął jak wryty.

Kiedy w dniu skwarnym lipca, gdzie stłoczone powietrze zapowiada noc burzy i grzmotów, a maleńki tylko obłoczek po pogodnym przesuwa się błękicie, i żaden wiatru powiew najdrobniejszego nie poruszy listka, nieruchomego zwierciadła wód powierzchni nie dotknie; kiedy w taką chwilę, grom niespodzianie z najstraszliwszym łoskotem uderzy i głuche powietrze z odrętwienia przebudzi: spłoszony z rozdartego piorunem drzewa ptaszek nie tak gwałtownego doznaje przerażenia, jakiemu uległa niewinna, młoda, niemal i z imie-

nia nie znająca zbrodni Józefina, na wyrazy matki: — »to jest mój mąż« — trwożliwy ptaszek ogłuchnie, i w jego cieniuchnych żyłkach czysta krew na chwilkę lodem się zetnie, lecz na lekkich skrzydłach uleci swobodnie w daleki gaik, i znów pienia swoje ogłasza. Ale inną jest własność niewinnej dziewicy, kiedy piorun nieszczęścia w jej młode życie uderzy, kiedy moc czarta wydrze jej na raz wszystkie nadzieje, urok i słodycz najmilszych marzeń — najpiękniejszych przyszłości obrazów.

Józefina w jedno miejsce kołem oczy utkwiła, niema, nieruchoma, jak posąg marmuru żadném poruszeniem nie zdradziła życia.

Jej dobra, sercem najtkliwszej czułości, sercem najżywszego przywiązania kochająca ciotka — rzucając wzrok zarzutów i wzgardy na podłego wiarołomcę, i prawa przyrodzenia gwałcącą matkę, uprowadziła Józefinę do odległych pokoi.

Tutaj nieszczęśliwa padła bez duszy na ręce siostry ojca swojego, godzina minęła zanim omglała powróciła do życia, lecz stan obłąkania jaki potem nastąpił, o większą jeszcze rospacz przyprawił panią Dobińską.

— »Moja ciociu.... moja dobra ciociu! nie budź mnie, ach nie budź!.... mnie tak dobrze było — wołała Józefina — tam na grobli.... serce mnie tak bardzo zabolało.... i dotąd boli i boli... tu, tu ciociu

(spozierając po ścianach) tak, na tem miejscu.... mój drogi ojeiec ostatnie mi dał błogosławieństwo.... z tego miejsca cnotliwa dusza wzleciała do nieba.... ach! pamiętam jego ostatnie uściśnienie.... potem.... zostałam sierotą!.... Mamo!.... nie, nie mamo.... ona nie jest moją matką.... okropnie... okropnie!.... nie, nie... Wacław! któż jest Wacław?.... O mój ojcze, mój ojcze!... ty dla mnie byłeś zawsze dobrym.... tyle mnie zawsze kochałeś.... To jest sen!... sen tylko.... ale okropny!.... zawrzasła zrywając się nagle — ojcze! wszakżeż to tylko senne marzenia..... przebudź mnie, niechaj dłużej tak nie śnię.... Ach!... ale nie!...— wyrzekła rozdzierającym głosem—nie, nie, to nie sen!... ja wszystko dobrze pamiętam.... On wszedł.... i wyrzekła: to jest mój mąż — O zabójcze wyrazy.... ale pamiętam mnie się mroźno na sercu zrobiło.... a z głowy płomienie wybuchły.... i zmysły mi się mieszały.... o wszystko pamiętam.... wszystko!... Mówił.... »dozgonnie kochać cię będę«.... a jam mu wierzyła!... Precz, precz ja nie zniosę tego obrazu.... uciekajmy daleko.... daleko.... daleko.... do ojca.... — i znowu padła bez czucia.

Nie podobna określić co się działo w duszy nieszczęśliwej ciotki. Pani Lubiewska nie odwiedziła chorej córki, wymawiając się własną słabością: lękała się wyrzutów siostry ojca Józefiny, lecz czyli się uchroniła i przed wyrzutami sumienia?....

Nazajutrz, ledwo że brzask jutrzenki zawidnił, gdy słabą Józefinę do karety wniesiono. Służba ze łzami ją żegnała, i nie jeden groźno spójrzał ku oknom sypialnej komnaty.

Wacław o tyle był kochał Józefinę, o ile serce jego kochać zdołało, i kiedy ją o dozgonnej zapewniał miłości, sam był przekonanym, iż uczuć swoich nigdy nie zmieni; do pani Lubiewskiej zaś, istotnie żywą czuł wówczas urazę, że się jego zamiarom sprzeciwiała. Bardzo się przeto ucieszył, gdy w dniu imienin podkomorzyny, nadzwyczaj uprzejmie z nim rozmawiać poczęła, i pewny że tyle dawniej odznaczającą się nieprzychylność w życzliwsze zamieniła chęci, z uniesieniem zapytał: czyli się wreszcie do jego szczęścia przychylić raczy?

Z uśmiechem odrzekła mu Józefiny matka:

—Panie Wacławie, od dawna nie jesteś sercu mojemu obcym, i jeżeli się o twojej przekonam miłości, nie odmówię ci ręki mojej.

Niedowierzał Wacław własnym uszom, osłupiał, oniemiał: taż to kobiéta co mu tyle w swoim domu okazywała niegrzeczności, taż to kobiéta miłość dla niego żywiła?... I ona była piękną, majętną, nawet *bardzo majętną...* ale była matką

Józefiny!... kochanki jego, której tyle razy wieczną zaprzysiągł miłość. Zdawało mu się, iż się na około niego świat cały obraca; wir i odmęt najsprzeczniejszych uczuć przebiegł przez serce i umysł. Żądał pomocy i rady od jednego z najpoufniejszych sobie przyjaciół.

Przyjaciel ten, na nieszczęście, człowiek bez czucia i szlachetności, odpowiedział mu gminnem przysłowiem: »u wdowy, chleb gotowy« przedstawił mu następnie: że pani Lubiewska z każdą młodą pięknością o pierwszeństwo walczyć może; że jéj majątek jest bardzo znacznym; że jemu wedle przyjętego zwyczaju. jako kawalerowi, piękny zapis uczyni; że Józefina z swoją wątłą urodą za kilka lat mniej będzie powabną aniżeli matka, która ją dzisiaj wdziękami przewyższa; że posag Józefiny zaledwo na 100,000 cenić można, ponieważ matka, jeżeli nie z nim—Wacławem—to się z kim innym nie zadługo połączy, i przytoczył jeszcze wiele do podłości zachęcających uwag.

Wacław słuchał w milczeniu tych rad przyjacielskich, bo mu trafiły do przekonania, bo nie kochał prawdziwie, czyli raczéj nie był zdolen kochać. To, co by każdego innego chociażby tylko z iskrą uczuć szlachetnych, od pani Lubiewskiéj zraziło, to właśnie podłe serce Wacława za zaletę dla niéj poczytało. Bezczelne narzucenie się nazwał szczytną, od przesądów wolną, namiętną

miłością; jej dawna niechęć, okazywana przeciw kochankowi Józefiny, o jakżeż uniewinnioną została!... A Józefina?... Tak jeszcze młoda, o jej przyszłość nie należy się troszczyć.

Nazajutrz, na wezwanie pani Lubiewskiej, pojechał Wacław do Dębna, a wkrótce potem nastąpiły układy, które szczęście Józefiny na zawsze pogrzebły.

Gdy się wieść o tem w okolicy rozeszła, kilku rozsądnych i poważanych powszechnie obywateli, czyniło cierpkie Wacławowi wyrzuty, pomiędzy niemi i Henryk. Gorycz jego mowy wstrzęsła sumienie wiarołomcy; już przekonany wyrazami cnotliwego, o niegodziwości swego postępowania, przyrzekł zrzec się tak ochydnych zamiarów, gdy go ów niecny przyjaciel odwiedził. A że łatwo w to wierzymy z czemby nam dogodnie było, dał się przeto słabego i nikczemnego umysłu Wacław, powtórnem rozumowaniem przyjaciela przekonać: że to, co powiedział Henryk, jest tylko urojeniem romansowém; że co pięć kroć to nie sto tysięcy; że Józefinie nie trudno będzie o męża, a nakoniec spotwarzył jeszcze najgodniejszego z ludzi, szlachetnego Henryka, złośliwą uwagą: iż może Henryk sam miał zamiar starania się o rękę pani Lubiewskiej. Wacław rozśmiał się głośno z tyle dowcipnego pomysłu, potarł ręką po czole, a po obiedzie był w Dębnie, celem oznaczenia dnia ślubu.

Po wszystkich chatkach zagasły już ognie; w mieszkaniu plebana zegar piérwszą z północy uderzył, a na smętarzu klęczał obok wznoszącego się grobowca z białego marmuru, młodzieniec czarnym okryty płaszczem. Wiatr grudniowy suchemi gałęziami lipy szeleściał i głuszył jęk boleści, któren się z piersi klęczącego wydobył, ręce jego objęły grób cały, głowa ciężko od ziemi ku niebu się uniosła, a księżyc przedzierający się z po za gęstej chmury, oświetlił blade rysy Henryka i wyryty na kamieniu napis:

Tu
spoczywają zwłoki
JÓZEFINY LUBIEWSKIEJ
urodzonéj 15 Maja 1819 r. zmarłéj 27 listopada 1836 r.

* * *

Zachmurzony widnokrąg, poświst wiatru i śnieg toczący się zamiecią, nie miłym poranek czyniły, gdy w pobliżu szląskiego miasta Oleśnicy, w lesie, kilka podróżnych zatrzymało się pojazdów.

Odgłos dwóch wystrzałów w głuchém zniknął powietrzu.—Wacław śmiertelnie ugodzony, gwiazda nieszczęścia Henryka, powiodła go w obce kraje, dalekie od ojczystego sioła.

Paulina z L. W...

OBRAZ WŁOCH.

Piękne są, piękne, Italii krainy,
Z Alpami walczą o pierwszeństwo góry,
Z Grecyą o krasę spór wiodą doliny,
Dnia ludzkim oczóm nie zazdroszczą chmury,
Lecz ledwo słońca ranny promień strzeli,
Złotem się palą Appeninu głowy,
Srebrnym się blaskiem, Adryjatyn bieli,
W szmaragd się stroją tyberskie ostrowy!

Miłe są, miłe, za Florencyą pola,
Gdy swe nad niemi czarne wzniosłszy płaszcze
Gwiazdom z pod płaszczów wyglądać pozwoli,
Gdy w więzach drzemią synowie Eola,
A tylko w listki dorodnej topoli
Młodziuchny zefir miłośnie zagłaszcze,
I milknie słowik, by słuchać co śpiewa
Wietrzny kochanek pieszczonego drzewa!

Kształtne są, kształtne, Wenecyi gondole,
Kształtniejsze dziewic płynących tam lica,
Ponęta mieszka na każdej z nich czole;
Lecz chłopcze! straszna gondoli dziewica,

U niej spojrzenie miłość i śmierć wróży,
W jej ręku znajdziesz sztylet z kwiatem róży.
Bież jednak, jeśli twojemu pojęciu
I śmierć rozkoszą, w rozkoszy objęciu!

Rozkosz, ach rozkosz i nad brzegiem Lido,
Mieszka w widoku cytrynowej niwy,
Oddycha w tchnieniu rannego zefiru,
Lśni z pod niebieskich namiotów szafiru!
Rozkosz i widzieć, gdy młodzian szczęśliwy
A przy nim z okiem błękitnem kochanka,
Pierwej, nim zdradzi ich obrzask poranka,
Tu sobie wzajem miłość wyznać idą.

Bujne są, bujne Sycylii zagony,
Gdy ludzkiej potem niezlewając dłoni,
Na grzbietach parą poganianych koni
Bogate światu rozsyłają plony!

Pyszny jest, pyszny, Wezuwijusz krwawy,
Gdy rozdąsany ogniem w niebo ciska,
Jego płomieniem Ischija połyska,
I drży Neapoł przed potokiem lawy!

Cuda są, cuda, na południa brzegu,
Tam słońce swego gdy dopełnia biegu
Swiat uznać musi dzieło światów Pana,
Skoro zaświeci Fata-morgona!
Dziwy tam, dziwy i ziemia ma w sobie,
Już z martwych wstały, Stabija, Pompeja, (a)
I Herkulanum chociaż w siódmym grobie, (b)
Jeszcze być miastem ożywia nadzieja!

(a) Stabija miasto współcześnie z Pompeją zasypane, po małej próbie odkopywania onego zaniechano,

(b) Hamilton naturalista uważał, że nad Herkulanum znajduje się siedm odmiennych pokładów wulkanicznéj lawy.

Lekkie są, lekkie, włoskich dzieci stopy,
Gdy raźną młodzież, ludnéj Partenoppy (c)
W pogodne święto di piedigrotta (d)
Szalona tańca uniesie ochota!

Strojne są, strojne, włoskiej arfy strony,
Gdy je swą dłonią, poruszy Rossini,
Strojniejsze jeszcze, włoskiej piersi strony
Gdy je ku sercom kierował Bellini!
Bo któż melodyi potęgi nie czuje,
Gdy Desdemonę kochanek morduje?
Na grobie Julii Romeo umiera,
Płonie stos Normy, śpiewa Straniera?

I silne, silne, włoskich skrzypiec dźwięki,
Gdy je natchniony ujmie Paganini,
Tam słychać radość, i rozpaczy jęki.
I chór cherubów, i wichry pustyni!

Wielkość, ach wielkość, mieszka w starym Rzymie,
Bo choć bohater, na laurach już drzémie
Niech wieków krocie, po krociech ulata,
Rzym długo będzie Panteonem świata;

Bo nikt nie zaćmił Michała—Anioła,
I nikt nie władnął, pędzlem Rafaela,
Nie więdną bluszcze Marońskiego czoła,
I nikt Torquata sławy nie podziela!

I wielkie, wielkie Rzym wspomnienia budzi,
Bo któż Brutusom, w cnocie zrównał z ludzi?

(c) Neapol u dawnych nazywany był Partenoppą.

(d) Piedigrotta święto narodowe, 8 Września przypadające, w Neapolu przez pospólstwo z wielką obchodzone uroczystością.

Na czyjem wawrzyn Cezara jest czole?
Któryż kraj zrodził drugiego Scewolę?

Widzisz więc, widzisz, jakie tam są dziwy!
Ile wielkości! krasy! wspomnień ile!
Ile poezyi!.... jak tam w jedną chwilę,
Więcej żyć można, niż tu w długie lata,
Tam w wianek życia, sam los kwiaty wplata,
Tam ziemia szczęścia, tam jest raj prawdziwy!

Rzućmy więc, rzućmy, północy pustynie,
Tu skrzepły rzeki, żaden zdrój nie płynie,
Patrz! tu krwi naszej mróz krążyć przeszkadza,
Ciężar powietrza oddychać zawadza,
Szron oczóm naszym przykrym blaskiem świeci,
Niebo zasłania wir śnieżnej zamieci.

A idźmy, idźmy, na Italii błonie,
Tam ciebie luba, na ręku zaniosę,
Rano z twych nóżek chłodną otrę rosę,
W wieczór westchnieniem, rozgrzeję ci dłonie,
W dzień skwarny swojem ciałem cień utworzę
Piersią zasłonię — w niebezpieczeństw porze!

Lecz idźmy razem!—bo jeśli twej duszy
Krainy czarów—obraz ten nie wzruszy,
Jeśli ci Litwa, ma powabu tyle
Że ją opuścić, braknie ci na sile,
Tęskniąc ku Włochom, rychlej spocznę w grobie,
Ale nie pójdę—zostanę przy Tobie.

Oskar Milewski.

DO B.

Czy przypominasz ty jeszcze te chwile
Które nas szczęściem obdarzały obu,
W których na przysiąg zaklęłaś się tyle,
Że nie opuścisz już mnie aż do grobu.

Tą drogą cośmy obrali sami,
Idę ja nocą otoczon ciemną,
Idę i zlewam drogę mą łzami,
Lecz ty już piękna nie idziesz ze mną.

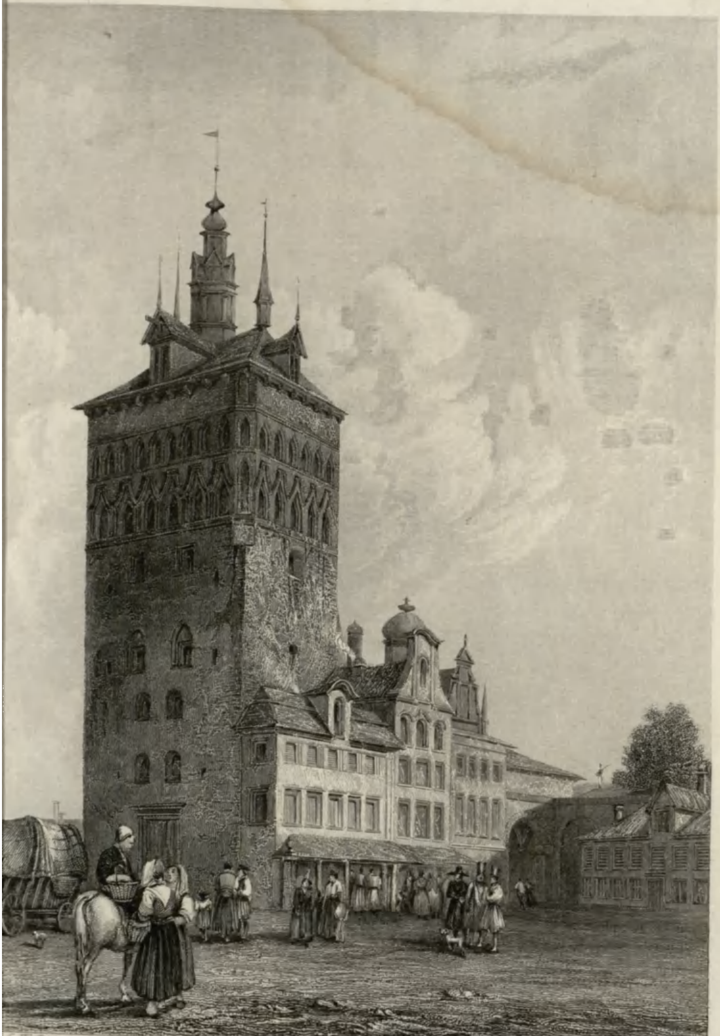
Już ja do miejsc tych strasznych dochodzę,
Gdzie rozpacz państwo swoje zaczyna,
Idę i czekam ciebie po drodze,
Mów, czyli przyjdziesz moja jedyna?

Ach oto jesteś otoczona wdzięki,
Przyszłaś i z oczu zniknęłaś mi razem,
Gdybym nie uczuł ściśnienie twej ręki,
Snn rozumiałbym łudzę się obrazem.

Te smutne miejsca czegoś przyszła zwiedzić,
Jak Anioł który niesie pocieszenie,
Czy jak duch czarny który chce wyśledzić,
Duszy nieszczęsnej ostatnie schronienie?

Ach powiedz piękna wzrok jakimś spojrzała,
Jest światłem słońca co ma burzę śmierzyć?
Czyli tym błyskiem jakim niebo pała,
Gdy najmocniejszy ma piorun uderzyć?

Ant... Go....



G. Vickers. E. J. Roberts.

Wieża więzienna w Gdańsku

DUMKA PRZY KOMINKU.

Coraz wcześniej mrok zapada,
Cień za cieniem smutek wlecze;
Kraczą wron złowrogie stada,
Stary czas leniwo ciecze:
To i w myśli niewesoło
Zima w koło, zima w koło.

Po kobiercach strojnych lata
Gorejących w zórz rubinach,
Wicher śniegi dziś zamiata
Po pagórkach, po równinach.
Wietrzno, mroźno, śnieżno w koło
To i w myśli niewesoło.

Myśl, jak struna melodyjna
Wystrojona do żałoby,
Z przyrodzeniem harmonijna,
Gdzieś ulata między groby,

Między pleśnie i ruiny,
Do zagasłych gwiazd drużyny.

Co człek kochał, czém się łudził,
Na co trwonił czucia skarby,
Wszystko chyży czas ostudził,
Blask wiośnianej zgasił farby;
Gorejącej wiary niema,
W sercu zima, w duszy zima.

Wszystka górnych baśni sława
Co tak młodość nam czaruje,
Jak grobowa mara stawa;
Strachem, żalem obejmuje:
Nie zachwyca świat ponętny,
Człek jest zimny, obojętny.

Lecz z białego śniegów łona,
Przecież liść zielony strzeli;
Błyśnie wiosna odmłodniona
I przyrodę rozweseli.
Znowu będą pieśni, wonie,
Bujne kwiaty, jasne tonie.

To i smutna myśl człowieka,
Chociaż serce ciężko boli,
Przecież zbytnie nie wyrzeka:
Znów się wzbija w lot sokoli:
Czystszą, wyższą miłość budzi,
Dla spółbraci, dla spółludzi:

Gnuśnik tylko niedołężny
Rzuca walki plac sromotnie;

Z raju czucia zbieg niemężny
Pada sercem niepowrotnie,
Jak zeschłego gałąź drzewa,
Co się kwiatu nie spodziewa.

Mędrzec, choć go wiek ostudzi,
Choć mu zima włos przypruszy,
Nie zapomni widząc ludzi
Ni o sercu, ni o duszy:
A gdzie miłość, serca bicie,
Tam jest wiosna, tam jest życie.

Więc niech śniegi kłębią w koło,
My usiadłszy przy kominie,
Wypogodźmy smętne czoło,
I w kochanej nam drużynie
Serca życiem napawajmy,
Myślmy, czujmy i kochajmy! —

Wiktoryn Zieliński

KOZAK UKRAINIEC.

Szmatka chmury miękka, blada,
Atłasowa popielata
Po zielonym stepie lata
Drzy — majaczy i przepada.
Na mogile dziewcze stoi,
Białe rączki w niebo wznosi,
Tęskne serce żalem poi,
Kraśne lica łzami rosi.
Czasem usta koralowe
Z żarem ciśnie do szkaplerza,
Lecz step pusty — schyla głowę,
I szkaplerzom niedowierza.
Nagle oko szczęściem płonie,
Radość w piersiach oddech tłumi,
To kozacze pędzą konie
A za niemi wicher szumi.

Przodem bieży konik wrony,
Kopytami żwir zamiata,
Na nim kozak pochylony,
Błyskawicą step przelata.
Coraz chyżej — coraz chyżej,
Śród tumanu szabla błyska,
Coraz bliżej — coraz bliżej,
I już kozak lubą ściska.
Tyżeś drogi Ostapie! zawoła dziewica,
Dumałam z żalu że wypłaczę oczy,
Serce ołowiem gniecie tęsknica,
Duszę ponury smutek wciąż mroczy;
Darmo mię matka pocieszyć zdoła,
Paciorki daje, pieści, hołubi,
Prawi że walczysz z hordy Mogoła,
A walcząc dusza z ciałem się gubi.
Ja w nic nie wierzę — bo stara cyganka
Mówiła wzrokiem wodząc po méj dłoni:
Że będę szczęsną, że ujrzę kochanka,
Że Anioł Strażnik od trosk mię uchroni.
To mówiąc głowę na piersi mu skłania,
Zda się że usty śledzi serca bicie,
Jako twarz słońca w jesiennym zachodzie,
Ziemi zasyła promień pożegnania
A sama tonie w morza błękicie.
—« Dość już Kilimo! jam śpieszył co siły,
Czasu nie trawił na kowieńskim miodzie,
Z pereł nie zdzierał Tureckie zawoje,
Bo nad miód Kowna, słodsze usta twoje
Bo nad djamenty świeci ócz twych dwoje.
Lecz dość już bitew, wszakże od małego
Step jak szeroki przebiegam do koła,

To ścigam hordę pierzchliwą Batego,
To szablę szczerbię na karkach Mogoła.
Teraz pop ręce niech wiąże nam stulą,
Zaszczytów nie chcę, niepragnę sławy,
Wszakże mnie chciano obrać Assawułą,
Wzgardziłem wybór braci tak łaskawy,
Dalej Kilimo! czas nam do słobody,
Miło żyć będzie z dziewczęciem tak hożem,
Bracia mołodcy! proszę was na gody!
Jutro się żenię — rozbrat z Zaporożem.

Edmund Chojecki.

ZWYCZAJE I OBRZĄDKI LUDU

W OKOLICACH WIELUNIA.

Żyźne okolice Wielunia, zamieszkuje lud z wielu względów godny literackiego badania. W wioskach starodawnych i ludnych, wieśniacy rządni i zamożni trwając stale w obyczajach przodków, przechowali w swoim charakterze wiele starożytności. Pełno tutaj pieśni, obrządków i powiastek właściwych tej tylko okolicy; interessowniejsze z nich opiszemi pokrótce.

Wesela i Ubiory Swiąteczne.

Wesela w tej stronie mają wiele charakterystyczności oddzielnej. Każda wioska stanowi jedną fami-

lię; zwyczaj tu bowiem trwa oddawna, że nie wydają nigdy za obcych swych córek, ani też łączą z obcémi synów.

Gdy gospodarz postrzeże w swoim synu skłonność do żenienia się, naradza się najprzód ze sąsiadem, czyby go jeszcze przetrzymać, czy mu obmyślić towarzyszkę? Jeśli syn najstarszy biorący zazwyczaj rolą po ojcu ma być żeniony, nie szukają jemu żony bogatej ale urodnej, zdrowej i pracowitej. Jeśli zaś młodszy, który nic po ojcu prócz przyodziewku nie weźmie, takiemu szuka się jedynaczki, coby miała i rolą i chudobę niezgorszą.

Gdy sobie coś podobnego uprojektują, wtedy w niedzielę w karczmie, ojciec chcący ożenić syna, z ojcem upodobanej dziewczyny, świadomym już rzeczy z biegającej wieści po siole, siadają za stół, i zaczynają ciągnąć po kwaterce. Niedługo przyłączają się małżonki i pokrewni, a widząc przy coraz żywszej rozmowie na co się to wszystko zanosi, każda strona chwalić zaczyna swoje dziecko. Przy tej okoliczności nadmienia się coś o posagu, a potém wprost oświadcza, iż czas dziecko odprawić do ludzi.

Wtedy ojcowie już się zrozumieli. Ojciec pretendenta prosi do swej chałupy rodziców oblubienicy i sąsiadów kilkoro. Gospodyni przyrządza na wieczerzę kluski cienkie łokciowe z olejem, kapustę

z grochem i kołacze (placki białe z makiem i miodem.)

Gospodarz domu idzie po wódkę do dworu, bo dla gości w karczmie nie kupuje się nigdy, goście tymczasem gdy zatrudnieni gospodarze, kopcą tytuń z kusych szląskich fajeczek, radząc to o panu, to o włodarzu, to o pańszczyznie.

Nadchodzi wreszcie z gorzałką gospodarz, zaczynają pić po trzech kupkami jedną szklaneczką. Później wieczerzają i znowu piją, ale do upadłego, i dopiéro mocno rozmarzeni trunkiem oświadczają sobie otwarcie: «Kmotrze, pożeńma swoje dzieci z sobą." — «dobrze," odpowiada drugi ugodziwszy z całej siły dłonią w podaną dłoń kuma; gdy tymczasem pijane kmotry z wylaném sercem ściskają się w objęciach. Potém znowu piją póki gorzałki stanie, przez całą noc oświécaną łuczywem, lub w bardzo zamożnym domu świeczką obsadzoną w kartoflu albo brukwi zastępującej miejsce lichtarza.

Bywa to zazwyczaj w jesieni, w zapusty a rzadko bardzo po Wielkiejnocy. Tę biesiadę pierwszą rodziców żeniącej się pary, nazywają gościną. Kiedy na drugi dzień kuma kumie oświadczy, że Klichy byli u Bieniasów ze swoimi w gościnie, wie już cała wioska na trzeci dzień,—jako Bieniasiak ma się pobrać z Klichówną.

I każdy wtedy myśli i radzi jakie będzie wesele, pieczone, czy gotowane? co stosownie do zamo-

żności rozmaicie się zdarza. Ma się rozumieć że w owej gościnie oblubieńcy nie znajdują się wcale. Oblubieniec w karczmie tańcuje w lewo i w prawo; oblubienica zaś jeśli troskliwie chowana przez rodziców, siedzi w domu pilnując młodszych dzieci; jeśli zaś pieszczocha, to pewno także w karczmie na odsibkę z parobkami wywija.

W następną sobotę wybierają swatów, którzy do rodziców panny mają zaprowadzić pana młodego, i smawiać.

Wybiéra się zwykle na to poselstwo krewny oblubienicy, stryj, krzesny albo pociotek. Przewiązuje on się białym rańtuchem przez ramię, i ze szwachną czyli starościną, pan starosta albo drużba (nazywany rozmaicie podług liczby szwatów odbytych) idą z koszykiem, w którym znajduje się butelka wódki, kartoflany placek, kilka jaj gotowanych i sér. Za nimi pan młody postępuje, wszyscy w świątecznych sukniach; dzieje się to na zmroku. U rodziców dziewczyny uwiadomionych o tém wprzódy czeka kilku sąsiadów i sąsiadek.

Starostowie wchodzą do izby, pan młody zostaje w sieni za drzwiami. — «Niech bedzie pochwalony!" starostowie wchodząc.

— «Na wieki wieków!" odpowiadają obecni w izbie.

— «Witamy gości w doma," rzekną gospodarze.

— «Bóg zapłać przyjaciele!" mówią starostowie. i zaraz perorę rozpoczyna starosta: «Podobno tu macie dziewce na wydaniu, pobożne, młode, urodliwe; chłopiec gładki, bogaty, bardzo się ku niej zapołił... przyślišma złemu zabiegnąć."

Tu dziewucha ucieka do sieni, ale zastępuje jej oblubieniec drogę: ona się cofa krzyknąwszy z całego gardła, i kryje się w komorze lub na przypiecku, stosownie do okoliczności. Jestto powszechna i zawsze jedna forma. Starosta goniąc woła: « stój dziewce! radzibymy z tobą pogadali".... ale dziewcze musi się skryć koniecznie.

Tu starościna prosi ojców, żeby pozwolili napić się z dziewuchą gorzałki; ojcowie zawsze pozwolą. Wtedy dopiero sceny jakby tu dziewuchę z przypiecka zwabić. Starosta, starościna, koleją używają całego dowcipu: «puć ze gąsie puć! zaprowadzima cie na wode, pływa tam biołny gąsiorek, Błazek mu imie, a ślepięta wykapane twoje świcą mu w łebku."

Kiedy próżne wszystkie zażywania sposobów ojciec krzyknie: złaź Kaśka duchem z przypiecka! toć i musi chociaż z płaczem. Alec też nie każdej trzeba tyle gadać; bywają i takie co nie uciekają na przypiecek, ale wychodzą przed sień rade jak najprędzej powitać z dobrą nowiną starostów, a pan młody jeszcze na progu uściśnie powolną kochankę.

Gdy dziewczyna wylezie przecie z komory, albo ją ojciec zciągnie z przypiecka, starościna woła ze

sieni pana młodego, ten rodziców panny uściskawszy za nogi, pije z rąk starościny do oblubienicy. Ta szarpie się, gniewa, droży, wolnieje, aż znowu za przykazem ojców bierze kieliszek z rąk narzeczonego, i obróciwszy się tyłem do wszystkich pije w końcu z przestankami, za każdą razą obcierając usta fartuchem, resztę przez głowę wylewa za siebie.

Wypicie wódki z rąk pana młodego, jest silniejszem zaręczeniem i pewnością, nad wszystkie intercyzy wysokiego tonu; już odtąd nazywają się mój i moja wzajemnie. Wolno już wtedy oblubieńcom pocałować się, poigrać, a nawet w karczmie ze sobą bez pozwolenia ojców, częstować się przy tańcu wódką i piwem. Cały wieczór i noc po smówieniu, tańce, hulanka, krzyki, śpiewy, przy obficie płynącej gorzałce. Nazajutrz w Niedzielę idą do proboszcza dać na zapowiedzie, i ksiądz ogłasza z ambony publicznie, jak wszędzie, imiona biorącej się do stanu małżeńskiego pary.

W trzy tygodnie po smówinach staje wesele; rodzice panny wyprawiają takowe stosownie do zamożności pieczone lub gotowane. Pieczone wesele jestto uczta składająca się z samych kołaczy pszennych, rzanych, tudzież z jabłek i innych suszonych owoców, orzechów i miodu; pieczone wesele często trwa i tydzień. Gotowane wesele bardzo wiele kosztuje, zazwyczaj krowa, para wieprzków i całe stado gęsi pada ofiarą wesela gotowanego. Rzadko

wesele gotowane dłużej trwa nad dni cztéry. Bogacze młynarze, pustkowianie wyprawiają córkom wesela huczniejsze, jest ono i pieczone i gotowane, bo wszystkiego obfitość, na każdym zaś weselu wódki i piwa musi być do sytości.

W dzień ślubu przychodzą do panny młodej druchny cztéry lub sześć, czasem i więcej, lecz zawsze parzysto, i czekają na pannę w izbie kiedy onę starościna, matka i inne matrony stoją w komorze. Siedzi ona na dzieży dnem przewróconej do góry; ubierają jej głowę w kolorowe wstążki obcisło fałdując do koła, w tyle zaś w rozpuszczoną kosę wpinają ogon z kilkudziesięciu kolorowych wstęg szerokości i długości rozmaitej. Szyję w paciorki, korale, perełki fałszywe, tak grubo obwijają że ciała dojrzeć nie można. Kryzy rzadko w któréj parafii około Wielunia ku Częstochowie noszą kobiéty u koszul; ale zamiast nich gors koszuli i mankietki szerokich rękawów w wąziutką wszywają lisztewkę, zahaftowaną wraz z ramionkami różnokolorową włóczką i jedwabiem.

Spódnica jedwabna zwana rubronem, lub merynosowa obszyta galonem szczerozłotym lub srebrnym do koła u dołu, fartuszek bawełniany w czerwone paski lub ze staroświeckiego persu; gorset z bogatej materyi, trzewiki na wysokich korkach, pończochy modre z czerwonymi klinami u kostek, są paradnym strojem dziewcząt. Cały ubior okrywa z wierz-

chu granatowy kaftan, gładki na około, po bokach tylko po parę fałdków mający, jest on długi blisko do kolan, powyszywany tasiemeczkami jasno-niebieskiemi. Uprzodu dwa rzędy guziczków świecących, zapina się na pentelki. Do nie małej ozdoby należy także szkaplerz na szerokich wstęgach przez ramiona przepiętych.

W zimie jeszcze na to wszystko wdziewają baranią szubkę węgierskiego kroju, taśmowaną na piersiach i na każdym szwie; ta bywa rozmaitych kolorów, granatowa jednak najpowszechniej.

Rantuch, pewien gatunek szalu, biały płócienny lub perkalowy, służy starszym niewiastom do noszenia dzieci przy piersi będących, albo też do ozdoby w niedzielę do kościoła. Panna młoda nieobejdzie się bez tej ozdoby przy ślubie.

Gdy już szwachny pannę ubiorą, zostawiają w komorze samą, druchny zaś śpiewają smutne piosenki przy drzwiach, jakby żegnając dziewicę która zich grona przechodzi na wieki w koło poważnych mężatek, i już nigdy do ich zabawek dziewiczych należeć nie będzie.

Juześ dziewcyno nos pogardziła,
Idzies do męza rodzica.
Zostawias matkę co cię kormiła,
Juz ty nie bedzies dziewica!

Niebedzies s nami obrazów stroić
I biołnej chorągwie nosić,
Bieda ci bedzie serce oswoić
I krzywdy od obcych znosić!

Kiej śnieg zabieli pole w około
Z kądzielą nie pudzies s nami,
Śpiewać nie bedzies jak my wesoło,
I bawić druchen gadkami!

Cy w kłakociny, cy we wyrzynke
Nie bedzies s nami tańcować!
Bo musis w doma gospodarować
I małych dzieci pilnować.

Zazwyczaj te piosenki są nuty smętnej. Spiewają je strofkami, po skończeniu przez jednę odzywają się chórem wszystkie, powtarzając dwa ostatnie wiersze zwrotki.

Często przy weselach usłyszysz śpiewki nowe improwizowane przez stare matrony, co to tylko z wesela na wesela, z chrzcin na chrzciny chodzą.

Panna młoda spłakawszy się porządnie sama nie wiedząc dla czego, bo i drugie płaczą przed ślubem, i ona płacze; wychodzi nareszcie z komory do izby, ściska kolejno druchny i wszystkie nad nią płaczą. Tu daje się widzieć ciągnąca tłumnie drużyna, młodziany na koniach z kolorową chustką w jednej, a z batem w drugiej ręce pędzą cwałem, za nimi kilka wozów weselnego orszaku.

Każdy młodzian ubrany w granatową kapotę z kołnierzem stojącym, obszytym podwójnie jaśniejszą tasiemeczką bawełnianą. Dwa rzędy małych świecących guziczków, klapka wywrócona podszyta czerwoną materyą, podszewka w żywe kolory, są to konieczne ozdoby kapoty. Buty długie za kolana, czapka siwa z wieńcem uwitym z płatków, pierzanych kwiateczków, szkiełek i świecideł różnych, czerwona lub modra wstążeczka pod szyją, oto cały strój młodziana! Starzy tylko rzemiennym z kalitką odróżniają się pasem, zapinanym na kilka sprzączek i powyszywanym w różne desenie.

Starosta czyli drużba wchodzi naprzód do izby, przewiązany białym rantuchem przez ramię i przypomina że już czas do ślubu. Tu dla lepszej ochoty wypijają dużo gorzałki, następnie drużba bierze chustkę purpurowego koloru, podaje jeden koniec pannie młodej, sam bierze drugi przeciwległy i wyprowadza do kościoła.

Stare matrony w świątecznych strojach, różnią się tylko w ubraniu czepcem wązko wyglądającym z pod dużej chustki w tył związanej, z opuszczonym na plecy jak klapa końcem. Lewą dłoń ręki obwijają chustką na paradę do kościoła, palce oplatują w różaniec. Za drużbą idą parami panny druchny, trzymając się podobnie za rogi chustek, dalej cała drużyna bez porządku. Choćby dwa staja było do kościoła, dla większej parady siadają na wozy. W pierwszym

zazwyczaj mieści się muzyka, złożona ze skrzypiciela i basisty; w drugim panna młoda, starosta, szwachna i dwie druchny; w trzecim druchny; dalej cały orszak weselny zajmuje często i dwanaście wozów. Pan młody i młodzianie na koniach, krążą około wozów śpiewając z całego gardła.

Wszyscy dojechawszy do Kościoła z siadają z wozów i tłumnie cisną się do plebanii prosić księdza o ślub. Gdy po zapisaniu aktu przychodzi do zapłaty... tu dopiero sceny; im bogatsi tym bardziej targują się aby co więcej oszczędzić. Znudzony proboszcz ich modłami przystaje na wszystko, a oni go prawie na rękach niosą do kościoła. Ślub biorą jak zwyczajnie. Zamiast obrączek metalowych na palce, używają częściej rucianych wianków, które dudką od gęsiego pióra już w kościele przypina szwachna państwu młodym do włosów; następnie kapłan zdjąwszy poświęca je i znów kładzie na głowy. Po ślubie zaraz szwachna zbiera obadwa i chowa.

Jak wszędzie tak i tutaj wszyscy bacznie zwracają na to uwagę, kto z państwa młodych przy wiązaniu stułą mieć będzie rękę na wierzchu, i z tego wróżą przewagę jednego z małżonków nad drugim; kto górował przy ślubie, ten do śmierci górować będzie. Często kręcą oboje oblubieńcy rękami dotąd, póki ich ksiądz niepogodzi, ustawiając tak ręce obojgu, że i jedno i drugie nic wróżyć na swoją stronę nie może.

Często pijany skrzypiciel jeszcze w kościele zarzempoli od ucha mazureczka skocznego; w każdej wsi jest on odmienny, nigdzie go przecież zrozumieć i pojąć ducha niemogłem. Pod smyczkiem muzykusa razem wszystkie huczą struny, a palce w konwulsyjnych skokach, chrapjących tysiące wyrywają trylek, tak że trudno nutę jego spamiętać, ale zawsze jestto wesoły i skoczny, żywy jak dusza Wielko-Polana.

Skoro tylko wyjedzie orszak weselny z dziedzińca kościelnego, krzyk i śpiewy młodzianów całej wsi ogłaszają że już po ślubie. Wszyscy następnie ciągną do karczmy; tu wypiwszy niemało i pochulawszy to w prawo to na odsibkę, udają się do domu rodziców oblubienicy, i tam bankietują najmniej trzy dni. — Pieczone jednak wesele zawsze bywa dłuższe; tutaj dopiero uciecha, cała chata, podwórko i sad pełne gości, wszędzie jedzą i piją. Z izby wszystko powynoszono, zostały tylko po za ścianami długie ławy i stół, za którym przy kieliszku śpiewają i gwarzą matrony; parobcy zaś pozrucawszy kapoty a dziewczęta kaftany, tańczą bezustanku kręcąc się po środku szczupłej izby.

Jadła gotują w tedy albo w kuchence albo w piecu od lnu. Czarnina z gięsi z grubą kaszą zwaną pęczakiem (z jęczmienia) lub z kartoflami, kawały mięsiwa różnej wielkości, żadnej niemające przyprawy oprócz soli i pieprzu, kapusta z grochiem, kluski, oto wszystkie potrawy składające ucztę weselną; goście zaś

wcale nie patrzą na jakość, tylko na mnogość potraw. Kluski z makiem i miodem, ogromne kołacze, jabłka i orzechy, stanowią jakby deser. Ma się rozumieć że gorzałki obfitość, piwa niewiele i to rzadko w której wiosce używają przy weselu. Pokrajane w kawałki kołacze, ser, jabłka, szuszone gruszki i orzechy stoją na żądanie gości, w sitach, przetakach, miskach, dopóki ich staje. Późno w noc pierwszego dnia wesela następują oczepiny.

Stare szwachny starają się choćby zdradą lub przemocą schwytać i uprowadzić pannę młodą do komory. Tam bez litości na jej płacze, na jej żal serdeczny, obcinają nożycami pukle choćby też najśliczniejszych włosów, i wkładają jej ogromny czepiec ustrojony wstęgami i galonami, jest on zazwyczaj z bogatej, często tkanej złotem staroświeckiej materyj, po prababkach puścizna. W niektórych wioskach z drugiej strony Wielunia ku Sieradzowi, młódź z oczepin robi sobie zabawki, włazi kilku parobków do komory i kolejno przebiera się jeden w czepiec, zakapturzywszy oczy wdziewa na wierzch kożuch dogóry futrem, i skórczony według potrzeby aby naśladować wzrost panny młodej, wychodzi do izby w towarzystwie dwóch szwatek. Dziewczęta obchodzą go dokoła poznając czy to panna młoda lub nie; jeśli poznają że mężczyzna, wszyscy uciekają od niego, a młodziany batami po karku grzmocą zwodziciela. Taką kolej kilku przechodzi, aż nakoniec panna w tym samym

ukazuje się stroju; tę jednak od razu poznają druchny i zdejmują z niej kożuch co prędzej, a następnie mężatki przyniósłszy każda z sobą czepiec w upominku dla panny młodej, czepią ją znowu kolejno swoimi czepcami. Panna młoda zdejmuje każdy z głowy i chowa (zwyczaj powszechny w okolicach Sieradza, Konina, Kalisza poczęści i Wielunia) często uzbiera czepców i trzydzieści. Kiedy już ostatni zciągnie z głowy, szwachny kładą jej złoto-lity i tak przybraną oddają w ręce pana młodego. Długo nieboga chce ujść tego okrucieństwa, kryjąc się między druchny, które ją przemocą bronią od szwachen chcących oczepić towarzyszkę ich młodości, ich latek dziecinnych; bo ona od oczepin już się do nich zbliżyć niemoże, już niebędzie tańczyć, ale usiada między poważnemi matronami, które jej różne dają nauki, często niewinna jak dziecię rumieni się i płacze słysząc wyrok nieodzowny swojego przeznaczenia.

Gdy już przybraną w czepiec oblubienicę oddadzą szwachny panu młodemu, ten zabawiwszy chwilę, i łyknąwszy dla ochoty jeszcze kubeczek, żegna się z gośćmi słowami: «ostańta z Bogiem!" i wziąwszy za rękę pannę młodą, uprowadza ją do komory.

Nazajutrz rano podedrzwiami komory, grzmi muzyka na dzień dobry państwu młodym, a ochotni biesiadnicy już wszyscy zebrani, śpiewają i wykrzykują. Pan młody wychodzi z komory pozdrawiając wszystkich; szwachny tedy biegną do śpiącej jeszcze

pani młodej; bawią tutaj często za długo często bardzo krótko... niewiem z pewnością tego przyczyny. W pierwszym razie wyprowadzają panią młodą w bogatym czepcu, w tym samym którym ją oczepiono; w drugim razie tylko w modrej lub żółtej chustce na głowie. W takim przypadku będzie ona smutna i wstydząca się, pan młody niezawinie się koło niej przez całe wesele, nikt jej niepowita śpiéwem, ani młodziany ni druchny. W pierwszym zaś razie, witają oblubienicę huczne okrzyki i pieśni, druchny ściskają ją serdecznie z kolei, każda wprzódy ścisnąwszy jej nogi (taki zwyczaj) z uszanowaniem jako poważną mężatkę, a ona płacze z wszystkimi towarzyszkami.

Jeśli oblubienica wchodzi do domu rodziców męża na mieszkanie, zowie się ona w tedy niewiastą; jeśli zaś pan młody zostaje w domu rodziców żony, zowją go komornikiem.

Wesele wdowy mniej wspaniałe i od wielu zwyczajów (układów ich nazwaniem) wolne. Wdowiec żeniący się z panną, niczém swojego nieodróżnia wesela, a często jakby młodzik wieniec do czapki z białą wstęgą przypina. Kiedy parobek ożeni się z wdową, powiadają że przystał do wdowy. Po trzech dniach, choćby tydzień jeszcze ciągnęło się wesele, już ani jedna dziewka, ani jeden parobek znajdować się na niém nie może. Wywód i przenosiny jeszcze oblewają solennie, ale na te dwie uczty ka-

żdy z krewnych i goszczących, musi przynieść flaszkę wódki i placek.

Widziałem także przy jednym weselu, niedźwiedzia ubranego z grochowin, którego dosyć zabawnie naśladował w ruchach jeden włościanin. Oprowadzano go po wsi całej, wszędzie gdzie stanęli przed chatą, najprzód częstowano gości wódką, a potem goniono niedźwiedzia z wodą. Pełno tu uciechy i śmiechu: ale piosenki żadnej przytem niesłyszałem.

Tak się kończy wesele.

Chrzciny i Sztuka Lekarska.

Chrzciny ochodzi się co do pijaństwa równie wspaniale jak zaślubiny, z tą różnicą iż piją tylko dzień jeden przy chrzcinach. Zawsze w każdej wiosce znajdziesz kilka w swojej sztuce biegłych doktorek. Te nieproszone często gęsto przychodzą z swoją pomocą do niewiast spodziewających się dziecięcia.

Oprócz danych ziół za leki, odmawiają one tajemnicze szepty, nakadzania, zażegnywania, z których każde ma swój czas pewny w jakim odbywać się powinno. To szczególna że wszystkie te eskulapki utrzymują się ze swego szarlatanizmu, każda szanuje tajemnicę drugiej i żyją w jak największej zgodzie. Lud prostoduszny bynajmniej niepoznaje się na ich oszustwie, bo też wierzących we wszystkie gu-

sła, samą mocą wiary uleczają słabości ciała. Tym niewiastom każdy wieśniak największą cześć oddaje, obawiając się urzeknięcia, uroku, albo ustrzału; one bowiem posiadają tajemnicę czarów, których mocą i dobre i złe wyrządzić potrafią w przekonaniu ludu.

Młynarze i bartnicy również są biegłymi w różnych sztukach lekarskich i czarodziejskich, ale oni najwięcej tylko szkodzą młynarzom, lub pszczołom swoim wzajemnie. Kiedy któremu z bartników upadną pszczoły, jestto niezawodnie sztuka nieżyczliwego przeciwnika. Biorą przeto zaraz święconą wodę, kadzą trzechkrólową mirą dokoła pasiekę, i pokrapiają także wodą wszystkie wniścia i ule; w różnych miejscach przytém piszą święconą kredą krzyżyki. Jeśli zły człowiek dotknie ciałem lub suknią którykolwiek z tych znaków, pewno nieszczęście jakie chciał drugiemu założyć upadnie na jego własną pasiekę.

Tańce i Zabawy.

Taniec w Wieluńskiém zawsze jednaki, jestto walc w prawo i w lewo, albo krakowiak; ale szczególniejszy sposób zapraszania dziewcząt w taniec, zasługuje na uwagę.

Jeśli tańczą w karczmie w niedzielę, każdy z tańczących parobków opłacić się musi muzykantowi pie-

niędzmi lub gorzałką; przy weselach zaś i innych uroczystościach domowych, gospodarz koszta muzyki ponosi.

Parobcy którzy opłacili grajkom, zdjąwszy z siebie kapoty, nakładają kuse fajeczki tytuniem, i te kopcąc, długo chodzą po środku izby dokoła ieden za drugim; dziewki zaś stoją kupkami wedle pieca lub szynkwasu, czekając spokojnie rychło którą w taniec jeden z młodzi zaprosi. Gdy parobcy nachodzą się już dokoła i każdy sobie tancerkę obmyśli, wołają z kolei, Kaśka, Marysia! a wnet tak grzecznie zaproszona w tany dama, zrzuciwszy z siebie kaftan, w samym gorsecie, przybiega do tego kawalera co ją zaprosił, chwyta go za rękę i podrygac do taktu zaczyna. Kiedy już wszyscy mają pary, wtedy przewodnik ten co rej przywodzi, klasnąwszy kilka razy dłoń o dłoń, ujmuje w pas swoją dziewczynę, zanim wszyscy, i zaczynają w prawo i w lewo tańcować. Broń Boże przewrócić się której parze na drodze, wtedy całe koło tancerzy pod sufit zaspą na niej uściele się wpędzie, a tym najgorzej co na spodzie. Mazurek często daje się widzieć, kozak od niejakiego czasu, ale to tylko jakby dla odpoczynku pośród walca.

Pogrzeby.

Umierający człowiek rozmaitym ulegać musi zabobonom. Trupiarki baby jeszcze do żyjącego przy-

chodzą ze swoją usługą. Kiedy widzą chorego bardzo juz słabym, natychmiast składają go z łoża na prostą słomę, choćby to pośród zimy i najtęższego mrozu. Następnie jedzie któren z sąsiadów po księdza, chory na tej słomie spowiada się, przyjmuje Wijatyk i Olej święty. Napróżno im przekładają księża że zgon przyśpieszają choremu, przez wyjęcie go z ciepłej pościeli i oziębienie na gołej słomie; sam chory niechcąc odstępować zwyczaju przodków, gdy się czuje zbyt słabym, każe się zaraz przełożyć na słomę. Raz jeden z najcnotliwszych gospodarzy wioski zasłabnął, odwiedzałem go często w czasie choroby i przynosiłem posilne potrawy. Pewnego dnia wchodząc zastałem obrządek zdejmowania z pościeli na słomę. Kazałem go natychmiast włożyć do pościeli napowrót, ale chory ostatku dobywając siły ozwał się do mnie: «dajcie pokój paniczu! tak mój dziad, pradziad Bogu ducha oddał, i ja niemogę przestępować ich układu." Podanego pokarmu już przyjąć nie chciał; gdy go pocieszałem, wstrząsnął głową, poruszył ręką i spojrzawszy w niebo zufnością, zamknął powieki i począł ogromnie dychać. Podano mu natychmiast krzyż do prawej a gromnicę do lewej ręki, ścisnął to oboje konwulsyjnie, wszyscy upadli na kolana, sąsiedzi, żona, dzieci i ja z niemi. W cichym pobożnym gwarze, z jak największą spokojnością odmawiano psalmy pokutne i różne modlitwy, które umieli wieśniacy na pamięć. Nagle

umierający otworzył oczy, już to nie był wzrok życia!... przygasłą zrenicą spójrzał po wszystkich... zawarł znowu powieki, wypadł z ręki krzyż i gromnica, westchnął głęboko i już żadnego nie okazał ruchu. Jedna z kobiet obecnych zawarła oczy i usta konającemu, dotknąwszy potem ręką lewego boku jego, zatrzymała się w téj postawie chwil kilka, myśmy wszyscy w przerażeniu oczekiwali co ona wyrzeknie; obróciwszy się do nas po chwili powiedziała: «już Bogu ducha oddał, módlcie się za umarłego!" Wtedy to była chwila okropna! żona, dzieci, przyjaciele, trzęsąc się od cichego płaczu, odmówili jeszcze spokojnie pacierze, dopiéro jęki i płacz rzewliwy dał się słyszeć w całej drużynie. Widziec było ten żal szczéry, pochodzący z głębi duszy samej, którego łzy w połowie z krwią się sączyły, serce ściskała boleść i moje łzy zmięszałem ze łzami rodziny przy zwłokach najcnotliwszego całej wioski kmiecia.

Nie ubierają nigdy zmarłego w to odzienie po śmierci, jakie nosił za życia, ale szyją mu z nowego, białego, niepranego jeszcze płótna całun, podobny kształtem do długiej koszuli z szerokiemi rękawami; nazywają powszechnie tę pośmiertną suknię *zgłem*, jest ono tak długie, że zupełnie zakrywa nogi również obszyte w płótno. Na głowę wkładają czapkę także płócienną, szerokie zaś rękawy około dłoni przewiązują kolorową tasiemeczką. Na piersiach przy-

pinają do zgła papierowy obrazek, a w złożone ręce kładną krzyżyk z Panem Jezusem.

Skoro ducha wyzionie chory, trupiarki gotują wodę z ziołami na kąpiel zmarłemu. Biorą zazwyczaj suchy barwinek, roschodnik, rutę, belicę, paproć, słowem wszystkie zioła jakie święcą w dzień Matki Boskiej zielnej. Po skąpaniu ubrane w zgło ciało, leży na tej samej słomie gdzie ducha oddało, dotąd póki kołodziej trumny nie ukończy.

Budowanie trumny i kopanie grobu także ważną jest rzeczą. Należy do zabobonów pozbierać wszystkie wióry i heblowiny od trumny, grubsze palą się, drobne sypją w trumnę na posłanie zmarłemu. Broń Boże zostawić w dziedzińcu najmniejszy wiórek, zaszkodziłby on każdemu ktoby go udepnął. Przez drogę niosąc trumnę kołodziej nikogo niepozdrowi, do nikogo słowa nie rzeknie, wierząc w to najszczerzéj że sobie lub drugiemu szkodziłby tém niesłychanie.

Jeżeli zmarły był w stanie dziewiczym, stroją mu wewnątrz weselnemi kwiatkami trumnę. Jako to: rutą, rozmazynem, i takiż wieniec spleciony kładą na trumnie. Jeśli żonaty, obscielają go suchem zielskiem do koła. Chociaż umarły leży już w trumnie, słomy na której skonał nieruszają dotąd, póki ciało pod dachem; kiedy ciało wyniosą, starannie zebraną pali za wsią dziad lub baba; z kierunku płynącego w górze dymu, wróżą w której stronie śmierć wioskę odtąd najpierwej nawiedzi. Trumnę do grobu wiozą za

zwyczaj na wozie, rzadko niosą na marach, musiałoby to być bardzo blisko kościoła. Przewrócenie się świecy około katafalka, lub na ołtarzu w czasie nabożeństwa żałobnego, wiele za sobą złych pociąga skutków.

Żadnej umowy z księdzem o zapłatę nierobią, bo by to był niepokój duszy zmarłego. Pogrzeby co do obrządków kościelnych, w wioskach bogatych i ludnych odprawiają wspaniale chociażby składkę robić po wsi przyszło; tak najbiedniejszy równie jak bogacz bywa chowany.

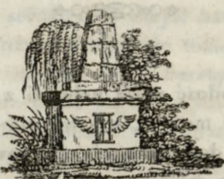
Stypa pogrzebowa jest osobliwszą z tego w tej okolicy, że drużyna jedząc i pijąc, śpiewa pobożne pieśni i modli się za umarłego. Najczęściej odbywa się ona w gościńcu, co nieraz podziwia wędrowiec, jak pijani głośni w innym razie wesołymi okrzykami, mogą tyle zachowywać się skromnie i pobożnie na pogrzebowej uczcie.

Skrawki płótna przy krajaniu zgła, oraz igła którą ono było szyte, zaraz muszą po skończeniu pogrzebu zostać zniszczone; gdyby się bowiem złemu człowiekowi do rąk dostały, mógłby niemi zaszkodzić wiele niejednemu. Z takowych sztuk igły, martwicą zwanej, dowiedziałem się ledwo jednej za dobrą nagrodą.

Gdy kto ma złość na drugiego a chce się zemścić, może pozbawić go wzroku, dostawszy trzech rzeczy, to jest: igły którą szyto zgło zmarłemu, wło-

sa przeciwnika i żaby ropuchy. Zapala się gromnica, i przy jej świetle w piątkowo-sobotnią noc, szuka się w dole od kartofli żaby ropuchy; dostawszy ją tym sposobem, przewłóczą jej przez oczy włos przeciwnika igłą martwicą i zawiązują końce na wierzchu. Póki włos związany przeciwnik nie widzi, a spalić żabę, wiecznie ślepym pozostanie.

J. A. Miniszewski.



WIECZÓR MODNY.

Czas idzie, młodość nasza uchodzi z pośpiechem,
Bawmy się kiedy możem, zabawa nie grzechem.
Wszak każden z doświadczenia za prawdę przyznaje,
Iż kwadrans tylko śmiechu, rok życia dodaje.
Choć w dzisiejszych zabawach, nadto często ziewam,
Jednak idąc na nudy, bawić się spodziewam,
Jak ów któren doświadczył zawodnych kolei,
A jeszcze w śród nieszczęścia wzdycha do nadziei.
Karnawał już się kończył, wspaniały i suty,
Już liczył świetne bale i liczne reduty,
Resursa i kasyna, pikniki, obiady,
Gdzie niegdzie przyjacielskie, lecz rzadkie biesiady.
I owe elegantskie u nadobnej Flory,
Ach! rauty ulubione, ach! modne wieczory!

Tłusty czwartek nastąpił, mód władczyni nasza,
Ostatni raut wydaje, puł miasta zaprasza.
Od tygodnia już damy potraciły głowy,
Czwartkowy ubiór celem powszechnej rozmowy.
Tu w żurnalach Paryzkich szukają pomocy,
Lub się włóczą po sklepach od rana do nocy.
Znajdują że modniarek w Warszawie za mało,
Nawet u Dyzmańskiego towarów nie stało.
Dla kilku godzin zabaw sypią dukatami,
A potem któż uwierzy że złe czasy mamy?
Czwartek nadszedł, wybiła dziesiąta godzina,
Nadzwyczajny tłum gości zbierać się zaczyna.
Apartament wspaniały pysznie oświecony,
Napełniać się zaczęły wytworne salony.
Coraz nowe piękności przed okiem się stawią,
Te chwytają za serca, a te umysł bawią,
Widzisz skutki użytych tajemnic toalety,
Wyszły z mody zawoje, toki i berety,
Natomiast średnie wieki rządy rozpostarły,
Koronki, które babki nasze nie dodarły,
Przy burnusie z kapturem któren przypomina,
Nie Maurytankę piękną, ale Beduina,
Jakże się z naszyjnikiem i kolcami godzą,
Które może od naszej Esterki pochodzą.
Ta różność czasów, smaku, połączona razem
Wieku dziewiętnastego niejestże obrazem?
Widzisz jak mody z gustem, zjednoczonej sile
Natura ustępuje pierszeństwa na chwilę.
W jednej sali tańcują, w drugiej grają wista,
Tu nie jeden mąż z cizby i ścisku korzysta,
Gdy żona kogoś okiem szuka i znajduje,
Nie widzi gdzie potrzeba bo sam romansuje.

Czas, pora, miejsce, wierzcie każdego ośmiela,
Najlękliwszemu nawet śmiałości udziela.
Przez wzgląd na słabą ludzkość, bliźniego obronę,
Resztę zamilczyć wolę, zapuszczam zasłonę.
Zakończył się nakoniec ów raut, wieczór modny,
Powróciłem do domu znudzony i głodny.
Pomyślałem, podobne dzisiejsze zabawy
Do małżeństw bez miłości, zwycięztwa bez sławy.
Tak jak po rysach twarzy każden poznać zdoła
Włocha, Niemca, Anglika, Turka lub Mogoła,
Czemuż po mowie, stroju, ojczystym zwyczaju,
Trudno rozpoznać w jakim znajdujem się kraju?
Najodleglejsze strony podobieństwo zbliża,
Nieraz w Warszawie sądzę żem jest w śród Paryża;
I cóż tego przyczyną? tegoczesne mody
Co jedną kładną barwę na wszystkie narody.
Dawniej gdy pożądane nadeszły zapusty,
I gdy przyszedł nakoniec sławny czwartek tłusty,
Jeszcze brzmią w mej pamięci, radośne odgłosy
Co się z śmiechem i wrzaskiem wzbijały w niebiosy,
Jeszcze widzą me oczy, ten przepych, te zbytki,
I napełnione gośćmi wytworne przybytki.
Te w bogatych ubiorach, poważne matrony,
Kanaki rubinowe, z szafirów zapony,
Te lamowe spudnice i rubranty lite,
A z brabantskich koronek fryze wyśmienite;
Różnobarwne czamary, kontusze, żupany,
I kołpak sobolowy, i pas złotem tkany.
Ferezyje ozdobione z szmaragów guzami,
Bogato nasadzane szable turkusami,
Widzę gnące się stoły pod sreber ciężarem,
I spełniane puhary Tokajskim nektarem.

Tu potrawy przyprawne imbierem i chrzanem
Tutaj jędyk z podlewą, tam szczupak z szafranem,
W śród kuropatw, jarząbków stoi paw' pieczony,
Tu znowu dzicza pieczeń, tam tłuste kapłony:
Stół w koło zastawiony w rozmaite wety,
Przewyborne łakocia, słodkie galarety,
Tu małmazyją nalewa do kuflów drużyna,
Roznoszą stary lipiec i cypryjskie wina.
Widzę, cała czereda jak od stołu wstaje
A signor włoch z przyciskiem kapeli znak daje,
Zagrzmiały trąby, kotły, a przez środek sali,
Kasztelan z Miecznikową poloneza wali.
Widzę, — i długo jeszcze mocą urojenia,
Gościnności mych przodków słodkie przypomnienia,
Te gody z szczérem sercem i zwyczajem zgodne,
Dłużej pamiętać będę, jak wieczory modne!

Leon Potocki.



KURDY

WIERSZ OPISOWY.

Pstre, jak motyle,
Jak ptaki lotne,
Kurdy ochotne,
Wyloty w tyle,
Czapka barania,
Rumak co wichry w biegu przegania,
Na plecach janczarki grzmotne.

Srebrzy się nowiem
Szabla u boku,
Odwaga w oku,
Na twarzy błyszczącej zdrowiem
Wąs się rozwiesza
I cała rzesza

Sunie jak cienie,
A rzędy chrzęszczą jakby szerszenie,
Dziarskie koniki nóżkami tańczą,
Cicho, leciuchno, w kurzawy fali
Zastęp się wali
Szarańczą.

A rozgłos bije,
Lecą z okrzykiem,
Szereg się wije
Krętym wężykiem,
Stanęli.
Jeszcze chce konik wyciągnąć szyje,
Żuje uzdeczkę, kopytem bije,
Oko do lotu weseli.

Aż z tego ula
Roi się wrony,
Dopieroż hula,
Leci w zagony,
Jeździec się zwróci,
W pędzie wypali,
Pod konia rzuci,
Na siodło wróci,
I pędzi dalej.

Znów konik kroczy,
A kurd we dwoje
Ściska dziewoję,
Patrzy jéj w oczy,
Ona u twarzy śniadej zawiśnie,
Włosy jak kłosy, usta jak wiśnie,
A jak bławatki ma oczy.

I do wsi jadą,
Aż psy gromadą
Szczekając konia opadną,
Kurd rzesko świśnie
Handzarem błyśnie,
Psy z strachem w budach przepadną.

Strzeż się szaraku
Wychylić z krzaku
Po równym pobujać łanie,
Bo Kurd cię zoczy
Koniem doskoczy,
Z ziemi rękami dostanie.

A kiedy mroźno
Kurd jedzie groźno,
W białej kapicy, w kapturze,
Ustami chwali
Wielkiego Ali
I nie narzeka na burze.

I tylko czasem
Jadąc pod lasem,
Lub w wiosce piosnkę zanóci,
Piosenka cicha
Smętkiem oddycha,
Nawet konika zasmuci.

Antoni Czajkowski.



Mlle F. Corbaux, pinxt. G.A. Periam, sculpt.

Matylda

LEKARSTWO NA MIŁOŚĆ.

POWIEŚĆ

(z Ryciną.)

—«A więc to nie jest sen, jesteśmy w Neapolu," rzekła śliczna kobiéta, do wysokiego i pięknego dwudziestopięcioletniego mężczyzny, starszego od niej jak się zdawało o lat dziesięć. Wsparta na jego ramieniu wstępowała na wschody Hotelu Angielskiego, poprzedzał zaś ich utrzymujący ten najwspanialszy w Neapolu traktyer.

—« Tak, Matyldo, nakoniec jesteśmy tutaj!" odpowiedział młodzieniec.—«Czy cię to cieszy? Ziściłyż się twe oczekiwania?"

—« Czy mię to cieszy? Ach Edwardzie! wszystko co tylko widzę, zachwyca mię i unosi. Niepowtarzałam że ci tego już kilkadziesiąt razy? Czyliż uczucia

moje nie odbijały się wyraźnie na mej twarzy gdyśmy zjeżdżali z góry, z któréj nagle rozwinął się przed nami widok Neapolu? Te wspaniałe gmachy, ta dziwna mieszanina różnorodnej architektury, ugruppowana w jednę całość, uderzająca i swą oryginalnością i rozmaitością swych części, ten pstry, pełen życia gwarliwy zgiełk ludu wesołego, w którym napotykają się wschodnie fizyognomije i ubiory wschodnie, wszystko, wszystko czaruje mię, tym więcej, że tu nic nie jest podobne do tego, com widziała dawniej, chociaż wszystko znalazłam tak, jakem sobie wyobrażała. Nieprawdaż Edwardzie? zdaje się że krew mieszkańców tutejszych rozegrzana jest lawą Wezuwiuszu? takim ogniem pałają ich twarze, tak oślepiającym blaskiem swiécą się ich czarne, pełne ognia oczy!"

Rozmowę tę przerwał oberżysta, mówiąc, że pokoje już są gotowe, i poprowadził Matyldę z jej mężem długim korytarzem do mieszkania, i jak zwykle, wychwalał je do najwyższego stopnia; nareszcie zostawił podróżnych samych, aby zalecić kucharzowi przygotowanie im lekkiej wieczerzy.

Mały owalny gabinet przedzielony od salonu zwierciadlanemi drzwiami, szczególniej ściągnął uwagę Matyldy. Ściany gabinetu opasane były tureckim dywanem; wpośrodku stał bardzo ładny stoliczek, a z okien widać było cudowną neapolitańską zatokę.

—« Ach co za śliczny pokoik!" zawołała Matyl-

da, «nieprawdaż? zdaje się być przeznaczonym do czytania poezyi, albo słuchania opowiadań o romansowych wypadkach, które tutaj tak są pospolite?"

—«Co za myśl, Matyldo!" odpowiedział Edward, obejmując kształtną kibić swej żony." Czy długo jeszcze we wszystkiem widzieć będziesz romanse? Zawsze chcesz każde cokolwiek przyjemne miejsce, uczynić sceną romantycznej przygody."

— «Edwardzie, ty doprawdy, stajesz się zupełnie podobnym do prozaicznego, chociaż zresztą bardzo dobrego mojego stryja hrabi Stanisława, który w każdym najromantyczniejszém wydarzeniu, widzi tylko zbieg najzwyczajniejszych wypadków, i naśmiéwa się z każdéj najczulszej historyi, jakiej przedmiotem jest miłość."

— «Z ran naśmiewa się ten, kto całe życie nie był raniony, mówi przysłowie. Wszyscy znający dobrze stryja twojego, zapewniają iż kochał się tylko raz w życiu, i to nie w prześlicznych oczach swojej piękności, lecz w jej szkatułce, to jest w stu tysiącach rocznego dochodu, jaki ona posiadała."

— «Biédny stryj! przerwała Matylda. Pamiętam Edwardzie, raz kiedy matka moja wyrzucała mu ten hańbiący jego honor postępek, na usprawiedliwienie swoje przytoczył znany wiersz angielskiego poety:

«Jakiż pył kochamy, kochając mężczyznę?"

A więc, jeżeli mężczyzna jest tylko pyłem, to kobiéta, dodał on, będąc cząstką mężczyzny, również z pyłu jest utworzona, a ponieważ złoty pył, podług mojego zdania, szacowniejszym jest nad każdy inny, czyż moja w tém wina że go lubię?"

— « Bardzo wielu znajdzie się jednego gustu z twoim stryjem, ale bardzo niewielu jest takich którzy się do tego przyznają."

— « Przestańmy już mówić o stryju; ale wiesz Edwardzie, że ty coraz więcej stajesz się poważnym i niedelikatnym?"

— «Zarzut twój niesłusznym jest, Matyldo; pokaż mi choć jeden przykład mojej niedelikatności?"

— «O! mogłabym znaleść tysiące! ale tymczasem poprzestanę na jednym, bardzo świeżym. Właśnie na dzisiejszych twoich żarcikach z żywości moich wyobrażeń, które nazywasz płochym romantyzmem, i mówisz, iż ja każde byle cokolwiek przyjemne miejsce, natychmiast czynię sceną jakiejś romantycznej przygody. Był czas Edwardzie, i nie dawniej jak pół roku temu, kiedyś i ty sam lubił wszystko co jest romantyczne; lecz na nieszczęście, małżeństwo nieprzyjaciel poezyi, i pewna jestem, że za powrotem naszym do kraju, często będziesz przesiadywał ze stryjem Stanisławem, i wspólnie naśmiéwał się ze wszystkiego, cokolwiek tylko wychodzi z prostej, wybitej kolei, i zniewolisz go powtarzać setny raz nieprzyzwoite gawędy, niemiłe dla całej familii naszej."

— «Zbyt już jesteś surową, Matyldo! Pozwólże mi również być prorokiem. Ja zaś widzę w przyszłości, oto kiedy my ze stryjem Stanisławem śmiejemy się w kącie, ty siedzisz obok ciotki Kunegundy, i słuchasz z uwagą czułego opowiadania o nagłej śmierci jej męża, jakie ci powtarza pięćsetny raz, ze łzami rozpaczy po niedawnej stracie, chociaż bolesny ten wypadek przytrafił się temu ćwierć wieku."

— «Jak możesz szydzić z tego, Edwardzie!"

— «A jakże ty możesz słuchać ze łzami ckliwego opowiadania ciotki?"

— «Ach! gdybyś pojmował Edwardzie, jak zasmuca mię twoja nieczułość! Ty się uśmiechasz, nie wierzysz temu wietrznikowi!"

— «No dosyć, dosyć, bądź dobrą po dawnemu... pogodzimy się." To mówiąc Edward pocałował i uściskał żonę.

Matylda i Edward, zaledwo sześć miesięcy jak się pobrali, z których pierwsze pięć zaraz po ślubie, zwyczajem zaczynającym upowszechniać się w Polsce, przepędzili za granicą u wód i na podróżowaniu. Przed ślubem bardzo byli zakochani w sobie; ale rodzice Matyldy cały prawie rok nie dawali Edwardowi stanowczej odpowiedzi, pod pozorem, że fundusze jego, nie wystarczały jeszcze na utrzymanie żony. I w czasie tej okropnej niepewności, Edward podług zwyczaju wszystkich zakochanych, dopuszczał się rozmaitych niedorzeczności. Ażeby oka-

zać Matyldzie ile ją kocha, wszędzie ścigał ją jak cień, nie zważając na kwaśną minę matki i krzywe spójrzenia ojca: każdego poranku jak waryat pędził za jej powozem kiedy się przejeżdzała z rodzicami po alejach, lub swoją zawadyacką postawą, dawał do zrozumienia innej młodzieży, iż nie dozwoli nikomu jechać przy niej; słowem Matylda spotykała go wszędzie gdzie tylko zbierało się wyższego tonu towarzystwo, a on, jak gdyby zapomniał, że na świecie było jeszcze więcej kobiét, ani na chwilę nie spuszczał z niej oczu. Łatwo więc sobie wyobrazić iż tak oczewiste i ciągłe nadskakiwanie, było przez Matyldę wynagradzane w całém znaczeniu; oczy jej bardzo często zwracały się ukradkiem na Edwarda, a przyjaciółki jej spostrzegały, iż zawsze sucho i lakonicznie zbywała komplementa młodzieży, tłumnie ją otaczającej.

Nie możemy wiedzieć do jakiego stopnia były sprawiedliwemi podejrzenia młodych przyjaciółek Matyldy: lecz niepowinniśmy ukrywać czytelniczkom naszym, że Matylda znajdowała tysiące sposobów pocieszania pogrążonego w rozpaczy Edwarda. Niekiedy na balu kiedy on stał przy niej, niespodzianie wymyka się jej kwiatek z bukietu, i w tejże samej chwili jakimś szczególniejszym trafem pada na ziemię rękawiczka Edwarda. Na koncertach, w teatrze, niema wymowa jej oczu powtarzała mu wszystkie czułe słowa aryi, wszystko to czem wszechwładny język

melodyi poruszał jej serce. Nakoniec Matylda nie zważając na gniew ojca, przekonywania matki, i codzienne kazania ciotek i całej rodziny, odmówiła wszystkich nader korzystnych partyj, a w tej liczbie i jednemu bogatemu hrabiemu, który ofiarował jej ze swą ręką tysiąc czerwonych złotych rocznie na szpilki, i oświadczyła stanowczo iż niepójdzie za nikogo oprócz Edwarda.

Ojciec Matyldy usłyszawszy tę odpowiedź, rzekł iż jest niedorzeczną, a matka zanosząc się od złości i płaczu, powtarzała iż niechce więcej uważać za swą córkę płochą dziewczynę, która dla nierozsądnej miłości, poświęca tytuł hrabiowski i ogromny majątek. Z całego familijnego grona tylko stryj Stanisław i ciotka Kunegunda nie gniewali się na biédną Matyldę. Piérwszy śmiał się serdecznie, przysięgając iż ze strony młodej dziewczyny wszystko to było prostym uporem, a tkliwa ciotka Kunegunda, powtarzała, iż uczucia Matyldy dla Edwarda były tak stałe i gorące, jak te które ona zachowała ku pamiątce nigdy niezapomnianego małżonka swojego, którego smierć całe życie opłakiwać będzie.

Matylda stała się od tej chwili faworytką ciotki, ta bowiem myśląc iż zupełnie jest do niej podobną i ciesząc się nadzwyczajnie z tego podobieństwa, w jej tylko wyobraźni istniejącego, obsypywała młodą dziewicę pieszczotami, podarkami, i w duszy pochwalała miłość jej ku Edwardowi, tak uderzające, jak

mówiła, mającemu podobieństwo do jej ukochanego, niezapomnianego męża. Z drugiej strony, Matylda, obdarzona z przyrodzenia sercem tkliwém, wyobraźnią exaltowaną, czytała wiele romansów; cóż więc dziwnego, iż ciągle towarzystwo ciotki, jeszcze bardziej podniecało jej miłość ku wszystkiemu co jest nadzwyczajne, urojone, wychodzące z granic pospolitego trybu życia. Ta nieszczęśliwa skłonność, rozdrażniona zakazem rodziców niemyślenia o Edwardzie, zamieniła się w pewny rodzaj choroby moralnej, w coś podobnego do sentymentalnej gorączki: widziała ona w każdej kobiecie lub mężczyznie, którzy lat czterdziestu jeszcze niedoszli, ofiary tej nieodzownej, fatalnej namiętności, która, podług jej zdania była jedynym celem bytu naszego.

Ciotka Kunegunda zapisawszy cały swój majątek Matyldzie, mniemała iż przez to zniewoli jej rodziców do zgody na małżeństwo córki z Edwardem, ponieważ szczupłe fundusze młodych kochanków, stanowiły jedyną przeszkodę do ich połączenia się. Ale się omyliła dobra ciotka; rodzice Matyldy nie tylko nie zmienili względem niej uprzedniego postanowienia, lecz utrzymywali teraz iż ona przy znacznym majątku udzielonym przez ciotkę, mogła spodziewać się najświetniejszej partyi. W tém przekonaniu jeszcze bardziej utwierdzały ich żarciki hrabiego Stanisława, który zapewniał, naprzód, iż miłość jest to choroba moralna wypływająca z osłabienia rozumu; iż związek

z Edwardem, chociaż możeby i wyleczył Matyldę, lecz w niej na przyszłość zaszczepiłby skłonność widzenia wszelkich niekorzyści tego nierozmyślnego zamęźcia, i nakoniec, iż takie odkrycie, gorsze jest daleko od urojeń złudzonego serca. Rodzice Matyldy zapomniawszy już dawno o cierpieniach serc swoich, bez żadnej sprzeczki zgodzili się ze Stanisławem, tym więcej iż był bezżenny, bardzo lubił swoję siostrę, matkę Matyldy, i napomykał nieraz iż po śmierci cały majątek jej zapisze, jeśli rad jego słuchać będzie.

Matylda i jej ciotka wszelkiemi siłami walczyły z przemożném stronnictwem, wydzierając im zwycięztwo. Chlubiły się ze swojego uporu, nazywając go szlachetną stałością, na co jednak nie wszyscy się z niémi zgadzali, a w liczbie tych zimnych, nieczułych ludzi, pierwszą rolę grał stryj Stanisław.

—« Wy myślicie" powtarzał on na damskich sejmach, iż miłość, najgwaltowniejsza miłość, jak ją nazywają głupcy, jest główną i jedyną przyczyną tej historyi. Bardzo się mylicie, i gdybyście w samym początku zapytali o moje zdanie, jabym poradził wam powiedzieć tej nierozsądnej dziewczynie:— ty możesz wyjść za Edwarda i zostać niczem na wielkim świecie, — wówczas zobaczylibyście jakby ona prędko zapomniała o swojej płochej skłonności; lecz bezustannym sprzeciwianiem się rozdraźniliście tylko jej wyobraźnię i wzmocniliście w niej ten upór, z którego wyradzają się owe wszystkie niedorzeczne małżeństwa z miłości.

Kiedy podobne narady odbywały się w domu rodziców Matyldy, bliski krewny Edwarda umarł i zostawił mu w sukcessyi ogromny majątek. Wydarzenie to znacznie zmieniło myśli rodziców Matyldy, którzy nagle się przekonali iż córka ich za nikim niemomogłaby być tak szczęśliwą, jak za Edwardem. Niespodziane to odkrycie, nastąpiło nieco za prędko po najsurowszym zakazie aby Matylda z nim nie rozmawiała i nietańcowała; ale, cóżkolwiek bądź, Edward ogłoszony został jednomyślnie na zgromadzeniu familijnem za nadzwyczaj korzystną partyę dla Matyldy, tudzież za najprzyzwoitszego młodzieńca. Przyjęto go zatem niezwłocznie jak nie można lepiej, i pozwalano okazywać młodej pannie te dowody uczuć, jakie należą do praw narzeczonego, i skracają mu smutne chwile wyznaczone na przedślubne układy. Lecz ścisły dostrzegacz (a hrabia Stanisław nie był jednym z ostatnich) mógł był uważać iż od dnia zaręczyn, Edward nie z takim już ogniem spoglądał na Matyldę, jak w ówczas, kiedy jeszcze nie śmiał na nią patrzeć; naturalnie, iż jak to jest we zwyczaju, przyjeżdzał codzień, siadywał przy niej od rana do wieczoru, był ciągłym jej sąsiadem u stołu, w loży, bezustannie tańcował z nią na balach, każdego poranku przysyłał jej bukiet świeżych kwiatów, tudzież najkosztowniejsze modne podarunki; z tém wszystkiem nie czując już ani obawy, ani zazdrości kochanka pozbawionego nadziei, powoli stawał się spokojniej-

szym, rozsądniejszym, prawie obojętnym, i nakoniec stanął z Matyldą przed ołtarzem, nie czując zgoła w sobie gwałtownych uniesień, którym przed sześcią jeszcze tygodniami oddawał się na samą myśl posiadania jej kiedykolwiek.—Rzecz szczególna, mówił sam do siebie; żona moja zawsze tak jest ładna jak była dawniej i kocha mnie do szaleństwa; dla czegóż mnie daleko przyjemniej było odbierać od niej dowody tkliwości w ówczas, kiedy jej niewolno było mnie kochać i kiedy ona co chwila narażała się na gniew rodziców, lub obmowę towarzystwa; niżeli teraz kiedy wszelkie przeszkody zniknęły, i wzajemną miłość naszę całe miasto pochwala?—Matylda zaś była tak młodą i niedoświadczoną, iż niespostrzegała bynajmniej zmiany, jaka zaszła w uczuciach Edwarda. Jeżeli niekiedy co i zauważała, to z lekka, nawiasem, i sama niestarała się wyszukiwać powodów tego. Upojona szczęściem, niepojmowała aby mógł niepodzielać jej uniesień, jeżeli przeto w dogadzaniu jej w czem widziała trochę ociężałości i lenistwa, przypisywała to czułości; jeżli zaś kiedy z wielkim zadziwieniem swojém dostrzegła na jego twarzy ślady zaledwo wstrzymać się dającego poziewania, starała się nie wierzyć samej sobie, albo zapomnieć o tém rozmyślając o dawnej stałości i namiętnej miłości Edwarda. Lecz niestety! jeśli dla pocieszania siebie w obecnym stanie, uciekamy się do wspomnień przeszłości, to znaczy iż miłość straciła już i piérwszy kwiat swój

i swoję świeżość! I biednej Matyldzie zagrażała bolesna nauka, któréj żadna kobiéta uniknąć nie może, nauka wykrywająca iż miłość kochanka najgorętsza, najognistsza w czasie starania się o wzajemność, stygnie skoro się stanie panem przedmiotu, i zwyciężywszy tysiące przeszkód, uspakaja się i zasypia.

W piérwszych dwóch miesiącach podróży po Europie, nowość przedmiotów, bezustanna zmiana miejsca i świeżość wrażeń, zajmując Matyldę, nie dawały jej uczuć straty tych niezliczonych dowodów uwagi, któremi w każdej chwili otaczał ją Edward w ówczas, kiedy się wszystko jego szczęściu sprzeciwiało. Być może że już powoli przyuczał ją do tej pewności małżeńskiej, kiedy został narzeczonym, a potém dopiéro mężem. Ale ponieważ na świecie wszystko ma swój koniec, tedy omamienie Matyldy nie było długie: niemogła ukryć tego sama przed sobą, iż od niejakiego czasu Edward sypiał dłużej po południu aniżeli pozwalała przyzwoitość; iż ciągle poziewał nie starając się nawet powstrzymać od tego, stał się zawołanym gastronomem, a nudząc się jej rozmową szukał towarzystwa młodych, wesołych przyjaciół. Wszystko to stopniowo odkryła Matylda, po przyjeździe do Neapolu, to jest w tym czasie, od którego zaczyna się nasza powieść, i biedna kobiéta, nie raz już z głębokiém westchnieniem, przyznając sama w sobie, iż rzeczywiście można stracić urok względem najzapa-

miętalej kochającego się męża, postanowiła nakoniec otwarcie rozmówić się z Edwardem.

Na całej kuli ziemskiej, niemasz miejsca któreby człowieka tak czyniło skłonnym do lenistwa i bezczynności jak Neapol— rozkoszny, czarujący Neapol, — którego ogniste powietrze, oddycha pieszczotą, i pogrążając cię w szczęśliwem zapomnieniu się, osłabia i fizyczne i moralne twe siły.

Na drugi dzień po przyjeździe, Matylda powydobywała swe książki, urządziła sobie stolik do rysunków i po śniadaniu siadła przy oknie, aby się nacieszyć czarującemi widokami Neapolu. Błękitne niebo było jasne i lazur jego odbijał się w spokojnych wodach jak w przezroczystém zwierciedle. Niezliczona liczba białych żagli powiewała nad odnogą, świecącą się podobnie do massy dużych brylantów, rozsypanych na szafirowém naczyniu.

«Edwardzie! Edwardzie! zbliż się tu prędzej! zawołała Matylda: przypatrz się temu czarującemu obrazowi! Podziwiając go, pomyślałam, jak sprawiedliwie mówi jakiś poeta, iż najpiękniejszy widok podoba się tylko o połowę, jeżeli nie mamy komu powiedzieć: —«patrz jak to jest ładne!"

—« Przypatrywałem się temu widokowi jeszcze wczoraj przed śniadaniem, miła Matyldo!—odpowiedział sucho Edward: — dla mnie już dosyć, a prawdę mówiąc, przyjemniej mi jest zasnąć na tej sofie, która

zresztą jest nieco za twarda i nie tak wygodna jak w innych włoskich hotelach."

Biedna Matylda westchnęła, przestała go wołac i wkrótce pogrążyła się w słodkie dumanie, które nagle przerwane zostało głośnem chrapaniem męża, mocnym snem uśpionego. Trzeba wiedzieć czytelnikowi, iż dla uszu kobiecych niema w świecie nieprzyjemniejszego głosu jak chrapanie — dla tego, być może, iż przypomina delikatnie wychowanej kobiecie, obojętność śpiącego, który w jej obecności nie wstydzi się poświęcać zupełnemu zapomnieniu godziny nie dla snu przeznaczone; albo może dla tego, iż młody mężczyzna, gdyby był najprzystojniejszym, wydaje się brzydkim, nawet odrażającym, kiedy rozwaliwszy się na sofie, chrapie na cały pokój i rodząc w innych nudę, przeszkadza wszelkiemu zatrudnieniu. Cóżkolwiek bądź, ale zapewniam was, iż nie znajdziecie ani jednej kobiety, któraby przy całej łagodności swojego charakteru, w podobnym przypadku nie okazała niejakiej niecierpliwości, i Matylda spójrzawszy na Edwarda, rzekła z wewnętrzną niechęcią: — On wiecznie leży na sofie i wiecznie śpi, wybaczyłabym mu to jeszcze, gdyby nie chrapał tak głośno; któż może wytrzymać to nieznośne chrapanie. O Boże, mogłażem spodziewać się tego przed sześcią miesiącami! Gdyby mi wówczas ktokolwiek był powiedział, iż Edward po całych dniach będzie się przewalał po sofie jak pudel, że będzie chrapał!...

chrapał!... pomimo całej mojej ku niemu miłości, nigdybym za niego nie wyszła. Te czarne, kędzierzawe włosy, które mi się tak podobały, teraz roztargane, jak sierść kudłata, ta odwalona głowa z otwartemi ustami straszy mnie: lecz co najokropniejszego, to chrapanie, nieobyczajne, budzące chrapanie. Niepodobna wytrzymać dłużej, obudzę go... Edwardzie! Edwardzie!"

—« Co takiego? co się stało?" zawołał pół-senny Edward, poziewając i wyciągając się.

—« Tak okropnie chrapiesz, iż doprawdy myślałam że się dusisz."

—« Czyż ja chrapałem? a to rzecz szczególna!"

To mówiąc podniósł się z sofy, położył ręce na stole, wziął książkę i zaczął czytać, żona zaś jego zabierała się do przeglądania opisu Pompei. Ale zaledwo parę stronic przerzuciła, Edward znowu chrapać zaczął głośniej niżeli wprzódy. Matylda zarumieniła się ze wstydu, gdy wszedł lokaj zapytując, na którą godzinę ma przybydź karéta najęta; odprawiwszy go śpiesznie otworzyła znowu książkę i starała się zatopić w czytaniu.

Tymczasem chrapanie nieustawało, nakoniec stało się tak głośném, iż słychać było w przedpokoju. W tém otworzyły się drzwi, i hrabia N. wszedł zaraz za lokajem, który go zameldował. Przyjście jego atoli, i stuk krzesła które on posunął siadając obok Matyldy, niemogły rozbudzić Edwarda. Wstydem spłonęła Matylda, serce jej rozrywało się w szmaty

gdy postrzegła że hrabia z zadziwieniem spoglądał na sofę.

Odwiedziny kogo bądź innego, stałyby się dla niej w tej chwili mniej przykremi: hrabia był ten sam, któremu odmówiła swej ręki, niezważając na majątek i ofiarę po tysiąc czerwonych złotych rocznie na szpilki, i dała pierwszeństwo Edwardowi, którego chrapanie bezwątpienia było dla hrabiego najlepszym dowodem złego wychowania, nieszlachetnych nałogów, i co gorsza nad wszystko, krzywdzącej obojętności dla młodej żony.

Matylda obudziła męża, który ziewając i przecierając oczy, mruczał sobie coś pod nosem; zapewne narzekał na to iż mu niedawano pokoju. Kiedy zaś żona rzekła z cicha: «Przyjacielu, jest u nas hrabia N.", zerwał się raptem z sofy, zaczął się bardzo niezgrabnie uniewinniać przed hrabią, składając to na upał zbyteczny i nadzwyczajne znużenie.

Hrabia trzymający pierwszeństwo pomiędzy najprzystojniejszemi mężczyznami stolicy, słynął również jako pierwszy elegant; odznaczał się wyszukaną grzecznością, i w rzeczy samej pozbawiał rozumu wszystkie, więcej oddające się światu, kobiety; bardzo więc naturalnie iż odmówienie Matyldy przyjęte było od każdego z wielkiem podziwieniem. Czyliż ona przenosi tego gburowatego Edwarda, nad zgrabnego, przyjemnego, ładnego hrabiego? powtarzano jednogłośnie we wszystkich towarzy-

stwach. Matylda w ówczas pogardzała taką mową; lecz teraz niestety! po raz pierwszy w swém życiu, zadała sobie toż samo zapytanie, spoglądając na przemian, już na męża, już na odrzuconego kochanka, którego frak modny, elegancka toaleta, w dziwnej zostawały sprzeczności z niedbałym ubiorem Edwarda. Nadto, hrabia przyćmiewał go znajomością dobrego tonu, delikatnością i tém ścisłém zachowaniem przyzwoitości, które jest oznaką wychowania arystokratycznego, i nawyknienia do życia w wyższém i ukształconém kole. Do tych wszystkich świetnych przymiotów, łączył on w sobie jakieś przyciągające zamyślanie się, nadzwyczaj miłe kobiétom, tym właśnie, które je na swój rachunek liczyły.

—Czyż mogłam być tak ciemną, iż niewidziałam jak wielka jest różnica, pomiędzy Edwardem, a hrabią — myślała Matylda. Już to pewno że nie chrapał by po całych dniach na sofie w pokoju swej żony, nie rozwalałby się w krześle z cygarem w ustach, nie dozwalałby mi zajmować się samej jednéj czém mi się podoba.... Tak rozmyślając mimowolnie westchnęła, i to głębokie, ciężkie westchnienie, niedosłyszane przez małżonka, doszło natychmiast do uszu miłego, przyjemnego hrabi, którego głos, zwyczajnie cichy i harmonijny, stawał się jeszcze delikatniejszym i muzykalniejszym, kiedy rozmawiał z Matyldą.

Hrabia przed kilką dniami przybyły do Neapolu, stanął w jednymże hotelu co i nasi małżonkowie, a

przeczytawszy ich nazwiska na liście podróżnych, uważał za obowiązek oddać im wizytę, chcąc przez to przekonać, iż lubo odrzucony pretendent do ręki Matyldy, nie czuł ku niej ani gniewu, ani zazdrości. Szedł jednakże z uczuciem nie zupełnie spokojném, spodziewając się ujrzeć dwoje namiętnych kochanków, których szczęście pomimowolnie wzbudzało w sercu jego niejaką zawiść. Lecz wystawcież sobie jego podziwienie, kiedy znalazł zupełnie co innego!...

Dowiedziawszy się iż hrabia mieszkał w jednym z nimi hotelu, małżonkowie prosili aby ich częściej odwiedzał, zatrzymali na obiad, i wezwali aby jechał razem obejrzeć Neapol.

Propozycya z radością była przyjętą, i już pod wieczór tak się hrabia spoufalił z nowo pobranymi, jak gdyby przepędził z nimi dziesięć dni na wsi.

Ukontentowanie z jakiem Edward przyjmował odwiedziny hrabiego, obraziło Matyldę.

— Już mu się uprzykrzyło być bezustannie ze mną, myślała. — Bez wątpienia, dawno już wnosiłam o tém, z ciągłej nudy jaką okazywał gdyśmy się razem znajdowali; nigdy jednak nie przypuszczałam, ażeby z taką skwapliwością, z takiem upragnieniem rzucał się ku pierwszej jaka mu się nastręczyła znajomości, i z kimże? z człowiekiem, z którym dawniej nie chciał się nawet spotykać. — Nie — myśliła sobie dalej z westchnieniem: — Edward nie jest zazdrośnym, nie kocha mię tak bardzo ażeby być zazdrośnym;

był jednakże czas, kiedy dręczył mię zazdrością bez powodu, i wiele miałam kłopotu pókim go uspokoiła.

— «Jaki to miły człowiek ten hrabia! rzekł razu jednego Edward. «Pomimo to jednak, bardzo dobrze czynisz Matyldo, że mnie dajesz przed nim pierwszeństwo."

— «Ja toż samo myślę," odpowiedziała Matylda z złośliwym uśmiechem.

— «To mi się niebardzo podoba," rzekł Edward nieco rozgniewany.

— «Ty Edwardzie, zostawiasz mi tyle czasu na rozmyślanie, że dziwić się nie powinieneś, jeśli się niekiedy i za daleko zapędzę."

— «Co chcesz przez to powiedzieć, czyliż cię kiedy zostawiam samę jednę?"

— «Lecz zapomniałeś, że większą część dnia śpisz, zamiast tego żebyś ze mną rozmawiał. Cóż dla mnie za korzyść że cię mam przed oczyma, kiedy nie widzisz mnie i nie czujesz tego, że jestem blisko ciebie? Przyjemniej by mi było, gdybym cię nie oglądała, lecz wiedziała że się bawisz, lub używasz ruchu służącego ci na zdrowie, aniżeli dowiadywać się o twej obecności przez chrapanie."

Lekka ta wymówka, pomimo całej delikatności zjaką była wyrzeczoną, rozgniewała Edwarda. Należał bowiem do rzędu tych ludzi, którzy mniemają, że małżeństwo uwalnia od wszelkich ceremonij

w domowém pożyciu, a zatém nie znoszą ażeby żony ośmielały się wyrzucać im zaniedbanie lub nieco grubijaństwa.

— «Nie chcesz pojąć Matyldo, jak silnie działa na mnie gorący klimat, do którego nie przywykłem.”

— «Nie klimat, lecz próżniactwo, sprowadza na ciebie to ospalstwo. Jeślibyś zamiast przewalania się od rana do wieczoru na sofie, przechadzał się po mieście, oglądał starożytności, muzea, wszystko co jest osobliwego, a w co Włochy są tak obfite, bez wątpienia przyjemniej i pożyteczniej przepędziłbyś czas swój, aniżeli teraz.”

— «Ale zapominasz, iż to wszystko zgoła mię nie zajmuje, że nie mam ani talentu, ani znajomości jakiegoś wirtuoza, albo antykwaryusza.”

Nieprzyjemny ten spór pomiędzy małżonkami, przerwany został przyjściem hrabiego, który proponował im przejechanie się po malowniczych okolicach Neapolu.

Edward i Matylda bardzo byli radzi hrabiemu, albowiem jego przybycie przerwało zaczynającą się pomiędzy nimi kłótnię; oboje wszakże uczuli, iż teraz, kiedy pierwszy krok do niej uczyniony, niepodobna będzie utrzymać się nadal w tych granicach z których dotąd niewystępowali, i że czas w którym mają sobie wymówić nawzajem to, o czém uprzednio aniby napomknąć nie śmieli, był od nich bardzo niedalekim.

W ogólności, w pożyciu małżeńskiem, harmonja trwa dotąd, dopóki obie strony, niezważając na wzajemne urazy, niezrzuciły z siebie oków przyzwoitości, i przynajmniej choć powierzchownie oszczędzają jedno drugiego. Lecz pierwszy uszczypliwy wyrzut, rozdziera zasłonę omamienia i niszczy na zawsze delikatny kwiat domowej spokojności i szczęścia.

Podczas gdy Matylda unosiła się nad pięknemi widokami Neapolu, Edward nie zwracając zgoła uwagi na nie, wypytywał hrabiego o szczegółach przeszłorocznego wielkiego polowania. Ten czynił zadosyć jego ciekawości, a następnie kiedy przyzwoitość dozwalała, zwrócił się ku Matyldzie, i zaczął z nią rozmowę więcej zgadzającą się z jej gustem, lecz w której mąż żadnego nie brał udziału. Matylda nie raz wychodziła z granic cierpliwości, kiedy Edward przerywał nagle poetyczne opisy hrabiego, jakiemś zapytaniem, dotyczącém się polowania; nieukontentowanie niepostrzegane przez Edwarda, nie mogło ujść oka przenikliwego hrabi, który oddawna już domyślał się, iż pomiędzy młodymi małżonkami, nie było dawniejszej jedności. Z drugiej strony, różnica pomiędzy ugrzecznionym i w wysokim stopniu ukształconym hrabią, a prozaicznym jej mężem, więcej aniżeli kiedykolwiek zwracała uwagę Matyldy na nierozsądny jej wybór; załowała ona teraz iż oddała swą rękę Edwardowi.

Hrabia nie był ani rozpustnikiem, ani człowiekiem

złośliwym, nie szukał ścisłego zbliżenia się z Edwardem, ani też powziął żadnych występnych zamiarów względem jego żony; lecz posiadając w najwyższym stopniu miłość własną, oddał im wizytę przez samą tylko próżność, chcąc przekonać iż odmówienie Matyldy i uprzednie ku niej uczucia, dawno już wygładziły się z jego serca.

Próżność atoli bardzo często pociąga za sobą tyle złego, ile i zakamieniała rozpusta, jeśli nią kieruje czynności swoje ten, kto nie zawsze opiéra postępki swe na ścisłych przepisach honoru i rozsądku. Powiedzieliśmy iż hrabia był próżny; jego miłość własna nader obrażona odmówieniem Matyldy, nie mogła przebaczyć jej, pierwszeństwa okazanego Edwardowi; ale kiedy się przekonał, iż ona się omyliła w wyborze i zaczynała czuć swą omyłkę, postanowił, niezważając na to cobykolwiek z tego wyniknąć mogło, utwierdzić ją w tém przekonaniu iż jest najnieszczęśliwszą, oddawszy rękę człowiekowi niegodnemu jej posiadania. Spostrzegłszy upodobanie jej we wszystkiém co jest romantyczne i wstręt do pospolitego charakteru Edwarda, postanowił zręcznie i delikatnemi napomknieniami, bezustannie dawać jej uczuć, iż on tylko, on jeden pojmował ją, podzielał wszystkie jej myśli, gust i skłonności — słowem iż dla niej właśnie był stworzony, i że niepodobna im żyć jedno bez drugiego.

Trzymając się tego planu, hrabia stał się nieod-

stępnym towarzyszem zniechęconej pary we wszystkich przechadzkach po Neapolu, codziennie bywał u nich na obiedzie, każdego wieczoru przesiadywał w ich loży w teatrze, wyprawiał dla nich za miastem wesołe podwieczórki, serenady przy blasku księżyca; jednem słowem robił to wszystko, cokolwiek tylko mogło im uprzyjemnić pobyt w Neapolu, i uczynić towarzystwo jego nietylko miłem, ale nawet niezbędnem. Takim sposobem stawszy się *przyjacielem domu* hrabia, korzystał z tego tytułu w całem jego znaczeniu, i z każdym dniem coraz więcej a więcej zbliżał się z młodą Matyldą. Z drugiej strony, niedbały Edward, nie lękając się teraz wyrzutów Matyldy iż ją jednę pozostawia, swobodnie i spokojnie zasypiał po całych dniach, ukołysany słowiczym śpiewem swej żony, zlewającym się z głosem hrabiego w tkliwym duecie, albo namiętną deklamacyą hrabiego, czytającego głośno włoskie poezye. Każdą razą jeśli jaka strofa podobała się szczęśliwej Matyldzie, hrabia kładł książkę na stół, i słuchając jej uwag chwalił wykształcony jej gust, rozum, serce, z taką skromnoscią, z takiem uszanowaniem, że najsurowsza, najwstydliwsza cnota niemogłaby się obrazić ani jego spójrzeniem, ani jego mową. Często śród tych tkliwych chwil, głośne chrapanie małżonka, strachem przenikało Matyldę i raptownie się wzdrygnęła; wtedy wzrok hrabiego pełen spółczucia i politowania, utkwiony w młodą kobietę, okrywał twarz jej rumień-

cem wstydu: i oboje wzdychali. Edward nie umiał po włosku, i pod pozorem iż mu nudno było słuchać wierszy których nierozumiał, kładł się na sofie i pogrążony w głębokim śnie sprawiedliwego, dozwalał *przyjaciołom* czytać, śpiewać, lub rozmawiać swobodnie tym czarującym i niebezpiecznym językiem. Edward był charakteru spokojnego, zgodliwego, i niemiał żadnych złych nałogów. Lubiąc nadewszystko dobrze zjeść, spać na miękkiej pościeli i jeździć w wygodnym powozie, kładąc to sobie za nieodzowny warunek domowego szczęścia, używał wszystkich tych rozkoszy, najstaranniej unikając sentymentalnych rozmów, gorących sporów, albo męczącego natężenia umysłu; lecz nigdy nie przeszkadzał tym, którzy znajdowali w tém przyjemność.

Nie przeczuwając niebezpieczeństwa, Matylda szybko dążyła w przepaść, ciągnięta przez hrabiego, który gdyby był jej mężem, postępowałby może z nią nie lepiej od Edwarda, lecz podżegany teraz próżnością otaczał ją najtkliwszemi zabiegami namiętnego kochanka, i starał się przekonać iż rzeczywiście zakochany był w niej do szaleństwa.

Mężczyźni tyle mają sposobów przekonywania kobiet o swojej miłości, bez tej klassycznej, formalnej deklaracyi, której człowiek światowy niedopuści się nigdy z kobiétą, znającą przyzwoitość i żyjącą w towarzystwie dobrego tonu; hrabia przeto wiedząc iż otwarte oświadczenie się mogłoby tylko oburzyć

Matyldę i wywieśc ją z obłąkania, wybrał nie tak jawny, ale niemniej skuteczny środek zalotów przez ustawiczne przysługi tak delikatne, że niemogły obrażać jej dumy, lecz tak wyraźne iż niepodobna było omylić się względem ich znaczenia. Chociaż przekonaną była o miłości hrabiego, nawet wewnętrznie z niej zadowoloną, jednak ponieważ niemiała innych dowodów tej miłości, oprócz ognistych spójrzeń, tkliwych westchnień, niekiedy nagłego zamilknienia wśród zajmującej rozmowy, tudzież chęci zostawania z nią bezustanku, nie sądziła się więc w niczem winną, dopokąd hrabia trzymał się granic przyzwoitości i uszanowania.

Trwało to ciągle aż do przyjazdu kilku znajomych im rodzin do Neapolu, pomiędzy któremi wkrótce rozeszła się wieść o stosunkach Matyldy z hrabią, i jak zwykle, pociągnęła za sobą różne wnioski i przydatki.

—«O jakże ślepy i nierozsądny jest ten Edward!" rzekł jeden młody dandy.

—«Co za wyrachowany łotr bydź musi hrabia! mówił inny.

—«Lecz ona, jakaż to bezwstydna kobiéta!

—«Ha! oni się dawno z sobą kochali! —On en revient toujours à ses prémiers amours,—mówi dawna piosenka.

—«Jednakże zapewniam was panowie, że Edward zgoła nie jest tak nierozsądny, jak o nim myślą. Uprzykrzyło mu się być żonatym, i dla tego rad jest

iż może się uwolnić od jarzma małżeńskiego," zawołał jeden z dawnych przyjaciół Edwarda.

Tymczasem wszystkie te obmowy, nie zatrważały bynajmniej Edwarda ani Matyldy. Edwardowi i przez myśl nie przeszło ażeby mógł być przedmiotem światowych plotek, ażeby piękna Matylda niedawała mu zawsze pierwszeństwa przed hrabią, chociaż już wszystkie towarzystwa znajome okrzyczały go za prostaka. A Matylda gdyby i dostrzegła obojętnego z nią obejścia się swych znajomych, obejścia się przykrytego barwą przyzwoitości, tym dotkliwszej iż była dwuznaczną, nie tylko by się tém nie martwiła, lecz jeszcze uważałaby za powinność pokazać całemu światu, do jakiego stopnia hrabia był w niej rozkochany, i jak wzniosłe i nieskażone były jego dla niej uczucia. Co się zaś tycze samego hrabi, niepodobna aby niewiedział o tych wszystkich rozmowach towarzystw, które atoli nie skłoniły go do odstąpienia ani na krok jeden od przyjętego planu.

Tak więc Matylda w krótkim czasie stała się przedmiotem żartów płochej młodzieży bawiącej w Neapolu. Wiele kobiét przestało u niej bywać, chociaż w niektórych znakomitszych domach przyjmowano ją z dawnym szacunkiem, powtarzając: — Dopóki się mąż jeszcze o tém nie przekonał, powinniśmy z nią postępować tak jak dawniej.

W tym właśnie czasie przyjechał do Neapolu stryj

Matyldy hrabia Stanisław, i zaraz dowiedział się wszystkich szczegółów o swojej kuzynce.

— «Hrabia mieszka jak widzę razem z wami?"— rzekł do Matyldy, trzeciego dnia po swém przybyciu.

— « Tak, widujemy go dosyć często,"— odpowiedziała Matylda.

— «Przekonany jestem, że teraz zgodzisz się ze mną, iż on jest bardzo przyjemny?"

— «O bezwątpienia mój stryju! Od tego czasu jak przybyliśmy tutaj, bardzo często myślę o tém, iż słusznie mówiłeś o nim zawsze tyle dobrego."

— « Szkoda, żeś niepomyślała o tém w tenczas, kiedy się starał o ciebie. Z resztą, przykro mi jest żem go tak wychwalał."

— «Jakto stryju, miałżebyś teraz zmienić o nim swą opinią?"

— « Tak, pod pewnemi względami. Lecz wiesz dla czego żałuję że tak bardzo go wychwalałem? Dla tego, iż gdybym przed tobą źle o nim mówił, a wynosił przymioty Edwarda, możeby teraz już był twym mężem."

Matylda mimowolnie westchnęła, ciężkie to westchnienie nie uszło uwagi stryja.

— «Z resztą, mówił dalej, jeżeli życzyłem żeby się hrabia z tobą ożenił, teraz gdy już jesteś zamężną, nie chcę żeby on był twoim zalotnikiem."

Na te słowa Matylda się zapłonęła.

— «Nierozumiem co mówisz.... dziwny jesteś mój stryju!....» rzekła zająkając się.

— «Nie, wcale nie dziwny, i ty bardzo dobrze mnie rozumiesz.»

— «Przysięgam, iż nie wiem co chcesz powiedzieć.»

— «Jak widzę, bardzo niedomyślną jesteś teraz Matyldo. Ja ci chcę powiedzieć, iż zbyt prędko przywykłaś do wolności wolnych obyczajów, i na wzór Włoszek masz już swego *cavalieri serventi*: chcę powiedzieć, iż zbyt jawnie hrabia zajmuje przy tobie to miejsce, i że nakoniec wszyscy nasi znajomi mówią o tobie bardzo źle, a nawet pogardzają tobą...»

— «O mój Boże! cóż to mówisz mój stryju! — zawołała Matylda, — «czyliż ludzie tak są źli, tak niesprawiedliwi, że czernią kobiétę dla tego tylko, iż przyjmuje najniewinniejsze grzeczności od człowieka, będącego przyjacielem jej męża.»

— « Czyliż tak jesteś niedoświadczoną kochana kuzynko, iż dotąd jeszcze nie wiesz, że kiedy ładnej i młodej kobiecie, wszędzie towarzyszy zgrabny i przystojny mężczyzna, po całych dniach obok niej przesiaduje, i przepędza z nią sam na sam wieczory, świat zaraz wyprowadza ztąd wniosek, iż pomiędzy nimi trwa związek, niepodobny do prostej i niewinnej przyjaźni?»

— «A jeżeli mąż, jeżeli prawny jéj opiekun, nie-

znajduje w tém nic złego, jakież prawo mają inni ją posądzać?”

— «Mąż, który obojętnie patrzy na złe prowadzenie się swej żony, jest albo głupi, albo nikczemny, a ponieważ w obudwu razach, niezdolnym jest być jej opiekunem, społeczność przeto przyswaja sobie prawo, wydania na nią surowego wyroku.”

— «Kto czuje się niewinnym pogardza opiniją gminu.”

To rzekłszy Matylda, przybrała dumną postawę.

— «Chciałbym też wiedzieć co zyska pogardzając opiniją?” zapytał Stanisław.

— «Niezależność i szacunek dla samej siebie.”

— «Brawo! to zupełnie w duchu ciotki Kunegundy.”

Porównanie z ciotką obraziło Matyldę, która wiedząc iż Stanisław zawsze naśmiewał się ze sposobu myślenia swej siostry, uzbroiła się przeciwko jego napomnieniom, całą swą miłością własną. Życzący dawać dobre rady, bacznie powinni wystrzegać się wszystkiego, co może zranić czułość ludzi, do których się one odnoszą. Wszyscy w ogólności bardzo rzadko z zadowoleniem przyjmujemy rady, dla tego właśnie, iż wewnętrzne przyznanie niejakiejś wyższości w radzącym, już pomimowolnie uprzedza nas przeciwko niemu, chociażbyśmy z resztą cenili najwyżej jego bezinteressowność i chęć stania się nam pożytecznym.

Odpowiedź Matyldy dowiodła Stanisławowi tej prawdy.

— «Spodziewam się, — rzekła podniósłszy głowę i wyprostowawszy się więcej niż zwykle, — spodziewam się iż uczucia moje zawsze będą godne pochwały szanownej mej ciotki, i że w nich niéma nic hańbiącego."

To powiedziawszy wstała i wyszła z pokoju, z całą dumą obrażonej godności, którejby nie mogła lepiej wydać najznamienitsza aktorka w głównych i najsilniejszych swych rolach.

— «Oho! — pomruknął Stanisław: — tak to powiadasz pani Matyldo! A toś się pani na mnie rozgniewała! W takim razie rzecz staje się ważniejszą niżelim sobie wyobrażał: albowiem kiedy kobiéta gniewa się nie na samą siebie za swoję winę, lecz na tych którzy przez przyjaźń ku niej, chcą przestrzedz ją o grożącém niebezpieczeństwie, to już najpewniejszy znak że blizką jest zguby. Zresztą nastraszyłem ją, a i to posłuży na jej korzyść. Ale w rzeczy samej jak dziwne istoty są te kobiety! Taż sama nierozsądna dziewczyna, która przed sześcią miesiącami gotowa była wydrzeć mi oczy, za to żem namawiał ją do pójścia za hrabiego, rozgniewała się dziś na mnie za to, że nie pochwalam jej kokieteryi z tymże samym hrabią; i ten Edward, bez którego jak mawiała, żyć nie mogła, dokuczył jej teraz gorzej aniżeli stara suknia albo wypłowiała wstążka, dla tego tylko że lubi po południu sypiać, i nie nadskakuje jej jak czuły pasterz.... Wszystkie one są takie. Wszelako nie do-

zwolę jej zginąć, i udam jakoby hrabia i mnie oczarował.

Stanisław pozostał na obiedzie u krewnych; lecz gdy po kawie według zwyczaju Edward zasnął na sofie, stryj spostrzegł natychmiast, iż obecność jego była dla Matyldy i hrabiego zbyteczną. Po niejakim czasie Matylda wyszła na balkon (nawiasem powiémy czytelnikowi że balkony w podobnych wydarzeniach bardzo są przydatne) i spuściła głowę na kwiaty któremi był zastawiony: hrabia wkrótce udał się za nią, a stryj pozostawszy jeden, urywkami dosłyszał rozmowę ich o księżycu, którego blask posępny natchnął ich najtkliwszémi i poetycznemi wyrażeniami. Ponieważ zaś Stanisław, jak zwyczajnie ludzie jego wieku, cierpiał na reumatyzm, obawiał się przeto wilgotnego wieczornego powietrza nawet w gorącym klimacie Neapolu, nie odważał się więc czas jakiś wychodzić na balkon. Jednakże widząc iż Matylda i hrabia unoszeni wymową swoją, nie mieli zamiaru powrócić do pokoju, nagle włożył szary płaszcz, podwiązał uszy fularową chustką, i nakrywszy czapką głowę, stanął za swą kuzynką. Pocieszna fizyognomia Stanisława, który bojąc się wiatru zakrywał usta chustką, mogłaby rozśmieszyć największego hipokondryka, lecz ani Matylda ani hrabia nie byli w humorze śmiania się; oni w téj chwili rozprawiali o sympatyi serc, harmonij skłonności, przeznaczeniu losu, i starali się przekonać nawzajem, iż oboje byli

istotami najdoskonalszemi, napowietrznemi, tak dalece, iż gmin pospolity rozumiec ich nie mógł.

Spostrzegłszy Stanisława umilkli, lecz oczy ich ciągnęły dalej rozmowę. W tej chwili blask księżyca padając na prześliczne czoło Matyldy przydawał jej białość marmuru, gęste zaś jej włosy, związane ztyłu jak u starożytnych greczynek, i biała suknia w stan wpadająca, jeszcze bardziej zwjększały podobieństwo jej z prześliczną statuą. Hrabia przypatrywał się jej z wyraźnym zapałem, w którymby każdy wyczytał jego miłość, lecz oczy Matyldy zwrócone były na mistyczne półkole księżyca, jak gdyby w niem badając tajemnicy przyszłości.

— «Zdawało mi się żeście mówili coś o wpływie księżyca; — rzekł stryj patrząc na nocną gwiazdę.— Co do mnie, — mówił dalej, — nietylko on nie łagodzi uczuć moich, lecz owszem czyni je twardszemi niż zwykle.... Zresztą jak mi się zdaje, dosyć jużeśmy się nacieszyli naturą, a ponieważ cierpię na reumatyzm, to i zostawiam was samych."

To rzekłszy powrócił do pokoju; zdiął z siebie płaszcz i usiadł naprzeciw sofy, na której spał Edward.

Hrabia i Matylda wszedłszy wkrótce do pokoju, spójrzeli na sofę i krzesło na którém siedział stryi.

— «Czy niezechcesz pan co przeczytać? — zapytała Matylda hrabiego.

— «Z największą przyjemnością, pani wiesz że prośba jej jest dla mnie prawem.”

I zaczął czytać z zapałem wyjątek z poezyi Danta. Stanisław udając drzymiącego strwożył się namiętnym głosem hrabiego i wzruszeniem Matyldy, a chcąc położyć koniec ich uniesieniom, powstał, i dał do zrozumienia że już było późno; — hrabia przeto, lubo z niechęcią przymuszony był pożegnać się. Matylda lękając się usłyszeć od stryja powtórnego napomnienia, wyszła do sypialnego pokoju, zostawując go samego z chrapiącym mężem. Stanisław spójrzał na Edwarda.

— «Najspokojniejszy z ciebie mąż — rzekł do siebie: — najbardziej pobłażający i wyrozumiały opiekun młodej kobiety, mającej skłonność do kokieteryi większą aniżeli cała jej płeć. O nierozumny!

Wymawiajac te słowa zbliżył się do Edwarda, kilka razy wołał go po imieniu, lecz gdy się ten nie przebudzał, wstrząsnął go mocno za ramię.

— «Kto tam? co się stało? gdzie Matylda i hrabia, czemu mnie budzicie?”

— «To ja, obudziłem cię dla tego, iż mam z tobą o czemś pomówić.”

— «Mów, tylko zmiłuj się niedługo, drogi stryju, chce mi się okropnie przejść do łóżka, bo już na tej przeklętej sofie odleżałem sobie boki.”

— «Owszem, długą będę miał z tobą rozmowę Edwardzie, mam ci wytłumaczyć dużo rzeczy, któ-

rych ty nie rozumiesz, a co jest bardzo ważnem dla nas obu."

— «Trwożysz mię mój stryju! Czy nie odebrałeś jakich niepomyślnych wiadomości z domu?"

— «Nie!"

— «Więc cóż takiego? pojąć nie mogę....."

— «Zaślepienie i niedbałość twoja Edwardzie, zastanawia mię. Czyliż można ażebyś nie widział niebezpieczeństwa, na jakie narażasz młodą i niedoświadczoną żonę, zostawując ją każdego dnia, każdej godziny samą jednę z hrabią? Czy wiesz że ty i twoja żona, staliście się przedmiotem obmowy i śmiechu we wszystkich znajomych wam towarzystwach w Neapolu."

— «Co? kto śmie znieważac honor mój i honor mojej żony? To być nie może? żartujesz stryju?..."

— «Piękny żart! Na nieszczęście wszystko to zbyt jest prawdziwe."

— «Wymień więc tego niegodziwca, który pierwszy ośmielił się rozgłosić krzywdzące i fałszywe na nas potwarze, a ja...."

— «Wyzwiesz go na pojedynek, nieprawdaż? To jest nieomylny środek zamknięcia ust całej publiczności!.... Głupstwo mój przyjacielu! a nawet nie mogę ci wymienić tego człowieka, gdyż sam nie wiem kto nim jest."

— «Ale jakże to można było zmyślić tak nierozsądną i z zdrowym rozumem niezgadzającą się po-

twarz? My tak niedawno pobraliśmy się, tak się czule z sobą kochamy, a do tego wszędzie i zawsze razem bywamy. Spostrzegłżeś kiedy mój stryju ażebym Matyldę pozostawił samą choć na jednę chwilę?"

— «Mój przyjacielu! Daleko lepiej byłoby niekiedy od niej się oddalać, aniżeli będąc z nią bezustannie, całe dni sypiać bez ocknienia się, — tak panie Edwardzie, całe dni!.... I wtedy jeszcze, kiedy ona swobodnie znajduje się w niebezpieczném towarzystwie miłego, światowego i zajmującego młodego człowieka, który się stara na każdym kroku przekonać o różnicy zachodzącej pomiędzy nim a tobą, — ty śpisz sobie i o niczém nie wiész."

— «Ale czyliż nie jest to dobrze wszystkim wiadomo, iż Matylda odmówiła ręki hrabiemu, dla tego tylko że mnie kochała, a nie jego? Okoliczność ta, powinnaby zdaje się nakazać milczenie potwarzy i obmowie. Gdyby zaś rzeczywiście jego przenosiła nademnie, proszę mi powiedzieć, ktoby jej przeszkodził wyjść za niego? I czyż podobna ażeby teraz, kiedy religija, moralność, zasady wpojone w nią przez dobre wychowanie, jedném słowem, wszystko zakazuje jej myśleć o hrabim, czy podobna aby Matylda była tak niecnotliwą iżby go kochała, albo tak płochą, aby chciała go bałamucić?"

— «Pozwól zwrócić sobie uwagę kochany kuzynie, iż w ówczas kiedy Matylda odmówiła ręki hrabiemu, znała ciebie bardzo mało, i tylko niekiedy spotykała

się z tobą na balach, koncertach, w teatrze, a hrabiego widywała jeszcze rzadziej. Ale gniew rodziców, surowy zakaz rozmawiania z tobą, a nadto skryte potakiwanie waryatki mej siostry Kunegundy, zawróciwszy głowę młodej dziewczynie, zapaliły wjej sercu uczucie, które zgasło by samo przez się jak ogień od słomy, jeśliby go ze wszech stron nierozniecano. Śmiało ci mówię, gdyby ojciec i matka nie sprzeciwiali się miłości jej dla ciebie, jeśliby cała familija bezustannie nie powtarzała jej o hrabim, Matylda niezawodnie prędkoby zapomniała o pierwszej swej skłonności, a może nawet zakochałaby się w twoim rywalu."

— «Ale pozwól... jednakże....

— «Nic nie pozwolę, dopokąd nie wysłuchasz mię do końca. I tak z tego wszystkiego wynikło, że Matylda postawiła na swojém; pobraliście się i wyjechaliście za granicę i jesteście w Neapolu; ale tu zamiast tego ażeby się starać być mężem przyjemnym, czuwać nad postępowaniem żony, nie dozwalać jej ani na jednę chwilę nudzić się, ty panie Edwardzie śpisz od rana do nocy, pozostawiasz żonę na rozmyślaniu w somotności o różnicy jaka zachodzi pomiędzy mężem a kochankiem, albo, co gorsza nad wszystko, na słuchaniu słodkich słówek młodego, pięknego zalotnika."

— «Boże! co mówisz!... Czyliż hrabia złamawszy

prawa honoru, podle uwiódł żonę swojego przyjaciela?"

—«Nie, do tego jeszcze dzięki Bogu nie doszło, lecz może dojść bardzo prędko jeżeli będziesz nastręczał bezustanne ku temu sposoby."

—«Ależ żona moja, Matylda?..."

—«Matylda, jak wszystkie kobiety, płocha, napojona romansami, przejęta zalotnością, lubi aby jej nadskakiwano i wzdychano do niéj."

—«Mógłżem kiedykolwiek sobie przypuścić, ażeby ona przeniosła kogobądź nademnie."

—«Wielu jednakże przypuszczało podobne rzeczy, panie Edwardzie, z resztą na szczęście jeszcze nie jest za późno."

—«Powiedz, proszę cię, co powinienem czynić?'

—«Iść za moją radą."

—«Jutro wyjeżdzam z Neapolu, i uwiozę żonę od hrabiego."

—«Przewybornie! a wiesz że rozłączywszy nagle żonę z tym człowiekiem, z którym pozwalałeś jej codziennie być razem, nietylko że powiększysz skłonności jej ku niemu, ale nadto potwierdzisz wszystkie plotki."

—«Cóż więc mam czynić?... Ach dla Boga! ulituj się więc nademną! jestem w rozpaczy!..."

—« Rozpaczać niéma czego, ponieważ możesz jeszcze wszystko naprawić. I tak, zaprzestań tarzać się na sofie, odzwyczaj się sypiać we dnie, ubieraj

się staranniej, bądź z żoną wesół, rozmówny; pamiętaj że jest młoda, ładna, a zatém lubi żeby się nią zajmowano; słowem postępuj jak hrabia, a zapewniam cię iż niemożesz znaleść lepszego wzoru zalotności i sztuki podobania się."

Na ten żart ostry, Edward westchnął i załamał ręce; lecz stryj Stanisław nie miał zwyczaju oszczędzać cudzej miłości własnej.

—« Nadewszystko jednak, mówił dalej, — strzeż się okazać im najmniejszego podejrzenia i nieufności. Nie zapominaj iż w żonie twej wszystko to jest tylko zalotnością, a ze strony hrabiego próżnością, albo może lekkiem uczuciem, istniejącem tylko w jego wyobraźni raczej aniżeli w sercu, a wzmocnionem przez przywyknienie widywania bezustannego młodej i pięknej kobiéty. Z resztą, czyliż on temu winien? Gdzie znajdziesz młodego człowieka, któryby na jego miejscu, nie zechciał korzystać ze sposobności nastręczanej mu przez samego męża? Lecz powróćmy do ciebie... Staraj się *odbić* od hrabiego żonę swoję; a ja z mej strony będę również pracował na twoję korzyść."

—« O jakże będę ci wdzięczny, stryju!

—« Zabawne to istoty ci mężowie! oto nie więcej jak przed godziną, nie myśląc o Matyldzie, nie troszcząc się o jej prowadzenie, spałeś na sofie twardym snem, a teraz odchodzisz od rozumu, na samą myśl, iż ona mogłaby cię zdradzić."

—« O czuję całą moję winę! Kocham Matyldę namiętnie, ja...

—« Dobrze, dobrze! a więc zaczniemy od tego iż jutro po południu będziemy wszyscy grali w karty. Ty spać nie będziesz, Matylda i hrabia nie będą rozczulać się na balkonie, a ja nieprzeziębię się podsłuchując ich rozmowy."

—« Żartujesz stryju, czyż można grać w karty. będąc w mojém położeniu? Niepodobna!

—«Nie bądź upartym, sam zobaczysz że to posłuży na twój pożytek."

—« Będę posłusznym... chociaż prawdę mówiąc, nie pojmuję w żaden sposób twojego celu."

Edward wbrew zwyczajowi, przepędził nadzwyczaj niespokojnie, jeśli nie zupełnie bezsennie noc a wstawszy rano, ucieszył się że Matylda jeszcze spała, lękał się bowiem pierwszego z nią spotkania, i długo siedział pogrążony w głębokiém i posępném zamyśleniu. Nakoniec Matylda wyszła z sypialnego pokoju, podano śniadanie; przyszedł hrabia. Edward z trudnością hamował swój gniew, piérwszy dopiéro raz spostrzegł zajęcie się młodego hrabi swoją żoną i nie mógł się wydziwić, dla czego dawniej na to ni e zwracał uwagi.

Ku wieczorowi przybył stryj, i Edward ze zwyczaju zbliżał się już do sofy, kiedy niespodzianie Stanisław rzekł do niego.

—« Edwardzie, każ podać stolik i karty. To lepiej będzie aniżeli spać, albo stać na balkonie w wilgotną porę."

Hrabia spójrzał na niego z zadziwieniem, a Matylda rzekła iż nienawidzi kart i nie zna zgoła żadnej gry.

—«Co za dziwactwo—odpowiedział stryj:—dawniej bardzo lubiłaś ćwika. Gra ta jest łatwą i zabawną.... Siadajmy."

Nie było co czynić. Matylda wiedziała iż stryj nie lubił sprzeciwiania się, spójrzawszy więc na hrabiego, siadła naprzeciwko niego za stolikiem. Stanisław proponował aby grać po sto złotych do puli i zaczął uczyć Edwarda. Hrabia z początku grał z roztargnieniem, lecz kiedy już wygrał nie wielką summę pieniędzy, w ówczas Stanisław dostrzegł z radością, iż oczy jego opuściwszy prześliczną twarz Matyldy, zwróciły się jedynie na karty, ona zaś zacząwszy również wygrywać, okazywała dziecinną radość przyjmując pieniądze, a wtedy drżała mała jej rączka, oczy iskrzyły się, twarz płonęła rumieńcem. Piękność jej w tej chwili była w takim blasku, iż Stanisław nieznacznie spójrzał na hrabiego, spodziewając się spostrzedz w ognistém jego spójrzeniu uniesienie namiętnego kochanka, lecz z nadzwyczajném zadziwieniem ujrzał iż wzrok młodego zalotnika wlepiony w Matyldę, wyrażał nietylko obojętność, ale nawet pewny rodzaj niechęci. Hrabia

dużo przegrywał i stawał się coraz posępniejszym, tracił stopniowo całą swą przyjemność, a Matylda spostrzegając widoczne niezajmowanie się nią, rumieniła się, bladła i ze złości przygryzała dolną wargę swą prawie aż do krwi.

Nakoniec los gry przemienił się: kupa złota wznosząca się przy Matyldzie zmniejszyła się, a ona wówczas nie władając już swoimi uczuciami, zupełnie się zapomniała — gdy tymczasem hrabia nie bacząc i na przyzwoitość człowieka dobrego tonu i na rolę rozkochanego, brał od niej pieniądze ze szególniejszą jakąś radością.

Stanisław przed którym nic się ukryć nie mogło i który chciał *wyleczyć z miłości* swą kuzynkę jakimkolwiekbądź kosztem, zwiększał pulę, a wówczas hrabia pokazał taką chciwość pieniędzy, iż Matylda uczuła ku niemu wyraźną i głęboką wzgardę.

—Bezwątpienia, Matylda jest bardzo ładną i miłą,—myślał hrabia powróciwszy wieczorem do siebie: ale przyznam się, straciła dla mnie wszystek swój powab przez swą namiętność do gry, chciwość pieniędzy obrzydliwą w młodej kobiecie, i przez nieprzyzwoity swój ton. Obłąkanie moje skończyło się, mówił dalej: dzięki Bogu że nie jestem jej mężem!... Jutro opuszczam Neapol.

Matylda bardzo obojętnie przyjęła nazajutrz wiadomość o wyjeździe hrabiego, a zastanawiając się nad samą sobą, myśliła:—Jeśli namiętność ku grze

zniechęciła mię ku niemu, to jakże musi szpecić młodą kobietę w oczach nawet najzaślepieńszego kochanka! Nie, od tej chwili przysięgam, iż nie wezmę kart w rękę ani na jednę chwilę przez całe moje życie!

Znajomi młodej pary nie mogli pojąć i wydziwić się, dla czego hrabia opuścił Neapol. Większa jednak część mówiła, iż przyczyną tak nagłego odjazdu była niewzajemność Matyldy, opinię tę potwierdzała czułość Edwarda ku żonie swojej. Przestał on sypiać po całych dniach, a Matylda przestała siadywać na balkonie i przypatrywać się księżycowi.

W kilka lat później, za powrótem do kraju, Matylda będąc już matką miluchnej Adelci, kosztowała prawdziwego szczęścia, jakie tylko pokój domowy, wzajemna miłość małżeńska i szacunek zobopólny przynieść są zdolne. Lubo uczęszczała niekiedy na bale i inne zabawy wielkiego świata, najsłodszą atoli znajdowała rozrywkę w niewinnych pieszczotach córeczki, w towarzystwie i rozmowach Edwarda, który już nigdy nie zapominał rad stryja Stanisława.

Karol Korwell.

Dla Krystyny ***

Is it some seraph sent to grant him grace?
No,'t is an carthly from with heaventy face!
Byron, the corsair, canto II·

Kto się ciska w zapasy ziemskiego obszaru,
Kto przeciwności do walki wywoła,
Ten pewniej dopnie zamiaru,
Gdy ma po sobie jakiego anioła.
Anioł ten może być tej ziemi synem,
Częściej go znajdziesz w jej niewinnej córze:
Choć nie wspartego bezposrednim czynem,
Jednak cię trwałe otoczy przedmurze:
Widok czy pamięć ziemskiej niebianki
Bozką odwagę roznieca:
Wstępującemu w światowe szranki
Jak zbawczy sztandar przyświeca.

Ona mu będzie śród ciemnic pochodnią,
Ona zachętą nadludzkich mozołów,
Krucha łódź jego za taką przewodnią,
Przemoże walkę żywiołów.
Już go przeciwność żadna niedognie
Żadna roztrącić nie zdoła,
Ufny, ciśnie się w nurty i ognie
Gdy ma po sobie takiego Anioła.

* * *

Ja dotąd przed losami kroku niecofnąłem,
Lecz owszem odparłem je niezachwianem czołem,
A ty, którą mienić śmiem, dni moich aniołem,
Czyż mi zechcesz cnotami przemienić Twojemi
Ziemi piekło, w Niebo ziemi?

*Stanisław****

KONIEC.